

SYLWIA
TROJANOWSKA

MALWINA
KOZŁOWSKA



Facetom NIC DO TEGO



Książnica

SYLWIA
TROJANOWSKA

MALWINA
KOZŁOWSKA

Facetom
NIC DO TEGO



Książnica

Polecamy

Facetom
WSTĘP WZBRONIONY

Facetom
NIC DO TEGO

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt serii, okładki oraz ilustracje

NATALIA TWARDY

Grafika we wnętrzu

© GarkushaArt/Adobe Stock

Koordinacja projektu

ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja

CHAT BLANC – ANNA POINC-CHRABĄSZCZ

Korekta

MAGDALENA MIERZEJEWSKA

Redakcja techniczna

LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Sylwia Trojanowska, Malwina Kozłowska, Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6619-7

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Książnica

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Spis treści

[Okładka](#)
[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Spis treści](#)
[Od Auterek](#)

[Prolog](#)
[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Trzy dni później, Polska](#)
[Epilog](#)

*Wszystkie zdarzenia, postaci i miejsca
opisane w niniejszej książce
są absolutnie i bezdyskusyjnie prawdziwe.
A już zwłaszcza fakt, że sok pomidorowy wywołuje zgagę.
Jednocześnie autorki pragną poinformować,
że w trakcie spisywania tej historii
nie ucierpiał żaden samozwańczy wielebny (a mógł).*

*Wszystkim dziewczynom – zawsze.
Oraz facetom, którzy wspierają swoje dziewczyny*

Prolog

*Podobno za każdym silnym i wielkim, odnoszącym sukces mężczyzną stoi kobieta – z naciskiem na „podobno” i „stoi”. Bo wszystkie dobrze wiemy, że nie „podobno”, a „bezdyskusyjnie”, i nie „stoi”, a „krąży i ogarnia za-
plecze”. Powszechnie wiadomo bowiem, że każdy sukces ma swój back-
stage. Kobieta chodzi więc po domu i zbiera zwinięte w kulkę męskie skar-
pety, lekkodusznie porzucone między sypialnią a łazienką; pierze „tylko tro-
chę przetarte” gacie; toleruje szufladę pełną kabli do urządzeń, które już
dawno odeszły na cmentarzysko śmieci RTV; wybacza rocznicowe amnezje;
cierpliwie słucha opowieści o jego nowych rekordach bitych na siłowni lub
w strzelance; nie przecina szlaku kanapa–telewizor, gdy na ekranie akurat
toczy się mecz Ligi Mistrzów; i śmieje się z żarcików, które on zasłyszał od
kumpli przy piwie. Potem skarpetki zawsze są doprane i elegancko ułożone
w szufladzie, oczywiście tuż obok zacerowanych, względnie chytrze podmie-
nionych na nowe gaci, wiedza na temat leveli zostaje uaktualniona, żarciki
wyparte, a facet zadowolony realizuje się na polu zawodowym, gdyż na za-
pleczu ma menedżerkę życia. Najczęściej za friko.*

Na szczęście dla nich mają nas, kobiety.

A kogo – albo przede wszystkim CO – mamy my?

Bo czego nie mamy, to już dobrze wiemy.

*Nie mamy świadomości własnego sukcesu. I może jest to szczegół. Szcze-
góliczek wręcz. Małeńki taki, jak ziarnko piasku w trybach wielkiej maszyny
zwanej życiem, a jednak na całej rozciągłości ciągle coś przez niego
zgrzyta. I niby wszystko idzie jakoś naprzód, ale z naciskiem na „jakoś”.*

*Oczywiście istnieje rozwiązanie i jest ono pozornie łatwe: musimy zacząć
traktować nasze codzienne osiągnięcia w kategoriach sukcesu. Powinnyśmy*

to robić! Powinniśmy zacząć się doceniać!

Lecz tu zaczynają się schody.

Bo my, kobiety, w przeciwieństwie do mężczyzn, nie mamy tego zajebi-stego skilla, jaki mają faceci, i nie traktujemy wyniesienia śmieci w katego-riach wyczynu, który zasługuje na co najmniej ustną pochwałę, a najlepiej to już na dyplom i order – może być w postaci sześciopaku ulubionego trunku. O nie! My, kobiety, uznajemy za rzecz OCZYWISTĄ, że wszystkie obowiązki należy wykonać – nic ponadto. Żadnych fanfar.

Może gdyby istniał taki automatyczny system gratyfikacyjny: wstawienie prania – cyk! – kwiaty; rozwieszenie prania – pyk! – czekoladki; dotachanie w gorącym słońcu siat z zakupami (i wspomnianym sześciopakiem) – pstryk! – miłe słowo, komplement, bilet do kina... To może jeszcze miałyby-śmy poczucie, że coś nam tego dnia się udało... Wróć! Że nasza ciężka praca przyniosła przyjemny skutek, i to nie tylko w postaci czystego prania, oraz że jest to nasz jakiś, bądź co bądź, sukces. A co w rzeczywistości nam pozostaje, skoro same siebie nie potrafimy pochwalić? Otóż tyle, że gdy do-czołgasz się już późnym wieczorem do wanny i właśnie zaliczasz swój kwa-drans luksusu o charakterze higienicznym, to jeszcze przez zamknięte drzwi słyszysz burkliwy komentarz, że człowiek się normalnie odlać we własnym domu nie może, bo „PANI MA RELAKS”. Jaki relaks, na litość boską?!

Więc w takim ujęciu owszem: za każdym silnym i wielkim, odnoszącym sukces mężczyzną stoi kobieta. Stoi i przewraca oczami, bo w chwili gdy on odbiera nagrody i wyróżnienia, jej tylko na to starczy siły.

Do czasu.

Nadchodzi bowiem moment, w którym owa kobieta, wsparta przez silne i wyrobione od tachania siatek ramiona innych kobiet, mobilizuje siły. Resztki sił, się znaczy, i mówi: „Skończyły się dobre czasy kultury zapo-mogi”. A potem, pomiędzy koniecznością zrobienia zakupów i wstawienia trzeciego prania, porzuca ów kierat, poprawia koronę, zakłada pończochy i szpilki (albo skarpetki i tenisówki), wręcza facetowi listę to do i idzie speł-niać swoje marzenia. Bo przecież je ma.

A facetom nic do tego. Nic a nic.

Rozdział 1

Czasami powinnaś się odważyć. Włożyć sukienkę w kolorze intensywnej czerwieni, obficie skropić się perfumami, odezwać do tego fajnego faceta, którego codziennie mijasz w windzie, napisać pojednawczy list, zatańczyć bosą na plaży albo wyjechać w daleką podróż – i to w kierunku, którego obrać już nigdy więcej nie chciałaś. Bo co ci to da, jeśli jednak się nie odważysz? Jeśli nadal będziesz tylko chciała? Być może do końca swoich dni będziesz się zastanawiać, jak by to było, gdybyś... Co by się stało, jeślibyś... A potem, w tym ostatecznym momencie, zaczniesz żałować, że jednak się nie odważyłaś?

O godzinie dwudziestej pierwszej dwadzieścia dziewięć redaktorka Inga Winter włożyła do błękitnej walizki ostatnią sukienkę i podróżny zestaw akwarelek, po czym zamaszystym ruchem zasunęła zamek i odetchnęła głęboko, uznając misję za zakończoną. O godzinie dwudziestej pierwszej trzydzięci osiem była już w trakcie wypakowywania rzeczy z powrotem na łóżko, z solennym postanowieniem, że za nic w świecie nigdzie nie leci. Absolutnie, nie i już. Wołami z kareta jej tam nie zaciągną ani wypasionym mercem Baśki, ani szaloną ofertą wyprzedaży książek w lotniskowej księgarni w Berlinie (mimo że chętnie przeczytałaby sobie Goethego w oryginale). Choćby ją Anka z Baśką związały, zakneblowały i uprowadziły, ona nie da się wsadzić do samolotu.

Dla przyjaciółek nie było wcale tajemnicą, że kompletnie nie odpowiadał jej kierunek ich wspólnej wyprawy. Mogłaby sobie latać na wschód, na południe, na północ nawet, chociaż na samą myśl o Islandii czy Lofotach mar-

zły Indze stopy. Mimo wszystko dałaby radę! Wystarczyłyby bielizna termoaktywna, jakieś swetry z merynosa i dobre buty. I już. Ale na zachód? I to ten konkretny zachód?

Kiedy Ania zaproponowała, że polecą w trójkę odwiedzić jej siostrę Mariankę na Karaibach i zamieszkają w zarządzanym przez Lutka, męża Marianki, luksusowym, a przy tym bardzo ustronnym hotelu Golden Waves, przy samiutkiej plaży, zgodziła się bez wahania. Bo jak mogłaby się nie zgodzić na wyjazd, za który miała nie zapłacić ani dolara? Ba! – ani złotówki nawet. „Nie chcę od was żadnych pieniędzy. Mamy kasę i na wszystko nam wystarczy” – powiedziała wtedy Ania, a Inga się nie upierała, bo szczerze mówiąc, jej na tak egzotyczny wyjazd nie byłoby stać. Dopiero potem żałowała; oto bowiem dotarło do niej, że będą miały międzylądowanie w Miami. Wiadomo, Miami to nie Nowy Jork. Nawet obok niego nie leżało (a ściślej rzecz ujmując, to leżało dwa tysiące sześćdziesiąt pięć kilometrów dalej), lecz z jednego do drugiego dałoby się dojechać w bagatela dziewiętnaście godzin, a dolecieć w niecałe trzy, więc widmo Nowego Jorku, do którego nie chciała już nigdy więcej zawitać, ponownie zamajało na horyzoncie. Dziewczyny co prawda obiecały Indze, i to kilkakrotnie, że nawet nosa poza Miami nie wyściubią, ale jej to nie przekonało. Od paru dni mroczne wspomnienia z małżeństwa z Adamem i życia z nim w bajecznym, ale jakże znienawidzonym przez nią Nowym Jorku powracały niczym bumerang w dzień i nawiedzały w formie ekspresyjnych i wyrafinowane plastycznych koszmarów w nocy. Gdyby tylko Anka i Baśka znały całą prawdę... Może wtedy by jej odpuściły. Ale calutkiej prawdy Inga wyznać im nie mogła, po prostu.

Westchnęła i spojrzała na rozrzucone na łóżku ubrania, po czym ostatek sił zmusiła się do tego, by z powrotem zacząć je układać w rozbebeszonej walizce, a następnie wystukała wiadomość do przyjaciółek.



Prokuratorka Anna Krauze była już gotowa do drogi na trzy dni przed wyjazdem. Gotowa, rzecz jasna, hipotetycznie. Owszem, spakowała walizkę, sprawdziwszy wcześniej plan prognozy pogody dla Martyniki na ostatnie dwa tygodnie grudnia i uzgodniwszy z siostrą wymagania względem dress code gości na kolacji wigilijnej w Golden Waves (nie było żadnych), wybrała elegancką sukienkę, a nawet parę pończoch (inaczej Baśka nigdy by jej nie wybaczyła; „sylwester bez pończoch to nie sylwester” – tak powiedziała) i parę szpilek – ale tylko jedną. Uznała bowiem, że skoro na co dzień biega w wysokich obcasach do pracy, na wakacjach może sobie pozwolić na chodzenie w obuwiu na płaskiej podeszwie. Albo jeszcze lepiej – boso. Zamknąwszy walizkę, wepchnęła ją głęboko pod łóżko i odetchnęła z ulgą. Tak jakby.

Im bliżej było terminu wylotu, tym Anka coraz bardziej się bowiem dennerwowała. Walizkę schowała nie dlatego, że jej zawadzała w maleńkiej sypialni, ale dlatego, że nie chciała na nią patrzeć, przynajmniej na razie. Cieszyła się jak diabli, że zobaczy Mariankę, wyściska szwagra i dzieciaki. Ale radość ze spotkania z rodziną skutecznie i nachalnie przyćmiewał strach. Gigantyczny strach Anki przed lataniem.

I żeby nie było, owszem, od kilku lat próbowała sobie z nim radzić. Przed każdym lotem ssła cukierki ziołowe, łykała tabletki nasenne, poszła nawet na seans hipnozy. Cukierki były dobre tylko na początku, przy starcie, bo potem, w trakcie lotu, zjadła całe dwie paczuszki ot tak, nie mając czym zająć rąk, i w związku z tym do panicznego lęku doszły jeszcze nudności wywołane spożyciem nadmiernej ilości cukru. Tabletki spowodowały u niej reakcję paradoksalną, bo dostała po nich niemalże palpacji serca. A w trakcie sesji hipnoterapeutycznej wyszło na jaw, że jest kompletnie niepodatna na sugestie („I słusznie” – orzekła Inga, kiedy Anka jej o tym opowiedziała. „Właśnie dlatego jesteś taką świetną prokuratorką”).

O dwudziestej pierwszej czterdzieści trzy, na wieczór przed wylotem, Anka zdecydowanym ruchem wyszarpnęła szarą walizkę spod łóżka, czując w piersi ciężar, a na karku zimne kropelki potu. Wprawnym ruchem rzuciła bagaż na materac i otworzyła, by wszyściusięńko wypakować z powrotem

do szaf. Na samym wierzchu, na poukładanych równiutko rzeczach, leżały pończochy i para szpilek. Przejechała palcem po koronkowym wykończeniu bielizny. „Jak przyjdzie kryzys, wizualizuj sobie drinki z kokosa i rumu albo shoty z pępeków przystojnych barmanów!” – zarządziła Barbara, po czym obiecała, że w trakcie lotu znajdzie sposób, który pomoże Ance przetrwać.

Strach przed lataniem paraliżował ją od tygodnia, a od trzech dni prawie nie spała, przez co zamykanie spraw w robocie przychodziło jej z gargantuicznym trudem. Na szczęście istniał jeszcze Zenek Łągiewka, starszy kolega po fachu, który był zawsze pod ręką i w miarę możliwości ściągał na siebie uwagę wkurzonego na nią Starego. Niemniej tego dnia, pierwszego dnia urlopu, Anka postanowiła, że nigdzie nie leci. Trudno. Przeprosi Mariankę, prezenty dla dzieci wyśle pocztą, a dziewczyny... One jakoś zrozumieją. Chyba.

Wybiła dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem, kiedy wyjęła z walizki ostatnią parę lnianych spodni. I właśnie wtedy ciszę sypialni przerwał dźwięk przychodzącej wiadomości. Rzuciła okiem na ekranik. Inga napisała: „Ogarniemy to, bejbe!”. Anka westchnęła, policzyła do dziesięciu i włożyła spodnie z powrotem do walizki.



Barbara Kochańska, dyrektorka operacyjna na region Europy Środkowo-Wschodniej w jednym z największych światowych koncernów farmaceutycznych, od godziny dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dwie do dwudziestej trzeciej trzynastie zdążyła się spakować i rozpakować jakieś dwanaście i pół raza. I nie, wcale nie dlatego, że bała się celu podróży czy środka transportu, jakim miały się dostać do tego rajy na ziemi, kochała bowiem i dalekie wyprawy na egzotyczne wyspy, i loty samolotem. Barbara Kochańska najzwyczajniej w świecie nie potrafiła się zdecydować, co powinna

ze sobą wziąć. Bo co do tego, że zadałaby szyku nawet w worku po ziemniakach, nie miała wątpliwości. Ale przecież nie o to chodziło.

Stojąc przed sporych rozmiarów garderobą, zamglonym od trudu decyzji wzrokiem wgapiła się w rzędy jedwabnych, lnianych i szyfonowych sukienek, bluzek i spodni, zastanawiając się, czy lepiej zestawić je z sandałkami, szpilkami czy może espadrylami, którymi na co dzień gardziła, ale które na wakacjach sprawdzały się (co z trudem przyznawała również ona) znakomicie. A kiedy już zaczęła wybierać i układać ubrania w angorkowej walizce Delseya, ciągle jej coś nie pasowało. Z ciuchami na spotkania biznesowe nigdy nie miała takiego problemu. Kilka dyżurnych garniturów od Ralph Laurena i szpilki z czerwoną podeszwą sprawdzały się w każdej sytuacji. Ale tu chodziło o coś więcej: o to, by wyglądać jednocześnie na luzie i z klasą. Ostatecznie, po wielu próbach, wybór padł na biel, biel i jeszcze raz biel: szorty, lekki sweter i zwiewne sukienki od obiecującej, ale póki co mało znanej polskiej projektantki, a do tego kilkanaście klasycznych dodatków od Dolce, Vuittona i Prady w postaci torebek, okularów przeciwsłonecznych, chustek na głowę, pończoch (rzecz jasna) i łańcuszków na kostkę (bo według Barbary nic tak nie zdobiło nagich opalonych kobiecych stóp jak delikatna biżuteria).

O godzinie dwudziestej trzeciej czternaście Barbara z poczuciem głębokiego zadowolenia z siebie zamknęła ostatecznie walizkę i wystukała wiadomość na grupowym czacie: „No to w drogę, dziewczęta!”, na co otrzymała niemal równocześnie odpowiedź: „No...” (to Inga) i „Yhm...” (to Anka). „Nie przesadzajcie z tym optymizmem” – odpisała im Barbara. Uświadomiła sobie, że będzie musiała wymyślić jakiś sposób, by pierwsza z nich zdołała się wychillować na rajskiej wyspie, a druga w ogóle tam dotarła.



Do lotniska w Berlinie dojechały najwygodniejszym na świecie mercedesem Baški, rozmawiając, słuchając płyt Bajmu, a nawet śpiewając wraz z Beatą co bardziej ukochane utwory. Lecz pomiędzy jednym a drugim kawałkiem każda z nich była myślami zupełnie gdzie indziej. Baška rozkoszowała się perspektywą spędzenia lotu do Miami w samolocie marzeń, airbusie A380. Widziała już siebie pijącą prosecco, a potem odzianą w jedwabną piżamę i oddającą się relaksowi w prywatnej kabinie z prywatną, ekhem, obsługą... Inga martwiła się wystawą w galerii i tym, czy Kuba sam sobie poradzi (mimo że wernisaż udał się znakomicie, a jej obrazy i printy zaczynały budzić zainteresowanie, zwłaszcza odkąd wspólnie zajęli się ich promocją w internecie). Anka zaś próbowała sobie imaginować spotkanie z siostrą Marianką i radość dzieciaków, wysokie palmy i szalenie błękitną wodę, czyli wszystko, co zobaczy już po tym cholernym kilkunastogodzinnym locie, ale wizję skutecznie przyćmiewała jej rozbuchana migrena z aurą, którą łąpała zwykle w chwilach szczególnie silnego zdenerwowania. Ostatecznie pod koniec podróży poprosiła Basię o ściszenie muzyki i założyła opaskę na oczy, by ograniczyć dostęp drażniących światła na drogach, po czym poddała się delikatnym wibracjom silnika.

Na lotnisko dotarły dwie godziny przed odprawą, co uspokoiło zwłaszcza Inge i Baškę, bo lubiły być wszędzie na czas, a poza tym planowały wizytę w księgarni i wypicie kawy. Ance było za to głęboko wszystko jedno. Otumaniona pulsującym bólem głowy i spięta ze stresu, siedziała nieruchomo na tylnym siedzeniu, z obłędem w oczach i pragnieniem rychłej śmierci w duszy, podczas gdy dziewczyny powoli zbierały się do wyjścia z samochodu. Z odrętwienia wyrwał ją okrzyk Baški:

– Co to, do cholery, jest?!

Anka obróciła się przez ramię i tępo spojrzała na przyjaciółkę. Baška stała przy otwartym bagażniku i wybałuszała na coś oczy.

– Ale co... – zaczęła Inga, dopinając kurtkę. – O kurde! – wyrwało się jej.

Anka prawie na czworakach wpełzła z auta, szczelnie owinęła się szalikiem i dobiegła do dziewczyn. Miejsce, na którym zaparkowała Baška, było o wiele szersze i o wiele dłuższe niż te znajdujące się po sąsiedzku,

a posadzkę naznaczono radośnie różowitką farbą, z której wybijała namalowana kobieca postać w rozłożystej spódnicy.

– Czy mnie się tylko wydaje, Inga, czy to jest... – Barbarę aż zatkało z oburzenia.

– Jawny seksizm... – dokończyła powoli Inga. – Choć szczerze mówiąc, taki nie najwyższych lotów... Co poniektórzy by go zapewne podciągnęli pod wyjątkową troskę o kobiety i ich potrzeby, tłumaczyli nam słodko-pobłażliwym tonem, że to dla naszego dobra... Mansplaining i tak dalej.

– Mansplaining? A czy ja wyglądam, jakbym potrzebowała, żeby jakiś facet mi cokolwiek tłumaczył? Może jak powinnam parkować? – fuknęła wkurzona Baśka. – Niejednego to ja mogłabym nauczyć, jak to robić! Dobra, dziewczyny, wyładujmy się, a potem przeparkuję wóz. Nie zamierzam stać na tym... Na tym... Na...

– Mogę paniom w czymś pomóc? – Zza ich pleców dobiegł niski męski głos, władający angielszczyzną z wyraźnym francuskim akcentem.

Wszystkie trzy obróciły się jednocześnie.

– Nnnie – odparła zaskoczona Inga na widok wysokiego szpakowatego mężczyzny w typie Pierce’a Brosnana, o oczach błękitnych jak bagienne niezapominajki. – Nic się nie...

– Pan to co najwyżej może pomóc sobie! – weszła jej w słowo zirytowana Barbara. – Nikt pana nie nauczył, że to nieładnie podsłuchiwać?! I niekulturalnie, delikatnie rzecz ujmując, przerywać kobietom, kiedy doskonale radzą sobie ze wszystkim same?

Sobowtór Pierce’a, w szykownym wełnianym płaszczu i kaszkiecie w kratkę, uniósł brwi.

– I skąd w ogóle pomyśl, że potrzebujemy pana pomocy, co? – ciągnęła Barbara. – Prosił pana o coś ktoś? Koleżanka na przykład? – Machnęła dłonią w kierunku Bogu ducha winnej Anki, która miała ochotę zapaść się pod ziemię, choćby miało się to stać w najbardziej żenującym miejscu na świecie, czyli na różowitkowym miejscu parkingowym tylko dla kobiet. – Czy wyglądamy na potrzebujące? No, słucham! Otóż właśnie. Nie. Ani nie wyglą-

damy, ani nie potrzebujemy. Pomocy ani pana, ani żadnego innego przedstawiciela pana gatunku, który w swoim mniejszym od naszego mózgu wymyślił sobie, jakoby kobiety pragnęły tego oto wyjątkowego przywileju, jakim jest większa przestrzeń do parkowania. No bo czym by nam można zamknąć usta, jeśli nie przywilejem zastępczym, co? Po co nam równe płace i parytety, kiedy możemy sobie walizki wygodnie wypakować? I jeszcze może powinniśmy być za to wdzięczne, co? Dziewczyny – zwróciła się do oszołomionej Ingi i skołowanej Anki. – Bagaze w dłoń i jazda. A ja nas przeparkuję.

To powiedziawszy, wyszarpnęła z bagażnika największą na świecie walizkę, jaką Inga widziała na oczy, po czym gestem zachęciła przyjaciółki do tego samego. Kiedy auto było puste, zasiadła za kółkiem i zgrabnie przejechała kawałek dalej na najzwyczajniejsze miejsce, wąskie i nieustawne jak bogini przykazała.

Mężczyzna tkwił jeszcze przez chwilę w bezruchu, usiłując zrozumieć nagły wybuch nieznanego, po czym zrezygnowany wziął głęboki oddech i ruszył ku windzie. Barbara po chwili zmaterializowała się obok dziewczyn i wyjąwszy rączkę walizki, zakomenderowała:

– *C'mon, girls*, nie zamierzam tu spędzić ani kwadransa dłużej. Choć czuję, że teraz nie kawa, a melisa będzie mi potrzebna. Najlepiej w jakimś porządnym drinku.



Drinków z melisą co prawda lotniskowy bar nie serwował, ale Barbara zdołała się pocieszyć kieliszkiem merlota, a potem filiżanką czarnej jak jej dusza kawy. Anka i Inga solidarnie wypiły tylko kawę, i to bezkofeinową, uznawszy, że obie emocji mają aż nadto.

Zahaczyły jeszcze o piekarenkę, gdzie kupiły słodkie cynamonowe bułeczki oraz precle z solą, po czym przysiadłszy na chwilę w hali odlotów, oddały się ostatnim rozważaniom na europejskiej ziemi. Inga skończyła pi-

sać z Kubą, powoli zaczynała za nim tęsknić i opędzała się od myśli, że lada moment (choć lada moment w rzeczywistości oznaczał kilkanaście godzin podróży) znajdzie się niebezpiecznie blisko Nowego Jorku. Barbara uznała, że zmieni espadryle na szpilki, gdyż jak stwierdziła, airbus wymaga finezji, a ona akurat zupełnym przypadkiem w bagażu podręcznym zawsze targa louboutiny. Anka z kolei starała się nie myśleć wcale, niestety bezskutecznie. Podróż do Miami miała trwać długo; na szczęście nie leciała sama, tylko z najlepszymi przyjaciółkami, i to było jedyne, co trzymało ją w jako takim pionie.

– Zobaczysz, że tym razem będzie inaczej – zapewniła Baśka. – Airbus to magia. Nawet nie poczujesz, że lecisz samolotem – dodała. – To coś bardziej jak kilka godzin w eleganckim butikowym hotelu.

Anka wiązała z oboma argumentami wielkie nadzieje, lecz jej mózg wysyłał do wszystkich komórek ciała sygnał o niebezpieczeństwie i już w hali odlotów, tuż przed wejściem na pokład, czuła nieprzyjemne drżenie rąk i napięcie całego ciała. Inga ścisnęła ją za ramię.

– Hej, jak tam? – zapytała łagodnie.

– Nijak – wyszeptała Anka, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, bo gardło blokowało jej potężna gęła. – Mam ochotę stąd wiać.

– Przejdziemy przez to razem, Aneczko – odezwała się Baśka zadziwiająco łagodnym tonem. – A potem będziesz się z tego śmiała, zobaczysz.

Równym krokiem ruszyły przez lotniskowy rękaw, by dotrzeć do upragnionego celu, kiedy nagle Baśka zamachała gwałtownie rękami, zachybotła się i z siarczystym, niecytowanym i nieparlamentarnym komentarzem na ustach niemal wylądowała na podłodze. Niemal, gdyż w ostatniej chwili pochwyciła ją męska dłoń.

Dziewczyny rzuciły się w jej kierunku, podczas gdy Barbara próbowała podnieść się z godnością, którą w jej mniemaniu zakłócała owa męska kończyna spoczywająca w okolicach jej talii.

– Cieszę się, że jednak mogę w czymś pomóc – odezwał się właściciel pomocnej dłoni po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem, ten sam,

którego na lotniskowym parkingu Baśka nie omieszkała zrugać. – Czy wszystko w porządku z pani nogą?

Barbara, która od razu rozpoznała sobowtóra Pierce’a Brosnana, w pierwszym odruchu chciała, naprawdę chciała po raz drugi mu się odgryźć, musiała jednak przyznać w duchu, że tym razem jego troska była w pełni uzasadniona. Z jej nogą bowiem rzeczywiście nie wszystko było w porządku. To znaczy nie do końca z nogą, a ze szpilką. Spojrzała na samotny i złamany życiem dziesięciocentymetrowy obcas i syknęła:

– Przecież dopiero co je kupiłam!

– *Madame...* – podjął spokojnym tonem nieznajomy.

Rozpiął płaszcz i oczom Baśki ukazał się kiczowaty sweter w serek. Syknęła w duchu.

– Proszę się nie martwić na zapas... – ciągnął tymczasem nieznajomy. – O ile dobrze widzę, te louboutiny to model Pigalle Follies ze skóry cielęcej.

Baśka gwałtownie zamknęła usta, po czym znów je rozdziawiła. Sweter w serek przestał istnieć.

– A tak się składa, *madame...* – kontynuował mężczyzna.

– *Mademoiselle...* – poprawiła go z nagłą spacyfikowana Barbara.

– *Mademoiselle, bien sûr...* Naturalnie... A więc tak się składa, że na takie nieprzyjemne okoliczności, które zawsze się zdarzają w najmniej odpowiedniej chwili...

Anka uniosła brwi i rzuciła zdziwione spojrzenie Indze, a ta przewróciła oczami.

– ...mam przy sobie specjalny klej, który nie zostawia śladów, a ratuje wszystkie nasze ukochane buty. Proszę spojrzeć. – Wskazał na swoje sztyblety, a wprawne oko Barbary natychmiast rozpoznało limitowany wzór Santoniego. – Ledwie chwilę temu poluzował się obcas. A czy widać? Nie widać! Ten klej działa cuda! Zatem *mademoiselle...* – zniżył głos. – Czy pozwoli mi pani naprawić pantofelek?

– Tak, jak najbardziej – odparła łaskawie. – Muszę tylko zmienić obuwie...

Bez cienia zażenowania na twarzy wyjęła z podręcznej torby espadryle i z dystynkcją królowej angielskiej wsunęła w nie stopy. Ocalałą szpilkę schowała, podczas gdy ułamany obcas i but niepostrzeżenie przejął nieznanjomy.

– A pan nazywa się... – Basia zawiesiła głos.

– Jonathan. Jonathan Russo – odparł mężczyzna, a widząc zaciekawiony wzrok Barbary, wyjaśnił: – Moja matka jest Francuzką, a ojciec Amerykaninem.

– A więc mariaż wysublimowania, pasji i namiętności z otwartością na świat i smyką do interesów. Mieszanka niemal idealna. Niemal, bo przecież ideały nie istnieją, prawda? – podsumowała Barbara wyjątkowo miękko.

Jonathan patrzył na Barbarę z niekłamany zachwytem i chyba nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, co ona przyjęła za komplement.

– Podróżuje pan biznesowo czy turystycznie? – zagadnęła, sycąc się jego zakłopotaniem.

– Lecę w odwiedziny do rodziców – bąknął, po czym odchrząknął i dodał dystyngowanie: – Wybacz pani, *mademoiselle*, ale czy... mogę prosić o pani imię?

– Barbara. – Wyciągnęła w jego kierunku smukłą dłoń, a on ujął ją z namaszczeniem i delikatnie uścisnął.

– Barbara – powtórzył z francuskim drżącym „r”. – A zatem *cudzoziemka*. Dosłownie i w przenośni.

Tu Inga musiała przyznać, że facet od kleju nawet jej zaimponował. Nie sądziła, że gość o twarzy Pierce’a Brosnana potrafi rozszyfrować starożytne znaczenie imienia przyjaciółki. No ale nosił tweedowe spodnie i elegancki płaszcz, więc... Kto go tam wie. Może to jakiś wykładowca akademicki podróżujący incognito...? Albo Indiana Jones na urlopie...?

Baśka zachichotała i ten zupełnie niespodziewany dźwięk wyrwał Inge z rozmyślań. Barbara – przewodniczka ich stada, orlica i mistrzyni riposty –

chichotała jak nastolatka. Inga spojrzała na Ankę, która zaciskała wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Jonathan z kolei spoglądał na Baškę zauroczony.

W czwórkę ruszyli w kierunku wejścia do samolotu, przy którym dyżurowały dwie elegancko ubrane stewardesy i witały gości bardzo uprzejmie, ale bez przesadnego uniżenia (co Barbara z satysfakcją odnotowała).

Jonathan mówił coś jeszcze, a ona ukradkiem go lustrowała. Ciemnowłosy wysoki mężczyzna o przyprószonych srebrem siwizny skroniach (a Barbara kochała srebro równie mocno jak brylanty i rest room w hotelu Plaza) miał mocną szczękę i ujmujący uśmiech, a jego oczy – niebieskie i przepastne – były okolone długimi ciemnymi rzęsami. Ubiór, dość nieśpójny – bo jednak elegancki płaszcz ani rzucone buty od Santoniego nie współgrały ze swetrem z dekoltem w serek (tego wyboru Barbara doprawdy nie rozumiała) – nie zniechęcał Barbary ani odrobinę. Co więcej, poszczególne jego części składały się na komplet jakby skrojony na Jonathana „SuperGlue” Russo.

Zbliżali się do drzwi, kiedy mężczyznę olśniło.

– Przepraszam, ale nie zabrałem kapelusza. Muszę wrócić do hali odlotów – wytłumaczył i zrobił w tył zwrot.

Barbara zerknęła jeszcze przez ramię w jego stronę i z satysfakcją odnotowała, że sylwetkę miał nader interesującą.

Otrząsnąwszy się z drugiego i zdecydowanie lepszego wrażenia, jakie zrobił na niej Jonathan Russo, pół Francuz, pół Amerykanin, oddała się rozmyślaniom o tym, jak w powłóczystej prześwitującej narzutce będzie z wdziękiem spoczywać na leżaku pod palmą i rozkoszować się błękitem wody oraz smakiem Ti’Punch, klasycznego karaibskiego drinka, który niektórzy mieszkańcy wysp spożywali zamiast kawy. Anka za to, na swoje nieszczęście, wyobrażała sobie lichą łódeczkę pośrodku rozszalałego szkwałem oceanu oraz siebie w roli sterniczki i próbowała nie zwariować, pocieszając się tym, że lada moment przebierze się w piżamę, wypije melisę i spróbuje zasnąć (choć w samolocie nigdy wcześniej jej się ta sztuka nie udała), a obudzi się już w zupełnie nowej, zdecydowanie przyziemnej rzeczywistości. Inga z kolei, podziwiając ogrom maszyny, myślała o tym, że

nie dość, że znów leci do Stanów, to w perspektywie ma dwa tygodnie bez Jakuba. Bardzo chciała spędzić z nim sylwestra, bo jej ostatnie sylwestry były z gatunku tych samotnych, kiedy pije się gorącą czekoladę i do późna ogląda Netfliksa. I nie było w tym nic złego, lecz gdy miało się kogoś, z kim można było wspólnie podkładać własne dialogi do filmów, chciało się spędzić ten czas z nim. Choćby i pod kocem, z kubkiem gorącej czekolady, zasypiając tuż przed północą. Albo i nie zasypiając do białego rana, z wielu innych powodów niż wciągający film.

Stały już na progu airbusa. No właśnie: airbusa... Podróż do Marianki była impulsem, który trącił Ankę po rozstaniu z Damianem, jej wieloletnim partnerem. Po całej tej trudnej i zwariowanej historii postanowiła zaszaleć i zaprosić swoje przyjaciółki, Baškę i Ingę, na wspólne wakacje. Rzecz jasna, w normalnych okolicznościach nie byłoby jej stać na taki gest, choćby bardzo chciała, ale to nie były normalne okoliczności, bo odejście Damiana wiązało się z przypływem wielkiej porozstaniowej kasy, z którą Anka nie zamierzała się na długo wiązać. Wyjazd na Karaiby wydawał się wobec tego idealnym rozwiązaniem.

– Jest naprawdę gigantyczny – szepnęła Inga, patrząc szeroko otwartymi oczami na samolot.

– Aha – mruknęła Anka.

– Bo to nie jakiś tam maluszek ze śmigielkami, który lata po krajowych trasach, a wielgaśny odrzutowiec bez turbulencji – skłamała Barbara, bo te w istocie mogły się zdarzyć, choć ryzyko było mniejsze niż przy skromniejszych samolotach. – I jest ponoć najwygodniejszy na świecie. Każda z nas będzie miała oddzielną kabinę z leżanką, telewizorem i ekstrasami, które, jak zapewniają w ofercie... – Zerknęła do komórki, kliknęła raz, drugi, trzeci i odczytała: – „Sprawia, że nawet najdłuższy lot upłynie szybko, komfortowo oraz nadzwyczaj odprężająco”.

Anka westchnęła głęboko. Nie była jak inni podróżni: nie zachwycała się tą wielką maszyną ani nie robiła jej wcześniej zdjęć. Tępo gapiała się przed siebie, starając się uspokoić nierówny oddech.

Inga obejrzała się na nią.

– Dajesz radę?

Anka w odpowiedzi mruknęła coś niezrozumiale, a Inga spojrzała błagalnie na Basię, szukając u niej ratunku.

– Już za chwilę zrelaksujemy się przy tartaletkach, preclach i prosecco – powiedziała Barbara. – A potem czas jakoś zleci i ani się obejrzysz, jak wyładujemy u Marianki i będziemy wystawiać nasze boskie powłoki do słońca, na leżaczkach pod palmą albo w hamaku. Zatrudnimy jakiegoś Miguela do masażu, a jak trzeba, to nie tylko do masażu. Ale, jeśli mi tu zejdziesz, bejbe, to dupa biała z ciebie będzie, a nie opalona na apetyczny brązik lalunia, od której po powrocie do lodowatej Polski nikt nie będzie potrafił oderwać wzroku.

Anka jęknęła.

– Nie zagaduj mnie, Baśka. Mnie już chyba nic nie pomoże.

– A dobry drineczek na wyższym pokładzie? Czytałam, że mają doskonale wyposażony bar.

– Mnie wystarczą doskonale wyposażone łóżko, zatyczki do uszu i opaska na oczy.

– I dają też jedwabną piżamę.

Anka nie odpowiedziała, ale zbombardowała Barbarę spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że miała głęboko gdzieś, czy zaśnie otulona delikatnym jedwabiem, czy szorstkim lnem. Liczyło się tylko to, by jakimś cudem udało jej się zasnąć. A potem obudzić się na drugim brzegu Atlantyku.



W końcu dziewczyny przekroczyły próg airbusa i oniemiały. Zdjęcia w internecie robiły wrażenie, ale rzeczywistość przebijała je po stokroć. Jasna, podzielona na strefy przestrzeń okazała się niezwykle wyrafinowana i jednocześnie tak przytulna, że nawet Anka poczuła coś na kształt ulgi. Baśka już zmierzała ku swojej kabinie, prowadzona przez jedną ze stewardes, a po

chwili do dziewczyn podeszła druga i po angielsku poprosiła, by udały się za nią.

Kilkadziesiąt sekund później każda z nich znajdowała się u siebie. Inga opadła na szerokie łóżko, mile zaskoczona, że materac jest niemal tak wygodny jak jej własny. Pogładziła dłonią jasnokremową i chłodną jedwabną piżamę, równiusieńko złożoną na poduszce, i przymknęła oczy. Ostatni raz miała taką na sobie... Nie, nie chciała o tym myśleć, jednak demon już ją dopadł i wyświetlał w głowie obrazy z życia z Adamem na ostatnim piętrze apartamentowca w Nowym Jorku, gdzie w ogromnej garderobie wielkości jej poznańskiego mieszkania leżało kilkanaście takich piżam, mniej lub bardziej fikuśnych. Wisiały tam również halki z koronką, komplety francuskiej bielizny i wiele innych rzeczy, które ówczesny mąż, Adam, wręczał jej za każdym razem, gdy przekroczył wszelkie granice przyzwoitego zachowania. Indziej przyszło po wielokroć wlec prawie nieprzytomnego, upojonego alkoholem męża po kolejnych imprezach w gronie jego wysoko postawionych znajomych, szumnie nazywanych przyjaciółmi lub partnerami biznesowymi. Po przekroczeniu progu mieszkania Adam zwał się bezwładnie na podłogę i tak zasypiał, a Inga szła do łazienki, zmywała makijaż, zdejmowała niewygodną obcisłą sukienkę i wkładała jedną z tych jedwabnych piżam, po czym wślizgiwała się do ogromnego małżeńskiego łóżka, nakrywała kołdrą po czubek głowy i zasypiała z myślą o tym, że jeśli jednak jakimś cudem płaskoziemcy mają rację, to ona właśnie dotarła na skraj świata. I miała ochotę skoczyć.

Ze szponów niechcianego wspomnienia wyrwało ją ciche pukanie do drzwi i po chwili w szparze pojawiła się głowa Anki. Przyjaciółka była blada jak prześcieradło i miała minę mocno niewyraźną. Inga uniosła się na łokciach.

– Co tam, Aneczka? Baśka już zwołała pospolite ruszenie i wzywa nas na górny pokład?

Anka pokręciła głową.

– Konwersuje z gościem od kleju, bo okazało się, że ma kabinę obok niej, więc... Cóż, możliwe, że właśnie organizuje sobie indywidualny kurs

szewstwa.

Inga uśmiechnęła się pod nosem.

– No tak. A masz ochotę na wyprawę do baru?

– W sumie to nie wiem. – Anka wzruszyła ramionami, ale zaraz klapnęła na łóżko obok Ingi. – Możemy – dodała już nieco mniej spięta.

– Możemy też przez chwilę pokisić się tutaj – zaproponowała Inga. – Albo skoczmy na jakąś herbatę. Kiedy się stresowałam, mama zawsze parzyła mi herbatę. Wierzyła w dobroczynne działanie ciepłego napoju. Mówiła, że kiedy jest ciepło na ciele, duszy też jakoś różnie. Poczekamy tu sobie na start, a potem pójdziemy się rozgrzać. Co ty na to?

Rozdział 2

Jeśli uważnie przyjrzymy się historii odkrywania nowych lądów, dostrzeżemy w niej wiele fałszów. Na przykład Krzysztof Kolumb, który wcale nie chciał znaleźć Nowego Świata, sądził, że dotarł do miejsca, które w rzeczywistości znajdowało się, bagatelnie, trzynaście tysięcy kilometrów dalej – a to i tak zdecydowanie jedna z najmniejszych jego „wpadek”. Czasem jednak odkrywanie nowego lądu, zwłaszcza to pojmowane niedostownie, jak na przykład spotkanie z nieznanym nam dotąd człowiekiem, może zaprowadzić nas w całkiem dobre rejony, pożyteczne rejony, rejony pokrzepiające naszą duszę... Nawet jeśli pierwsze wrażenie nie będzie najlepsze.

Wszyscy, którzy mówią, że szerokość geograficzna nie ma wpływu na ogólne samopoczucie, bo równie szczęśliwym bądź nieszczęśliwym można być w Radomiu i El Gounie, powinni wysączyć drinka z procentami lub bez na pokładzie airbusa 380. No, może prawie wszyscy. Wszyscy poza prokuratorką Anną Krauze, która chwilę po starcie, choć ten był wyjątkowo komfortowy, na miękkich nogach i niemal po omacku dotarła wraz z Ingą na górny pokład. Półkolisty bar okazał się wyjątkowo dobrze zaopatrzony; po pierwszej herbacie, którą wmusiła w siebie ze ściśniętym gardłem, nadeszła pora na wieloowocowe soki, a po nich dziewczyny zamierzały płynnie przejść do drinków. Anka jeszcze przez jakiś czas była niewyraźna, ale Inga trwała przy niej i choć sama dusiła się ze swoimi myślami o Nowym Jorku, zagadywała przyjaciółkę opowieściami o pomysłach na serie obrazów, a potem zaczęła wypytywać o hotel i Mariankę.

Wreszcie na horyzoncie pojawiła się Barbara. Miała na sobie jasną ołówkową sukienkę i cudem odratowane szpilki, które teraz, w całej okazałości, zaprezentowała, zasiadłszy na hokerze.

– Widzę, że nowa znajomość okazała się wyjątkowo owocna – wysiliła się na żarcik Anka, spoglądając na naprawiony but. – Jak dalece, zdradzisz nam? I skąd, u licha, wytrzasnąłaś tę kieckę? Ją też zmieściłaś do tego swojego podręcznego mikrobagażu?

– Owszem. – Basia skinęła na barmana i zamówiła prosecco. – Ostatnio życie daje mi wyraźne znaki, że trzeba być przygotowanym na różne sytuacje. Szkoda tylko, że nie dołącza wskazówek i muszę się ratować partyzantką.

– Dołącza, i to całkiem sporo. Ale trzeba być na nie otwartym, uważnym, ciekawym...

Anka, Inga i Baśka uniosły zdziwione spojrzenia na mężczyznę, który nagle zmaterializował się obok nich i przemówił w języku polskim, choć z silnym greckim akcentem.

– Ale jeśli ma się tak zablokowane czakry jak pani – kontynuował zupełnie niespieszony oszołomieniem dziewczyn – oraz pani – posłał spojrzenie Ance – to nic dziwnego, że los się z paniami nie cacka, nie bawi, nie oszczędza pań... – ciągnął, rozsiadając się na sąsiednim stołku barowym. – A u pani to już w ogóle nic nie widać – dodał, spoglądając na Ingę pełnym dezaprobaty wzrokiem. – Ani kawałeczka aury. Jak pani w ogóle dotrwała do tego momentu w życiu, to ja nie wiem. Chyba tylko ślizgiem po powierzchni. Na szczupaka, że się tak wyrażę.

Pierwsza ocknęła się Barbara.

– A pan, przepraszam, to zawsze taki bezpośredni czy dziś jest jakiś wyjątkowy układ planet i nam się poszczęściło, co? Zaćmienie Księżyca w znaku Barana może?

Barman postawił przed Basią kieliszek prosecco, a przed tajemniczym mężczyzną kieliszek martini, zupełnie jakby znali się już wcześniej.

– Pozwólą panie, że się przedstawię. Arystoteles Apostolakis. Wielebny Arystoteles Apostolakis – oznajmił śmiertelnie poważnie nieznanemu. – A zwracam się bezpośrednio, bo życia mi szkoda na filcowanie słów zbędnymi ozdobnikami.

Barbarę prawdziwie zatkało. Upiła spory łyk i wydusiła z siebie zdumione:

– Aha.

– Usłyszałem, że zwracają się panie do siebie po polsku, a że język ten i zarazem kraj nad Wisłą wielbię miłością przenajwiększą, wyjątkową, mistyczną niemal, postanowiłem podejść jedynie z zamiarem przywitania się. Ale kiedy już się zbliżyłem, wyszło na jaw, że jestem wam bardzo potrzebny, a nawet niezbędny.

– Jest nam pan po-trzeb-ny? – Barbara natychmiast odzyskała rezon.

Zmierzyła Arystoteles Apostolakis spojrzeniem od stóp do głów i bez wahania uznała, że jej akurat tenże mężczyzna potrzebny nie jest.

Cóż, wielebny Arystoteles Apostolakis adoniszem z pewnością nie był. Z gruntu niewysoki, o znacznie przerzedzonych włosach, szczególnie na czubku głowy, nieco komiksowej urodzie, z kartoflowatym nosem, podwójnym podbródkiem i wystającym brzuszkiem idealnie pasowałyby do jakiegoś hobbickiego lub skrzaciego uniwersum. Gdyby nie garnitur od Ralphi Laurena z haftowanym logo i całkiem intrygujący styl bycia, od razu by go spławiła. Takich jak on uważała bowiem za pospolitych ściemniaczy.

– Tak, jestem paniom potrzebny. I to bardzo – odparł Arystoteles z pewnością w głosie. – Ale zanim objaśnię szczegóły, uprzejmie wnoszę o zachowanie konwenansów. Jestem wielebny Arystoteles Apostolakis i doceniam, kiedy w ten właśnie sposób do mnie się zwraca. To mnie identyfikuje, tak samo jak panią perfumy... – Nachylił się w stronę Barbary. – *La Vie Est Belle?*

Barbara skinęła głową.

– I pociąg do otumaniających, acz rozkosznych bąbelków, w których i mnie zdarza się czasami szukać ukojenia – dokończył.

Baśka uniosła kieliszek w geście toastu i upiła łyk.

– A zatem wielebny...? – pospieszyła go.

Mężczyzna poprawił się na hokerze.

– Jestem obywatelem świata. Urodziłem się w Grecji, wychowałem w Polsce, a teraz mieszkam w Stanach. Kocham te trzy kraje, ale Polskę, niech mi moja mateczka Hellada wybaczy, najbardziej. Swego czasu wasz wspaniały kraj przyjął pod dach wielu moich rodaków i pomógł, zaopiekował się, otoczył pieczą, więc ja teraz robię, co mogę, dla jego dzieci.

– A dokładnie?

Arystoteles zmrużył oczy, najwyraźniej nie rozumiejąc.

– Co takiego sprawia, że jest nam wielebny potrzebny? – doprecyzowała Barbara.

Arystoteles Apostolakis wyprężył pierś, wyraźnie szykując się do długiej perory.

– Jak wspomniałem, chciałem się tylko przywitać i odświeżyć usta mową polską, szeleszczącą niczym liście wierzby płaczącej nad głową Chopina – przymknął na chwilę oczy – ale dostrzegłem, że paniom potrzebna jest pomoc. Moja pomoc – uściślił. – Babcia moja, Safona, świeć wszechświecie nad jej duszą – nabożnie skłonił głowę – odziedziczyła po swojej babce takie wyjątkowe umiejętności, że potrafiła człowieka na wskroś przeświecić, przeczytać, pojąć. A przy tym miała dobre serce, otwarte na drugiego, więc wykorzystywała te swoje moce, żeby ludziom pomagać. Ze wszystkich okolicznych wiosek do niej ściągali. A ona ich przemieniała. No i tak się stało, że miała tylko jedno dziecko, moją mamusię, a moja mamusia tylko mnie. Ja ten dar odziedziczyłem, mimo że niby tylko dziewczynki dziedziczą – rozgadał się. – Ten dar od babci, bo bezpośredniość to po mamusi...

Inga przewróciła oczami. Ni w ząb nie wierzyła w takie rzeczy. W bezpośredniość owszem, tak, ale nie dziedziczną.

– I kiedy to odkryłem, od razu zrozumiałem, że ten dar nie trafił mi się przypadkowo, ale po to, bym pomagał innym. No i pomagam.

– Czyli? Co wielebny robi, żeby, jak to wielebny określił, pomagać innym? – Barbara nie omieszkła okraszyć pytania szczyptą ironii i drwiny.

– Już tłumaczę, wyjaśniam, klaruję. – Arystoteles Apostolakis poprawił włosy, wychylił martini i od razu wprawnym ruchem ręki zamówił kolejny kieliszek.

Przeniósł wzrok na Inge i przez chwilę w skupieniu mierzył ją spojrzeniem. Potem zerknął gdzieś poza nią, przymknął oczy i zaczął:

– Pani to trudny przypadek. Ale nie dlatego, że widziała pani za dużo, jak pani myśli, ale dlatego, że dusi to pani w sobie i nie pozwala emocjom wypłynąć. Nie chce się pani z nimi mierzyć, choć powinna. Tak wiele pani ukrywa...

– No, przyznaj się, bejbe, żeś kogoś ukatrupiła i będzie po sprawie. – Baśka puściła oko do Ingi. – O to chodzi, wielebny? Że nasza Ingusia dała komuś w łeb? Wpasowała czyjeś stópki w betonowe buciki i puściła z nurtem rzeki Hudson? Albo... No nie wiem... Była wtyką w mafii?

Arystoteles spojrział na Barbarę surowo.

– Proszę sobie nie żartować z poważnej analizy i sugestii podjęcia próby uzdrawiającej ekstrapolacji myśli.

Inga poczuła, że robi jej się gorąco.

– Bardzo dziękuję za tę opartą na wątpliwym wywiadzie psychoanalizę – odparła powoli. – Na tym proszę ją zakończyć.

– Czyli jest gorzej, niż mi się wydawało.

– Wcale nie! – syknęła Inga. – Po prostu nie chcę tego słuchać.

Mężczyzna uśmiechnął się z pewną satysfakcją.

– Pani słowa to dla mnie najwspanialszy komplement. Wszak w niezgodzie kryje się najwięcej pochwał.

– Wielebny ma przedziwny system wartości – stwierdziła nagle Barbara, poważniejąc. – I szczerze mówiąc, nad wyraz zabawny. Ale ja dobrze znam swoją przyjaciółkę i wiem, że niczego szczególnego nie ukrywa. – Rzuciła Indze wspierające spojrzenie.

Arystoteles pokiwał głową, lecz bynajmniej nie w wyrazie aprobaty, a głębokiego politowania. Inga widziała jego minę: był pewien tego, co widzi, a jeśli faktycznie miał jakiś dar, to widział również dręczącą ją tajemnicę. Oraz najzupełniej realną posągową postać wpuszczonej w maliny blondynki, która myślała, że zna swoją towarzyszkę, lecz tak naprawdę nie miała o niej bladego pojęcia.

– A pani? – zagaił Arystoteles do Barbary.

– Ja? Ja na drugie imię mam tajemnica – odparła dumnie Baśka. – I nie zaprzeczam, że ukrywałam, ukrywam i ukrywać będę wiele albo i jeszcze więcej. Do końca świata i o jeden dzień dłużej.

Arystoteles odstawił kieliszek z martini i ułożył palce w piramidkę.

– To akurat nic nadzwyczajnego, bo widać jak na dłoni i słychać całkiem wyraźnie. Lecz wszystkiego ukryć się nie da.

– Czego na przykład?

– Tego, że jest pani niezwykle wrażliwa na retrogradację Merkurego.

Barbara uniosła brwi.

– Retro... co?

– Retrogradację. Pozorny ruch cofania się – wyjaśnił spokojnie. – Ile niefortunnych przypadków zdarzyło się pani w ostatnim czasie? I nie mam tu na myśli sfery, proszę wybaczyć dosłowność, seksualnej ani finansowej, bo pomarańcz w pani aurze, odpowiadający za te sfery, akurat jest w bogatym i głębokim nadmiarze...

Baśka spojrzała na niego zdziwiona.

– Jeśli policzyć wszystkie w ostatnich dwóch dniach – zaczęła – to... Rzeczywiście, całkiem sporo. Zapomniałam o callu z Paryżem, co NIGDY mi się nie zdarza... Zgubiłam gdzieś moją jedwabną gumkę do włosów do spania, potem to durne miejsce na parkingu w Berlinie. A dziś jeszcze mi strzelił obcas w szpilce. W louboutinie! Wyobraża sobie wielebny?!

– Otóż wyobrażam! – Arystoteles Apostolakis triumfował. – Jak wspominałem, wszystkiemu jest winna retrogradacja Merkurego! Czyli czas, kiedy Merkury zdaje się poruszać wstecz po swojej orbicie. Idealny mo-

ment na rozpad związków, relacji i wzmacnianie złych nawyków. Wszystko się wtedy psuje. Wszystko!

– No chyba tak wszystko to nie – wtrąciła Inga, myśląc o swojej znajomości z Kubą, która była na najlepszej drodze do stania się naprawdę fajną relacją o bardzo skonkretyzowanym kształcie.

– Pożyjemy, zobaczymy – odparł nostalgicznie Arystoteles, a Inga bezwiednie zacisnęła palce na szklance z sokiem. – Niemniej – zwrócił się do Barbary – jeśli dotąd nic takiego się pani nie przydarzało, to teraz będzie to jak nic wina Merkurego. I zablokowanej czakry.

– Mojej czakry? – zapytała trochę głupio Baśka.

– Pani czakry, a dokładniej czakry serca, droga pani, oraz czakr ludzi, którymi się pani otacza. – Tu spojrzał znacząco na Inge, a ta pokręciła głową. – One nie mają litości! A poza tym wszystkim ma pani bardzo hałaśliwe ego.

Baśka wybuchnęła śmiechem.

– O tym właśnie mówię – kontynuował wielebny. – Uzewnętrznia je pani wyjątkowo ekstrawertycznie, a tymczasem to tylko przykrywka, zasłona, kurtyna. Prawda? Ale mogę pani pomóc i odblokować czakrę. I pani również – zwrócił się do Anki. – Pani nie – dodał mimochodem, łypiąc na Inge. – Tu ratunku nie ma.

– Bardzo panu dziękuję – odparła Baśka, zduszając w sobie śmiech. – Ale ja już uzyskałam pomoc w osobie pewnego przystojnego Amerykano-Francuza. Szpilka naprawiona, mogę iść dalej w życie, nawet w cieniu wycofanego Merkurego.

Arystoteles pokręcił głową.

– Jasne, że pani może, ale co to będzie za spacer, to już inna sprawa. Samotny zapewne, tak jak dotąd... – dodał filozoficznie. – A pani – zwrócił ciemne spojrzenie na Ankę. – Pani wyraźnie czegoś się boi.

– To akurat żadna tajemnica – wtrąciła się Inga. – Jeszcze chwilę temu rozmawialiśmy o tym, że nasza przyjaciółka boi się latać.

– Latanie to jedno. Ale widzę też strach przed akceptacją sytuacji życiowej, w jakiej od jakiegoś czasu pani się znajduje. W pani życiu nastąpiła gwałtowna zmiana i nie umie sobie pani z nią poradzić.

– Czy wielebny chce powiedzieć, że to, iż zerwałam z wieloletnim narzeczoną, ma wpływ na mój lęk przed lataniem? – Anka przewróciła oczami. – To akurat absurdalne, bo latać boję się od zawsze, a z Damianem zerwałam kilka miesięcy temu...

Arystoteles spojrzął na nią uważnie.

– Niby tak, ale oba lęki mają u podstaw to samo: percepcję. To, jak postrzegamy świat, ma wpływ na nasze wnętrza. Niby nasz byt kształtuje świadomość – dodał, wyraźnie z siebie zadowolony. – To akurat nie ja, tylko Marks. Ale fakt, że właściwe postrzeganie świata, niezależnie od okoliczności, jest najważniejsze. I wynika z naszej relacji z samym sobą. A u pani ewidentnie ona szwankuje. Ona i czakra podstawy.

– Hę? – Anka potrząsnęła głową i odruchowo złapała za krawędź blatu.

– Odpowiada za przetrwanie i akceptację. A u pani z tym krucho.

Inga westchnęła, a wielebny ponownie na nią łypnął.

– Taka prawda. Na szczęście są sposoby, aby te nasze przepływy energii odblokowywać. Tyle że nie należy do nich nadzwyczajny sceptycyzm. – Arystoteles Apostolakis ewidentnie był w swoim żywiole. – Jeśli pani pozwoli – zwrócił się do Anki – spróbuję odblokować pani czakrę podstawy.

Anka zrobiła wielkie oczy, a Baśka aż pisnęła.

– Bejbe, daj wielebnemu odblokować swoją czakrę, skoro proponuje! Czekaemy! – zwróciła się do Arystotelesa, a ten spojrzął na nią z pewnym niezadowoleniem.

– Hałaśliwe ego... – westchnął, kręcąc głową. – Szkoda, że nie chce pani dać sobie pomóc. Obawiam się bowiem, że to nie koniec pani przygód pod znakiem Merkurego...

– A to na pewno – ożywiła się Baśka. – Zwłaszcza że za godzinę jestem umówiona z pewnym Merkurym, to znaczy louboutinowym mistrzem, na

oglądanie zdjęć z jego wyprawy po Amazonii... – dodała znacząco i puściła oko do dziewczyn.

W milczeniu sęczyły napoje – Anka i Inga soki, a Barbara prosecco. Barman się nie odzywał, ale patrzył tak bystrze, jakby polski był i jego ojczystym językiem.

W końcu Anka przerwała ciszę:

– Więc co pan proponuje, żeby – sama nie wierzyła w to, co mówi – odblokować moją... hmm... czakrę podstawy?

Arystoteles Apostolakis z zadziwiającą delikatnością odstawił kieliszek na kontuar.

– Na dobry początek: soczek pomidorowy – oznajmił.

Anka zamrugła zdziwiona.

– Co, przepraszam?

– Soczek pomidorowy. Z odrobiną tabasco. Jest czerwony – podrzucił informację, która według niego miała zapewne wszystko wyjaśnić.

– Od teorii barw to my tu mamy Inge. – Barbara ziewnęła. – Poza tym dobrze wiemy, jakiego koloru jest pomidor. Ale co to niby ma wspólnego z naszą Aneczką?

Wielebny polecił barmanowi, by ten nalał sok do wysokiej szklanki i obficie skropił go tabasco.

– Jak się ma zablokowaną czakrę korzenia – zaczął – którą reprezentuje kolor czer-wo-ny, należy się otaczać właśnie czerwienią.

– No patrz, Aneczka! – Baśka klasnęła w dłonie. – A ten twój dzyndzel przy prokuratorskiej todze to w jakim jest kolorze? Przypadek? Nie sądzę.

Anka i Inga zachichotały. Wielebny spojrział na nie poważnie.

– Jeden dzyndzel czakry odblokowaną nie czyni – poleciał klasykiem. – Tu trzeba zmasowanego działania. Proszę. – Podsunął Ance szklankę. – Do dna. A potem jeszcze ze trzy takie. I to. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął czerwony kamyk i podał go Ance. – Zawsze mam przy sobie kilka takich, w różnych kolorach. I rozdaję.

Anka wyciągnęła rękę i przyjęła kamyk.

– I co mam z tym zrobić? – zapytała.

– Nosić – odparł poważnie. – A teraz wypić soczek. Do dna. No, już, już.

Anka była tak zaskoczona, że posłusznie wychyliła duszkiem niemal całą szklankę.

Inga i Baśka przyglądały się jej w milczeniu. W Indze walczyły ze sobą zdrowy rozsądek i niechęć do konfrontacji z przenikliwym wielebny; Baśka zaś była absolutnie zaintrygowana.

– I co? Czujesz coś? – zapytała, gdy przyjaciółka z brzękiem odstawiła szklankę na blat.

Anka z kwaśną miną pokręciła głową.

– Wiedziałam, że nie zadziała! – oświadczyła triumfująco Inga. – Przecież to bzdury.

Wielebny posłał jej gromiące spojrzenie.

– Jeśli osiem tysięcy dziewięćset dwadzieścia osiem przypadków oczyszczonych, uzdrowionych i odnowionych osób to bzdury, jestem w stanie się z panią zgodzić – skwitował nie bez lekkiej urazy, po czym uprzejmie skinął głową i zszedł z hokera.

– Ależ proszę się nie obrażać, wielebny. – Barbara natychmiast zareagowała. – Ja jestem gotowa jeszcze posłuchać o tych wszystkich czakrach, kamieniach i... – Wykonała okrągły ruch ponad głową, jakby chciała narysować aureolę. – Aurach. Moje przyjaciółki także.

Inga storpedowała ją wzrokiem, Anka skrzywiła się nieznacznie, ale Aristoteles Apostolakis, najwyraźniej udobruchany, nie dał się dwa razy prosić.

Dwie i pół szklanki soku pomidorowego z tabasco (Anka), dwa kieliszki prosecco (Baśka) i jedno owocowe smoothie (Inga) później dziewczyny miały głowy przeładowane informacjami na temat aur, czakr i przepływów, a Baśka dodatkowo, choć wcale o to nie prosząc, otrzymała drobiazgową analizę swojej daty urodzenia z niestety niezbyt pozytywnymi wizjami na przyszłość. Zerknęła na zegarek.

– Ulala! Ja już się zbieram. Może jakkolwiek uda mi się jeszcze zaczerpnąć ostatnich przyjemności z pozostałego mi życia podczas fotograficznej podróży przez wilgotną Amazonię. – Z gracją zsunęła się z hokera i wygładziła sukienkę. – Trzymajcie kciuki, czerwone kamyki czy co tam chcecie.

– Jezusie Nazareński, zaraz pęknie mi pęcherz – jęknęła Anka, gdy Baśka zniknęła na schodach. – Gdzie tu jest toaleta?

– Po lewej. – Inga skinęła głową w kierunku jasnych drzwi.

Anka nieco chwiejnie podrobiła w tamtym kierunku. Inga pomyślała, że jeśli jeszcze przez chwilę będzie słuchać samozwańczego uzdrowiciela czakr, aur i innych mglistych pojęć, to niechybnie zwariuje. I nie chodziło jedynie o to, że ona sama nie wierzyła w te wszystkie historie, ani nawet o to, że Arystoteles uznał ją za zbyt oporną – całkiem słusznie – oraz niepodatną na jego nadzwyczajne umiejętności. Miała własne nieprzyjemne doświadczenia z tego typu guślarzami, jak nazywała ich w duchu. Gdy mama zachorowała, łapała się wszelkich sposobów, by jakkolwiek ulżyć sobie w cierpieniu. I tak oto pomiędzy jednym a drugim medykiem zaliczyła wizyty u podejrzanego bioenergoterapeuty oraz trefnego zielarza i hochsztaplera od różdżek, którzy nie dość, że wycisnęli z niej połowę oszczędności, to jeszcze wcale nie pomogli, tylko dali złudną nadzieję na wyzdrowienie. Od tamtej pory Inga była szczególnie cięta na tego typu fachowców. I mimo że nie lubiła konfrontacji, teraz, czując głęboki gniew, postanowiła wyjść ze swojej strefy komfortu.

– Nie wstyd panu? – zaczęła. – Moja przyjaciółka ma poważny problem, a pan wykorzystuje jej słabość, żeby wciskać tę całą ciemnotę!

Arystoteles zamarł z kieliszkiem do martini przy ustach.

– Pani Ingo – zwrócił się do niej łagodnym tonem. – Ciemnota czy nie, działa. Pani również się przekona. I to wkrótce.

Anka zmaterializowała się obok nich przy barze.

– O czym się przekonasz, kochana? – zagaiła. – Bo ja się właśnie przekonałam, jak pojemny mam pęcherz. I chyba chcę już wracać na dół. Dosłownie i w przenośni.

– Nieważne. Ja też bym się już położyła.

Pożegnały się z wielebnym (Anka nawet serdecznie, a Inga oszczędnym skinieniem głowy), a Arystoteles na odchodne przypomniał jeszcze Ance o czerwonym kamieniu, coby go „ściskała, trzymała, miała zawsze przy sobie”, i zeszły na dolny pokład, każda do swojej kabiny.



Miały jeszcze przed sobą jakieś siedem godzin lotu i Inga postanowiła spędzić ten czas na malowaniu. Wyciągnęła podręczny zestaw akwareli i po półtorej godzinie miała przed sobą niewielkich rozmiarów obrazek przedstawiający skrzydło samolotu i chmury, przez które przedzierały się jasne promienie słońca. Inga spojrzała na swoje dzieło i się zamyśliła. Odkąd wróciła do malowania, wiele się zmieniło. Zaczęła robić rzeczy, przed którymi wcześniej się wzbraniała. Już nawet nie chodziło o wernisaż, choć musiała przyznać, że był to dla niej krok milowy w kierunku wyjścia do świata. Założyła na przykład stronę internetową, i to pod własnym nazwiskiem, nie żadnym tam wydumanym pseudonimem. „Odważna *as hell!*” – skomentowała najzupełniej szczerze Baśka. Potem przyszła pora na konta na portalach społecznościowych. Utworzyła je wyłącznie w celu promowania swoich obrazów, ale i tak było to dla niej jak pokonanie Linii Maginota. Wrzucała tam obrazy, gotowe lub w trakcie tworzenia, jakieś informacje o materiałach i fotorelacje z wernisażu. Pomagał jej w tym zresztą Kuba, bez którego...

Inga westchnęła. Baśka stanowczo zabroniła jej myśleć w ten sposób – że gdyby nie Kuba, to nic by nie było z jej malowania. „Zdecydowałaś się sama. Byłaś sprawcza i teraz masz efekty. To wyłącznie twoja zasługa! Jakub ci pomógł, ale decyzja należała do ciebie. Pamiętaj, że zawdzięczasz to wyłącznie sobie!” – tak jej powiedziała i Inga musiała przyznać przyjaciółce rację. Niemniej... Jeśli jej decyzja była kołem zamachowym całej tej

historii z malowaniem, to Kuba niewątpliwie stanowił jeden z trybików. Bardzo ważnych trybików.

Zrobiła zdjęcie akwarelce i wysłała Jakubowi. Odpowiedź przyszła nadszpiewanie szybko, zupełnie jakby czekał na wiadomość od niej. „Wrzucaj!” – napisał. Zawahała się, a po chwili weszła na konto na Facebooku, zgrabnie przycięła, trochę edytowała ilustrację i podpisała: „Kierunek → Martynika”, dodała kilka emotek, po czym kliknęła „Opublikuj”. Poczowała się dziwnie – pierwszy raz podała do publicznej wiadomości coś absolutnie prywatnego, kawałek życia, którym dzieliła się wyłącznie z najbliższymi. Teraz jej obserwatorzy (całe czterysta osiemnaście znanych i nieznanymi osób) dowiedzą się, że wyleciała z kraju. „No i co zrobią z tą informacją? Nic” – zbesztala się w myślach. „Wyluzuj”. Pod zdjęciem pojawiło się pierwsze serduszko. Od Kuby. Inga się uśmiechnęła. „Chyba pora na drzemkę” – wystukała na prywatnym czacie. Patrzyła na migające trzy kropki, które oznaczały, że właśnie jej odpisuje. „Podesłać Ci muzykę do snu?” – napisał.

Po chwili Inga pobierała z chmury album zatytułowany *Na sen*, a po dwóch chwilach leżała już na łóżku, a w uszach brzmiały jej niskie, chropowate i sensualne dźwięki *A Thousand Kisses Deep* Leonarda Cohena.

Rozdział 3

Stąpanie po nowej ziemi, która dotychczas była nam znana wyłącznie z przewodników, opowieści starych ciotek lub pogaduch ze znajomymi, może się okazać tyle ekscytujące, ile niebezpieczne i nieprzewidywalne. Może na przykład wyjść na jaw, że nie wszystko to, co wcześniej usłyszeliśmy lub zobaczyliśmy na zdjęciach czy filmach, jest prawdą, a nasze plany, niczym pogoda w górach, ulegną gwałtownemu załamaniu. I nagle na tej terra incognita przyjdzie nam się zmierzyć z okolicznościami, na które nie mamy wpływu i być może nigdy go mieć nie będziemy. Warto wtedy pomyśleć o tym, jak podejść do tematu: czy z rezygnacją wygiąć usta w podkówkę i się poddać, czy pokazać losowi mentalnego fucka i pomyśleć: „O nie, co to, to nie! I tak zamierzam się dobrze bawić!”.

Barbara, niespodziewanie dla obu dziewczyn, wynurzyła się z kabiny tuż przed końcem lotu, by zająć miejsce w fotelu na czas lądowania. Inga, która odbyła w tym czasie drzemkę życia, była w niezłym humorze, a perspektywa postawienia stopy na amerykańskiej ziemi nie przerażała jej już tak bardzo jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Anka z kolei nie wyglądała za ciekawie. Miała worki pod oczami i minę zdecydowanie niewyraźną.

– Udało ci się trochę przespać? – zagaiła Inga, gdy blada Anka ziewnęła przeciągle.

– A w życiu! Chyba z sześćdziesiąt razy chodziłam siku! A soku pomidorowego nie tknę przez najbliższe pół roku nawet na kacu gigancie. No way! – Anka potrząsnęła głową. – I jakby tego było mało, zaczęłam sobie

przypominać wszystkie katastrofy lotnicze, o jakich dotąd słyszałam. Kojązycie te okropne programy na Discovery Channel? *Tragedie w przestworzach, Podniebne wypadki, Awarie lotnicze wszech czasów...* Damian je uwielbiał i teraz one, jedna po drugiej, wyświetlały mi się przed oczami. A wierzcie, że robiłam wszystko, żeby odciągnąć myśli od tego cholerstwa. Nawet etykiety na kosmetykach samolotowych przeczytałam. Trzy razy, w przód i wstecz, w tym po mongolsku.

Baśka się roześmiała.

– A swój kamyczek mocy masz? Może nie dość mocno tuliłaś go do piersi...

Na te słowa Anka sięgnęła do kieszeni džinsów i wyciągnęła prezent od wielebnego.

– O tym – uniosła go w zaciśniętej pięści – to ja nawet nie chcę wspominać! Odgniół mi się na pośladku i mam siniaka! Wiem, bo sprawdziłam w łazience.

– Byłam pewna, że nie zadziała – odezwała się pesymistycznym tonem Inga. – I że więcej przyniesie szkody niż pożytku. I ten soczek, i kamyczek.

– Soczek zadziałał o tyle, że mi nerki przefiltrowało. – Anka oparła się o zagłówek i wciągnęła głęboko powietrze.

Siedziały tak przez chwilę, podczas gdy samolot powoli podchodził do lądowania.

– Ej, Baśka, a ty czemu nic nie mówisz! – zreflektowała się nagle Inga. – Jak twoja wyprawa do amazońskiej dżungli z tajemniczym gościem od kleju, co? Opowiadaj!

Barbara wzniosła oczy w wyrazie dezaprobaty.

– No już myślałam, że żadna z was o to nie zapyta! – Cmoknęła. – Otóż moje drogie... Nijak.

Anka zmarszczyła brwi.

– Ale co? Nie oglądaliście tych zdjęć czy...?

– Oglądaliśmy – odparła lakonicznie Baśka. – Oglądaliśmy aż za bardzo.

– I co?

Barbara się skrzywiła.

– Tylko oglądaliśmy. Wyobrażacie to sobie? Spędziłam trzy i pół godziny na gapieniu się na zdjęcia roślin, szypułek, pręcików i bogini wie czego jeszcze. Słuchałam o celulozie, ligninie, ksylemie, rodzinie czaszniowatych i wyporności liści. Ostatni raz tak się wynudziłam... Nie, w sumie nie pamiętam kiedy. Chyba nigdy. To był mój rekord. – Spojrzała na ich rozba-wione miny i dodała: – To nawet nie była randka w wersji demo, tylko ko-legium uniwersyteckie! Tak. Uniwersyteckie. Bo Jonathan – ściszyła głos – jest wykładowcą. Chce zapobiec wymieraniu lasów. – Westchnęła. – Ja nie mam nic przeciwko ochronie środowiska, wręcz przeciwnie. Ale no... Same wiecie. Nie tego się spodziewałam po facecie, który zna się na louboutinach i ma tak sprawne dłonie, żeby je skleić.

Inga przytaknęła.

– Ale to chyba w porządku, że jego praca tak go pasjonuje, no nie? – stwierdziła. – I że ma takie bezpośrednie przełożenie na jakość naszego ży-cia...

– Ja bym wolała, żeby on to bezpośrednie przełożenie jakoś inaczej wy-korzystał – stwierdziła kwaśno Baśka. – Nie żebym nie próbowała. Wy-obraźcie sobie, że w pewnym momencie, kiedy wszedł na temat pnączy strefy międzyzwrotnikowej, mnie olśniło. I mówię mu, że jest jak Tarzan. I że z pewnością w tej dżungli przydałaby mu się jakaś Jane. Wiem, nieco słabe, ale na wielu facetów takie porównania działają. A on robi wielkie oczy i pyta: *What?* Cycki w push-upie mi opadły, serio.

– Ale dlatego, że nie skumał aluzji czy co?

– Aluzja to jedno. Ale, dziewczyny, on w ogóle nie zrozumiał, o czym ja mówię. Powtarzam więc: Tarzan, Jane, domek na drzewie, te sprawy. A on się na mnie gapi jak na kosmitkę. Już więcej emocji u niego widziałam, gdy patrzył na puchowiec pięciopręcikowy, przysięgam! A gdy wreszcie zała-pał, że chodzi mi o „aaa, hiiii, Tarzą!!!”, to zaraz potem zaczął wykład na te-mat nielegalności kłusownictwa, bo nieopatrznie wspomniałam o przepa-skach ze zwierzęcych skór. I tak, ja też nie popieram, więc potakiwałam jak

szalona. I to była moja jedyna aktywność fizyczna, jaką podjęłam w jego kabinie.



Na lotnisku w Miami kłębiły się tłumy ludzi. Inga, Anka i Barbara, która na odchodne posłała Jonathanowi Russo przelotny uśmiech, dotarły w końcu do punktu odbioru bagażu i stanęły w niewielkiej odległości od nieruchomej szarej taśmy.

– I tak oto wszyscy czekamy, aż demony wychyną z ciemności – zagadnął je Arystoteles Apostolakis, zjawiając się nagle obok.

– Nie wiem, jak wielebny, ale ja czekam na moją boską angorkową walizkę od Delseya – odparła Baśka – i proszę mi wierzyć, ona nie ma w sobie nic z demona. Chyba że mówimy o demonie piękna, to i owszem.

Wreszcie na taśmie zaczęły się pojawiać walizki, kufry i plecaki. Sunęły w stronę właścicieli, którzy ustawili się rzędem, by w odpowiedniej chwili pochwycić swój dobytek.

– Inga, widzę twoją niebieską! – zawołała Anka. – Tak sobie myślę, że na kolejną podróż też sobie kupię jakąś w charakterystycznym kolorze... Te ciemnoszare nie dość, że są do siebie podobne, to jeszcze wyglądają upiornie smutno... Jak kondukt żałobny.

Inga złapała za rączkę błękitnej walizy i pociągnęła ją ku sobie. Kilka metrów dalej sunęła już ku nim szara walizka Anki z przyczepioną do boku zieloną wstążką. Barbara wypatrywała cierpliwie swojej ukochanej walizki, która towarzyszyła jej podczas ostatnich podróży do Paryża, była niezwykle wygodna w transporcie i miała kilka sprytnych schowków na szczególnie delikatną bieliznę oraz perfumy. Na taśmie powoli robiło się pusto, a kiedy ostatni z podróżnych ściągnął swój plecak ze stelażem i ruszył do wyjścia, Barbara spojrzała na Ingę i Ankę z przerażeniem. Angorkowej walizki nie było.

– To mi się w głowie nie mieści, a mam pojemną! – wysyczała w końcu. – Czy to jest jakieś fatum, czy...

– Retrogradacja Merkurego. Mówiłem – odezwał się znów za ich plecami Arystoteles Apostolakis. – I poblokowane czakry.

– Srakry! – rzuciła gniewnie Baśka. – Nic mi się nie poblokowało! Na tym pieprzonym lotnisku ciągle komuś ginie bagaż! Tylko czemu akurat mój i czemu akurat dziś, do cholery! – zaklęła i się zapowietrzyła. – A w ogóle to pan nas śledzi czy jak? – wydusiła w końcu. – Najpierw przedstawia pan ludziom top ten najczarniejszych scenariuszy, a potem krąży za nimi, żeby odhaczać na liście swoje kiepskie wróżby?

– A może to wy krążycie wokół mnie? – Arystoteles uśmiechnął się wesoło. – Bo desperacko potrzebujecie pomocy?

– Aha – mruknęła Inga. – Ciekawe...

– Bardzo ciekawe. Z tego, co usłyszałem, bo głośne ego jest prawdziwie głośne – wielebny wymownie spojrzął na Barbarę – zmierzamy w tym samym kierunku.

Baśka uniosła brwi, a Arystoteles pokiwał głową.

– Nawet gdybym nie chciał, to i tak usłyszałem, że lecicie na Martynikę. A tak się składa, że ja też. Prowadzę tam warsztaty z samopoznania – odparł pogodnie. – Wszechświat robi wszystko, byśmy pozostali ze sobą w relacji. Łączności. Kontakcie.

„Niestety” – pomyślała Inga.



Kiedy Baśka zgłosiła zaginięcie bagażu, została im chwila na napicie się czegoś zimnego (z czego skorzystały chętnie Inga i Basia, bo Anka nadal żyła wspomnieniem soku z pomidorów) i przetransportowanie się na sąsiednie lotnisko, z którego odlatywały czartery w stronę punktu docelowego ich podróży – Martyniki.

– Podsumujmy – odezwała się rzeczowo Anka, która do kwestii bagażu Baśki podeszła zawodowo niczym Proca. – Masz jedną kieckę z samolotu i to, co na sobie, plus dwie pary butów, w tym szpilki...

– I coś tam jeszcze. O, i nawet zestaw kosmetyków z airbusa – dodała Barbara, grzebiąc w torbie. – Choć nie wiem, jakim cudem się tu znalazły, bo ich nie pakowałam.

– Słuchaj, z tymi ciuchami to nie jest źle. Walizka na pewno szybko się znajdzie, pewnie maksymalnie potrwa to dwa, trzy dni. Poza tym Marianka mówiła mi kiedyś, że na miejscu znajduje się kilka sklepów z lokalnymi, tradycyjnymi... – Anka urwała, widząc minę przyjaciółki.

– Aneczko – odezwała się Barbara – czy ja wyglądam na taką, co będzie spędzać urlop w ekskluzywnym kurorcie, chodząc w szmatkach kolorowych jak ogon pawia? Ja?

– No fakt.

Milczały, zastanawiając się nad tą niespodziewaną koleją losu, której niechybnie, gdyby zapytać wielebneho, winna była trajektoria Merkurego.

Przedłużającą się ciszę przerwała Inga.

– Nie ma co teraz o tym myśleć, bo i tak doktoratu z tego nie będzie – stwierdziła. – Jedźmy na to lotnisko, a na miejscu zastanowimy się, co dalej. Tak czy siak, ogarniemy to.

– No oby. – Baśka zerknęła na zegarek. – Ale tak, jedźmy już. Marzę o kąpieli w oceanie. Choć jeszcze nie mam pomysłu, w czym się pokażę na plaży, skoro moje bikini zostało w walizce. Zaginionej walizce, przypominam. Bo tu – klepnęła bagaż podręczny – jest tylko jeden awaryjny strój... Z zeszłorocznej kolekcji.

– Zawsze możesz wystąpić topless albo lepiej. Tam ponoć jest pełno plaż dla nudystów...



Dziewczyny wreszcie dotarły do niewielkiego samolotu, który miał je dotransportować na Martynikę, a wtedy Inga zrozumiała, że skubany Merkurym dopiero zaczyna się rozkręcać. Anka bowiem na widok niewielkiej maszyny zatrzymała się gwałtownie.

– Ja nie wsiadam! – oświadczyła. – Przecież od razu widać, że to się zaraz rozpadnie. W jednym z tych programów, o których wam mówiłam, samolot był prawie identyczny... Rozbił się tuż po starcie, serio. A ten tu wygląda, jakby miał napęd nożny. Jak przestanieś pedałowac, to sru w dół i do widzenia.

– E tam! – Baśka zmrużyła oczy i przyjrzała się maszynie. – Latałam mniejszymi, jak byłam na antypodach, i co? I jestem tu. A ty już tyle przeżyłaś, że dasz radę i z tym króciutkim epizodem awiacyjnym.

Pilot gestem zaprosił je do środka. Wszystkie trzy weszły po schodkach do niewielkiej kabiny i zajęły miejsca. Baśka i Inga obok siebie, a za nimi wcisnęła się poblada Anka. Pilot uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

– Bez obaw. W tym miejscu najmniej odczuwa się turbulencje – wyjaśnił.

– Jak miło – wyszeptała Anka i chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdążyła, bo obok niej pojawił się, jak zawsze ni stąd, ni zowąd, Arystoteles Apostolakis.

– O proszę! – ucieszył się. – Kto by się spodziewał! Znaczący ja się spodziewałem i wszechświat się spodziewał, że tak powiem. To dopiero będzie miła podróż – dodał z zadowoleniem, sadowiac się koło Anki, która przypięta pasami, starała się zachować twarz, jednak i Baśka, i Inga widziały, że ma ewidentnie dosyć tych nagłych gestów empatii ze strony wszechświata, zwłaszcza gdy na jej kolanach wylądował bagaż podręczny wielebnego.

– Już zabieram, już, już. – Mężczyzna pochwycił torbę i wcisnął ją sobie pod siedzenie. – No, teraz możemy lecieć.

W rzeczy samej, polecili. Barbara zapatrzyła się w okno, lecz wcale nie ze względu na widoki, choć te były nie najgorsze. Nagle i nieoczekiwanie przypomniała sobie o wiadomości, którą nie tak dawno napisała. Wiadomości, na którą nadal nie otrzymała odpowiedzi. Przymknęła oczy i...

Nie wiedziała, jak długo trzymał ją ten dziwny rodzaj otumanienia, ale nagle wyrwał ją z rozmyślań gwałtowny wstrząs. Złapała odruchowo za siedzenie przed sobą i spojrzała na Inge, która równie przerażona zaciskała palce na podłokietnikach. W głośnikach zabrzęczał sygnał alarmowy i po kilku sekundach popłynął z nich głos pilota.

– Szanowni państwo, wchodzimy w strefę silnych turbulencji. Prosimy o pozostanie na miejscach i zapięcie pasów.

Samolotem z nagłą znów bujnęło, a potem kolejny raz i kolejny i maszyna zaczęła gwałtownie opadać i się unosić niczym rybacki kuter podczas burzy na morzu. Inga przyłożyła dłoń do ust, by powstrzymać mdłości. Barbara starała się zachować godność, jednak i jej nie było wesoło. Mimo że przelatała już w swoim życiu naprawdę mnóstwo kilometrów i doświadczyła wielu dziwnych sytuacji na pokładzie, szczerze nienawidziła turbulencji. Choć, rzecz jasna, przed nikim by się do tego nie przyznała.

Inga, na tyle, na ile mogła, obróciła się, by sprawdzić, co z Anką, i zamarła. Szturchnęła Baśkę, by ta również obejrzała się za siebie. Barbara uniosła się trochę na fotelu i otworzyła usta ze zdziwienia. Ich przyjaciółka spała – snem kamiennym, snem sprawiedliwego, nawet uśmiechając się lekko pod nosem. Barbara i Inga spojrzały na siebie, a potem, nagle jednocześnie coś sobie uświadomiwszy, rzuciły groźne spojrzenie wielebnemu, który jak gdyby nigdy nic siedział obok Anki, ewidentnie udając pochłoniętego lekturą na kieszonkowej wersji Kindle’a. Na jego wydatnych wargach błąkał się pełen dziwnej satysfakcji uśmiech.

– Gadaj, co jej zrobiłeś! – wysyczała Baśka. – Dałeś jej jakieś zakazane ziółeczka albo inne wudu? Mów natychmiast, bo nie ręczę za siebie.

Arystoteles uniósł wzrok znad czytnika, spojrzał na Ankę, a potem na dziewczyny i uśmiechnął się szeroko.

– To nie ja, to soczek – oznajmił jak gdyby nigdy nic. – I czerwony kamień. Mówiłem, że zadziałają! – dodał, patrząc triumfująco na Inge.

Rozdział 4

Kojarzycie tę sytuację, kiedy pięć minut po tym, jak odebrałyście świadectwo maturalne, jest już dwadzieścia lat później, a wy umawiacie się do flebologa, żeby sprawdzić drożność żył, lub fizjoterapeuty, bo coś wam strzyknęło? Otóż właśnie. I wnioski są z tego dwa, a pierwszy z nich całkiem oczywisty: czas nielitościwie szybko zapierdala lub – w wersji dla miłośników eufemizmów – płynie. Niestety robi to wrednie, po ci-chutku, jakby w tajemnicy przed nami, żeby pewnego dnia objawić się w postaci zmarszczek wokół oczu, mniej jędrnego biustu lub nie takiej już kondycji i początków zakrzepicy. Wówczas zaczyna się etap, kiedy w gabinecie lekarskim coraz częściej słyszemy słowa, przez które mamy ochotę popełnić czyn zabroniony: „No cóż, proszę pani, w pewnym wieku...”.

Ale na szczęście jest jeszcze drugi wniosek, o którym niestety pamiętamy już rzadziej: kiedy bowiem w owym „pewnym wieku” stajemy przed lustrem, jesteśmy już uzbrojone w solidne doświadczenie, chcąc nie chcąc, nabyte przez nas po drodze. A dzięki niemu każdą kolejną kłode rzuconą nam przez życie pod nogi pokonamy dumnie wyprostowane. I nie przeszkodzi nam w tym nawet cholerna rwa kulszowa.

Anka obudziła się zaraz po lądowaniu i ze zdumieniem wysłuchiwała relacji przyjaciółek z przerażających turbulencji, których ona nie odczuła nawet koniuszkiem najmniejszego palca u nogi. Ba, nie odczuła nawet kawałka tego lotu. Owszem, pamiętała start i moment, kiedy na siedzenie obok niej

klapnął niefrasobliwy wielebny Arystoteles Apostolakis, ale potem? Potem była czarna dziura. Nic, zero wspomnień. Dopiero gdy teraz zerknęła przez owalne okienko, odkryła, że ma przed oczami rozgrzaną niemal do białości od słońca płytę lotniska na Martynice i że wreszcie osiadła na ziemi na dobre – a przynajmniej na najbliższe dwa tygodnie.

Barbara z kolei trochę pobladła i wyglądała niezdrowo, choć usiłowała nadrabiać miną. Z wyraźnym trudem dźwignęła się z siedzenia, trzymając dłoń na wysokości żołądka.

– Nie taki był plan – sapnęła. – Teraz to ja nawet nie mam ochoty na te wszystkie karaibskie przystaweczki, o których czytałam przed wylotem.

Inga była niemal pewna, że zaraz usłyszy jakiś komentarz tematyczny ze strony wielebnego, ale się nie doczekała. Mężczyzna ulotnił się bowiem równie szybko, jak się pojawił, nie racząc ich nawet pożegnalnym komentarzem na temat Merkurego ani postawieniem krótkiego dziennego horoskopu. I dobrze. Jak na razie wszystko, co im się przydarzyło niefortunnego i niefrasobliwego, dało się wytłumaczyć rozumem. Nawet to najbardziej nieprawdopodobne, czyli drzemka Anki, było w mniemaniu Ingi ewidentnie skutkiem zmęczenia długą podróżą.

– Kochana, chwila moment i dojdiesz do siebie. Regenerujesz się najszybciej z całej naszej trójki. – Inga uśmiechnęła się do Baški, a ta z powątpiewaniem uniosła brew.

– No oby. Bo zamierzałam czerpać z tego wyjazdu, ile bogini da. Ale wyłączenie to, co najlepsze.

Lotnisko w Le Lamentin nie było duże i dziewczyny szybko znalazły parking, z którego miał ich odebrać Lutek, mąż Marianki. Roilo się tu od odzianych w kolorowe fatałaszki turystów; jedni z żalem żegnali swoją karaibską przygodę, inni dopiero rozpoczynali urlop i stali z rozmarzonymi minami, zapewne już wyobrażając sobie siebie pod palmą, na rozgrzanym piasku i z kokosem ze słomką w dłoni. Oraz na selfiaczkach, które będą mogli wrzucić na swoje socjale ku zazdrości nieszczęśników pozostających w zimniejszych częściach świata, a co najgorsze – w robocie.

– Wiecie, że Grande Anse des Salines to najpiękniejsza plaża na całej Martynice? – Anka postanowiła nieco rozchmurzyć Baśkę i zmienić tor jej myśli z utraconego bagażu i zadziwiająco kiepsko przebitego lotu na perspektywę chillu, relaksu i błogiego lenistwa. – Piasek na niej jest niemal biały! Taki czyścusiieeeeeńki! Zrobimy tam całe mnóstwo pięknych zdjęć!

– Uhm – mruknęła Baśka. – Wy może tak, a ja ewentualnie. O ile doślą mi moją walizkę z ciuchami, bo tak boskiego stroju do opalania, jaki włożyłam do bagażu głównego, zapewne tutaj nie kupię. Jestem pewna! – rzuciła, rozglądając się. – Gdzie ten mąż Marianki, na miłość boską?!

Niemal jak na zawołanie za ich plecami rozległ się męski głos:

– Witajcie, drogie panie!

Odwróciły się. Anka pisnęła radośnie na widok sympatycznie wyglądającego i szeroko uśmiechniętego rudzielca o twarzy obsypanej piegami.

– Lutek!

Mąż Marianki wyściskał serdecznie szwagierkę, a potem podał dłoń Baśce i Indze.

– Chodźcie, limuzyna już czeka! – dodał, puszczając do nich oko.

Barbara po raz pierwszy od Miami uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– No! I to rozumiem! Samochód z klimatyzacją, zimna jak górski potok mineralna z limonką i wygodne siedzenia. Chyba właśnie wracają mi siły witalne!

Lutek roześmiał się krótko, wysłuchał historii o zaginionym bagażu Baśki i biorąc od dziewczyn walizki, ruszył wzdłuż parkingu, a one poszły za nim. Po kilkunastu metrach zatrzymał się gwałtownie, a Baśka rozejrzała się czujnie w poszukiwaniu rzeczony limuzyny. Lutek spojrzął na nią wesoło.

– Zapraszam! – Wskazał na klasycznego i mocno zakurzonego terenowego jeepa, na którego widok Anka i Inga westchnęły zachwycone, a Barbara jęknęła, przede wszystkim dlatego, że zobaczyła, jak Arystoteles Apostolakis wsiada do prawdziwej, komfortowej i przesadnie dużej limuzyny, a potem opuszcza szybę i radośnie, a może nawet z odrobiną wyższości,

macha w ich
stronę.

– Nie wierzę... – powiedziała, sadowiac się z pomocą Lutka na tylnym siedzeniu, przykrytym kocem w tartanową kratę. – Ma tupet.

– Arystoteles Apostolakis? – celnie strzelił Lutek.

Inga spojrzała na niego wielkimi oczami, a Baśka zamarła.

– Nie mów, że go znasz, albo co gorsza, że jesteś jednym z tych ludzi od kolorowych czakr i amulecików na rzemyku – odezwała się Anka.

Mężczyzna roześmiał się szczerze.

– I tak, i nie. Tak, bo znam wielebnego. Nie, bo nie należę do grona jego wyznawców, ale też nie mam nic przeciwko nim – odparł, pomagając Ance zając z przodu miejsce pasażera. – Arystoteles prowadzi u nas w hotelu warsztaty, na które zjeżdżają ludzie z całego świata. Po tej stronie oceanu jest bardzo popularny, ponoć bardziej niż w Europie i w rodzinnej Grecji. Może dlatego, że był w tym amerykańskim show, u Oprah.

– Serio? – Barbara z wrażenia aż się zapowietrzyła.

Była wielką fanką Oprah Winfrey, ale jak dotąd nigdy nie poznała ani jej, ani kogokolwiek, kto obok niej choćby siedział. A okazuje się, że irytujący Arystoteles Apostolakis nie tylko siedział obok afroamerykańskiej bogini, ale i najprawdopodobniej ścisnął jej dłoń. W jednej sekundzie wielebny stał się dla niej jakby bardziej interesujący.

– Zna samą królową szczerości?

– Na to wychodzi – potwierdził Lutek i ciągnął, uruchamiając silnik: – W sezonie jesienno-zimowym mamy wysyp głównie turystów z Europy i kiedy dwa lata temu przeprowadziliśmy ankietę ewaluacyjną, to się okazało, że wszystko mamy super: domki super, sauny super, baseny super, drink-bar i spa też, ale tym, czego ci ludzie pragną najbardziej przed końcem roku, jest odnowa duchowa. Więc postanowiliśmy wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom i ściągnęliśmy Arystotelesa. Facet jest ciut ekscentryczny, ale dopóki pomaga ludziom, nie mamy nic przeciwko.

– Ance chyba też pomógł – rzuciła Baśka, odprowadzając wzrokiem chmurę pyłu za limuzyną.

– Poważnie?

– A wiesz, że sama nie wiem? Lot na Martynikę przespałam jak dziecko.

– No, no! Czyli wielebny wykazał się skutecznością – podsumował Lutek. – Może w takim razie wybierzecie się do niego na warsztaty?

– Dla Ingi podobno nie ma już ratunku, a Barbara do czasu odzyskania walizki zapewne nie wychynie z pokoju, więc... – Anka zawiesiła głos.

– Co tam walizka! – stwierdził optymistycznym tonem Lutek. – Znajdzie się, a poza tym w naszym hotelu jest kilka butików z...

– Nie chcę słyszeć nawet słówka o lokalnych ciuchach – przerwała mu dość brutalnie Baśka, a Anka posłała jej wymowne spojrzenie. – Przepraszam – zreflektowała się Barbara – nie chciałam tak ostro.

– Nic się nie martw. Mamy też jeden sklepik z ubraniami dla Europejczyków. Na pewno coś sobie wybierzesz – powiedział Lutek. – Poza tym Marianka wspomniała coś o jakimś gigantycznym pudle, które dostarczono na twoje nazwisko... Z jakiegoś butiku. Czeka w twoim apartamencie.

Baśka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, na co mi plażowy kapelusz, skoro bikini zostało w walizce...

– Zamówiłaś kapelusz? – zdziwiła się Anka. – A przypadkiem nie chciałaś się opalić?

– Ciało tak – odparła zasadniczym tonem Baśka. – Ale twarz? Bejbe, proszę cię. Do twarzy wzięłam samoopalacz. I krem z gigantycznym filtrem. Te małe kurewki zmarszczki tylko czekają na takie okazje jak nadmierna ekspozycja na promieniowanie UV, żeby zaraz wychynąć na powierzchnię. Nie po to inwestuję w zabiegi u Kseni, żeby dać im satysfakcję. – Syknęła, bo jeep zjechał z asfaltowej drogi na jakąś boczną ścieżkę i właśnie podskoczył na szczególnie wyboistym wertepie. Lutek uniósł dłoń w przeproszającym geście. – Poza tym od dawna polowałam na ten kapelusz. Jak żadna inna apaszka pasował mi do stylizacji, która... – Urwała i westchnęła, pogrążając się w cichej żałobie nad zagubioną walizką.

Inga zapatrzyła się w widok za oknem – zielony, parny i wilgotny, z którego garściami mogłaby czerpać inspiracje do kolejnych obrazów – lecz myślami odpłynęła zupełnie gdzie indziej: była teraz w domu kultury na jednym z poznańskich osiedli, z podłogą z lastryka i ścianami pomalowanymi farbą olejną, i tworzyła z Jakubem dyptyk inspirowany francuskim przekładem piosenki *Paroles, paroles* – rozmowy dwojga kochanków, którą wyśpiewali kiedyś Dalida i Alain Delon. Kątem oka obserwowała ruchy Jakuba, kiedy płynnie moczył wodą gruby papier pod akwarele. Nie żeby ona tego nie potrafiła; po prostu podobały jej się spokój i pewność jego ruchów, to, jak woda poddawała się kierunkowi pędzla. To nie była łatwa sztuka, a tak potrzebna, by uzyskać konkretny efekt. Ona potem mieszała na swojej części odcienie zieleni, różu i złota; on wybrał granat, srebro i burgundową czerwień. Ta czerwień w połączeniu z granatem wyglądała wyjątkowo zmysłowo...

Rzuciła okiem na telefon i już chciała z automatu wejść na skrzynkę mailową, gdy przypomniała sobie, że przecież nie wykupiły jeszcze dostępu do internetu. Poza tym w hotelu miało być wi-fi. Schowała telefon do niewielkiego plecaka i westchnęła.

Anka tymczasem paplała radośnie z Lutkiem, który opowiadał jej właśnie, że spodziewają się całkiem sporej liczby gości na same święta, a już totalny wysyp turystów ma nastąpić tuż po, czyli na kilka dni przed sylwestrem.

– Na święta zjeżdża głównie amerykańska polonia, bo czują się u nas jak w rodzinnym domu. Wiesz, Marianka bardzo dba o zachowanie polskich tradycji. Musi być długi wspólny stół, sianko pod obrusem, potrawy świąteczne. Ponoć wydebiła w tym roku od rodziców przepis waszej babci na karpia. Z jakimś tajemniczym składnikiem.

– Niechybnie smalcem – zaśmiała się Anka, a widząc przerażenie w oczach Lutka, dodała szybko: – No coś ty, żartowałam! Chociaż – zawiesiła głos – wcale bym się nie zdziwiła, gdyby babcia smażyła wigilijną rybkę na smalcu. Zawsze była trochę na bakier z tymi wszystkimi postnymi zasadami.

– Kamień z serca! – zawołał Lutek. – Marianka akurat dość mocno trzyma się tradycji, bo tego zwykle życzą sobie goście, ale nie wiem, co by powiedzieli na smalec. W Boże Narodzenie chyba odpada.

– Lutek, dzisiaj mamy inne czasy – stwierdziła Ania. – O ile wiem, Marianka serwuje też świąteczne potrawy w wersjach wegetariańskich i wegańskich.

Szwagier energicznie potrząsnął głową na znak, że w pełni się zgadza.

– To prawda. Moja cudowna małżonka wyszła naprzeciw oczekiwaniom klientów. Skoro mamy inne czasy, to mamy też inne święta. Goście są bardzo zadowoleni. Według nich różnorodność działa na korzyść obiektu. No i rzeczywiście, nie bez dumy powiem, że mamy świetne opinie.

Samochód ponownie podskoczył na wertepie i Baśka gwałtownie złapała się Ingi.

– Wybrałem drogę na skróty, ale widzę, że niepotrzebnie. – Lutek rzucił jej spojrzenie we wstecznym lusterku. – Wytrzymasz?

Baśka niemrawo skinęła głową.

– Być może, ale gwarancji nie daję.



Pięciogwiazdkowy hotel Golden Waves, którym kierował Lutek i gdzie Marianka odpowiadała za rozrywkę, był jednym z intymniejszych w tej części wyspy, co stanowiło jego absolutny atut. Apartamentów – a właściwie samodzielnych willi z indywidualną obsługą i prywatnymi plażami – liczył sobie niespełna trzydzieści i ta kameralność przyciągała turystów przez cały rok. Kameralność, a także wachlarz udogodnień jak w największych kurortach, czyli spa, baseny, jacuzzi (przy każdym z domków) i siłownia. Recepcja, restauracja i drink-bar mieściły się na czele całego obiektu; prowadziła do nich szeroka i wyłożona plastrami jasnego drewna alejka, którą właśnie kroczyły Inga, Anka i Baśka, przy czym dwie pierwsze ciągnęły za sobą

błękitną i szarą walizkę, a Barbara starała się z godnością nieść na ramieniu swój jedyny bagaż w formie torby podręcznej. Nie zdążyły jednak przejść kilku metrów, gdy nagle ni stąd, ni zowąd zjawilo się paru mężczyzn odzianych w identyczne uniformy i plakietki z imionami. Lutek uśmiechnął się do nich szeroko i wymienił kilka uwag po angielsku, po czym mężczyźni przejęli od dziewczyn bagaże i szybkim krokiem ruszyli przodem.

– Będą na was czekały w waszych willach – wyjaśnił Lutek. – Marianka przygotowała wam trzy obok siebie. Zresztą zaraz do niej zadzwonię, bo pewnie gdzieś się tu kręci...

Ale nim zdążył wyjąć telefon, powietrze przeciął radosny pisk, a Inga z Basią zobaczyły, jak z naprzeciwka pędzi ku nim niemalże klon Anki, odrobinę tylko starszy. Inga znała Mariankę ze zdjęć i wideoczatów, ale na żywo wydała jej się jeszcze bardziej podobna do Ani.

Siostry z impetem padły sobie w ramiona i jedna przez drugą śmiały się i piszczały, przekrzykując się w zachwytach, jak to Anka wygląda świeżo i kwitnąco, a Marianka to już w ogóle jeszcze bardziej i przegina. Inga i Baśka stały z boku i przyglądały się tej scenie z pewnym wzruszeniem (Inga) i uciskiem w okolicy serca (Baśka). Ta pierwsza nie miała nigdy siostry, ale zawsze chciała ją mieć; ta druga broniła się przed tym, by kogokolwiek dopuścić do siebie tak blisko, jak dopuszcza się na przykład siostrę. Obie jednak w tej samej chwili uznały, że w zasadzie los zdecydował za nie. Każda z nich miała po dwie siostry (bo przecież przyjaciółkami były tak dobrymi, jakby miały jednego ojca), a Anka to nawet trzy.

Kiedy Anka i Marianka oderwały się od siebie, Marianka z otwartymi ramionami zwróciła się w stronę Ingi i Baśki, a te chętnie przytuliły ją na powitanie. Marianka miała w sobie ten rodzaj swojskiej energii, który sprawia, że człowiek natychmiast czuje się bezpieczny i zaopiekowany. Jej obecność działała kojąco – jak gorący rosółek w pochmurny i zimny dzień, jak ulubiony serial zapętłony do potęgi entej i oglądany spod miękkiego koca, i jak ciepły znajomy głos w słuchawce. Marianka była właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Nie musiała, jak Lutek, znać się na Excelu (choć doskonale się znała) ani na logistyce zarządzania hotelem (to

też łyknęła dość szybko), ale zdecydowanie od początku umiała w gościnność. Z nieskrępowanym wdziękiem zagarnęła dziewczyny, wielokrotnie powtarzając, jak bardzo się cieszy, że wreszcie przyjechały, i poprowadziła je ścieżką, a potem przez hol wysokiego jasnego budynku, w kierunku wewnętrznego dziedzińca, skąd rozchodziły się dróżki do poszczególnych domków. Wskazywała najważniejsze miejscówki.

– Tu mamy recepcję, ale ja już was zameldowałam... Tam za zakrętem jest restauracja, otwarta do północy... A zaraz za nią drink-bar, otwarty do ostatniego gościa, no i rzecz jasna, parkiet taneczny. – Uśmiechnęła się do dziewczyn. – Trzy razy w tygodniu mamy imprezy tematyczne z muzyką z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Dzisiaj akurat w klimacie Woodstock, więc wszelkie kolorowe szmatki mile widziane.

Basia westchnęła.

– Lutek dał mi z drogi cynk o sytuacji z walizką – powiedziała współczująco Marianka. – Ale pewnie wspominał, że mamy tu kilka butików, więc na pewno coś znajdziesz. – Uśmiechnęła się pogodnie.

Barbara przytaknęła.

– Tak, kochana, ale może później – odparła. – Teraz jedyne, o czym marzę, to długi relaks w jacuzzi i odrobina odpoczynku na tym pięknym łożu, które widziałam na zdjęciu w internecie.

– Koniecznie! – zawołała Marianka. – Musicie być cholernie zmęczone po podró... – Urwała, bo nagle zza pobliskiego krzaczka z głośnym wrzaskiem wypadło na nią dwoje dzieci, oboje wypisz wymaluj mniejsze piegowate kopie Lutka z bujnymi czuprynymi po Marianne.

– Przetłaszylismy was, cooooo? – zawołał Jasiek.

– To była głupia kryjówka, Jasiu – orzekła Michalina, która po pierwszej chwili dziecięcej euforii szybko przypomniała sobie, że ma już całe dziewięć lat, a nie pięć, jak jej brat, i pewnych rzeczy w jej wieku nie wypada. – Ja od początku chciałam się schować w szafie cioci Ani – wyjaśniła, odgarniając włosy na ramiona gestem modelki. – Ale Jasiek się uparł. Z tymi chłopakami to same problemy!

„Co prawda, to prawda!” – pomyślały jednocześnie Anka i Inga. Bo na pewno nie Baśka. Baśka tak by nigdy nie pomyślała. Baśka z chłopakami problemów nie miewała. To oni miewali problemy z nią.

– Ciociunia! – zawołała Michalina, obejmując w pasie Ankę.

– Ciociunia! – wykrzyknął Janek, który niemal we wszystkim naśladował starszą, chociaż czasem strasznie wredną siostrę, po czym rzucił się jak huragan na Ankę, niemal zwalając ją i Michasię z nóg.

Anka się roześmiała i Inga spostrzegła w jej oczach błyski, jakich nigdy dotąd u przyjaciółki nie widziała. A przynajmniej nie od czasu rozstania z Damianem Karolem Kurskim. „Oby ten wyjazd dał nam wszystkim mnóstwo oddechu” – pomyślała. „Spokojnego, wyluzowanego i...”

– A kto to? – Czyjś mały paluszek wbił się w jej oponkę na brzuchu.

Inga spojrzała w dół, na roziskrzone niebieskie oczy pięciolatka, i zachotała.

– To ciocia Inga – wyjaśniła pogodnie Anka. – Moja przyjaciółka. Widziałeś ją kiedyś w kamerce. A ciocię Basię chyba pamiętacie z ostatnich świąt, co?

– Ciocia? Ciocia?! Że niby ja?! – Oburzona Barbara potrząsnęła blond włosami. – Mówiłam tysiąc osiemset trzydzieści cztery razy i powtórzę po raz tysiąc osiemset trzydziesty piąty, że żadna ze mnie ciocia, tylko Baśka. A jeśli któremuś z was – żartobliwie pogroziła palcem dzieciom Marianki – przyjdzie do głowy, żeby nazywać mnie ciocią, to wiecie, co was czeka?!

– Żadnego pryskania perfumami – mruknęła Michalina pod nosem.

– I żadnej pysznej czekolady w tajemnicy przed mamą – dodała słusznie Baśka, wiedząc, że akurat ten argument trafi do Jasia.

Anka z Marianką wybuchnęły śmiechem.

– No dobra, na razie dajcie ciociom i... Baśce odpocząć – powiedziała Marianka, gdy już się uspokoiła. – Są po długiej podróży. – Z kieszeni luźnej sukienki wyjęła trzy karty ze smyczami z logo hotelu. – Tu macie wejściówki do swoich willi, tych o – wskazała ręką – i do wszystkich drzwi wejściowych w hotelu. Patrząc od lewej, pierwszy jest Anki, drugi Baśki,

a trzeci Ingi. Idźcie i odpoczywajcie, przygotowałam tam dla was mały poczęstunek. Teraz muszę lecieć, ale widzimy się już niebawem! Obiad serwujemy od pierwszej, a kolację od szóstej. Jezu, Aneczka, tak się cieszę, że tu jesteście!

Wyściskała raz jeszcze dziewczyny i popędziła przed sobą ociągające się dzieciaki, a Anka, Inga i Baśka ruszyły równym krokiem w kierunku trzech identycznych willi, które już z zewnątrz wyglądały naprawdę obiecująco.

– To co, chwila oddechu, kąpiel, ogarnianie wi-fi, roamingu i innych nudnych rzeczy, a potem jacuzzi? – rzuciła nagle całkiem już bez troski Barbara. – Czuję, że potrzebuję złocistych promieni i lodowato zimnego napoju z kokosowej skorupy, czy w czym tu się serwuje dobroczynną wodę z lodem.

– Mnie chyba dopada jet lag. Dziwnie się czuję i trochę kręci mi się w głowie – powiedziała Anka. – Więc pójdę pod prysznic czy coś, a potem posiedzę w pokoju i zeżrę wszystkie czekoladki i owoce od Marianki. Ale na kolację się zwlekę, promise. No chyba że nie, to wtedy zaczniście mi rzucać w okno czekoladą, a wyjdę na pewno.

– Ja chyba też się położę – stwierdziła Inga, choć w gruncie rzeczy chciała już dopaść do komputera, ogarnąć te wszystkie „nudne rzeczy”, o których mówiła Baśka, i napisać do Jakuba.

Barbara przewróciła oczami.

– Skoro tak, to ja zamiast do jacuzzi lecę na plażę. Jeśli nie dotrę na kolację, szukajcie mnie pod największą palmą! I z największym Ti’Punchem, jaki zobaczycie w całym swoim życiu.

Rozdział 5

Luksus. Dla wielu kobiet jest jak tajemnicza istota żyjąca w Loch Ness, Wielka Stopa i dieta, na której możesz jeść, na co tylko masz ochotę, i nie przytyć – wszystkie o nich słyszałyśmy, żadna z nas nie poznała ich osobiście. A przecież każda kobieta potrzebuje czasami zaznać odrobiny luksusu. Szałowych zakupów w ulubionym sklepie, wypadu nad morze z przyjaciółkami, odwiedzin u masażysty albo kąpieli w naszej wysłużonej wannie wśród różanych bąbelków i w błogiej ciszy. Jego forma niech zależy od naszych aktualnych potrzeb. Jednak już bez względu na to, jaki luksus byśmy wybrały, ważne, żeby był, jak mawiała Coco Chanel, wygodny. Bo jeśli nie jest wygodny, nie może być luksusem.

Inga przekroczyła próg willi i zamarła z wrażenia. Stała w drzwiach i napałała się bielą, rattanem i zielenią, w których skąpana była otwarta salonowa przestrzeń z miękką śmietankową kanapą i taką liczbą poduch, że Inga z trudem się powstrzymała przed zanurkowaniem w nie. Na stoliku w kolorze kości słoniowej i ze szklanym blatem stała patera z kawałkami egzotycznych owoców – marakui, guawy, saponilli – i... swojsko wyglądających truskawek. Do tego wiaderko ze schłodzonym szampanem, wybór pralin oraz puchate ptysie francuskie, na których widok Inga poczuła ssanie w żołądku. Zewsząd zwisały lub stały w ozdobnych donicach rośliny zielone w towarzystwie wiklinowych lamp, a naprzeciwko kanapy znajdowało się gigantyczne lustro w szerokiej rattanowej ramie. Inga zsunęła buty i bosymi stopami weszła na gęsty i delikatny jak puch dywan w kolorze bitej

śmietany. Powędrowała wzrokiem ku niewielkiej jasnobrązowej komodzie, na której stała misa z kolorowymi kamykami – zapewne szlachetnymi, pokłosem warsztatów prowadzonych tu przez wielebnego. W powietrzu unosił się delikatny zapach... jabłek. Inga westchnęła i ruszyła w głąb willi, gdzie spodziewała się znaleźć sypialnię.

I rzeczywiście. W dużej, lecz przytulnej sypialni z wyjściem na taras oraz widokiem na ocean królowało potężne łóżko z baldachimem, przykryte jasnokremową, ręcznie tkaną narzutą. Tu już Inga nie zamierzała się powstrzymywać – z piskiem rzuciła się na nie i zapadła w miękką pościel, która przyjęła ją jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Inga przymknęła oczy. O tak, to będą piękne dwa tygodnie!

Dwadzieścia pięć minut później, po pachnącej kąpieli w wannie wielkości małego basenu, w ręczniku na mokrych włosach i jedwabnym hotelowym szlafrocжку, siedziała na kołdrze z laptopem na kolanach i logowała się do internetu. Na razie nie zamierzała tykać pracy, ale chciała sprawdzić pocztę i napisać do Jakuba, że są już na miejscu. Przypuszczała, że nie od razu jej odpisze – dzieliło ich sześć godzin różnicy czasu i Kuba zapewne jeszcze spał, a jeśli nie, to na pewno nie sprawdzał maila – ale chciała zostawić mu swój ślad i dać znać, że o nim pamięta... Wystukała konkretną wiadomość z odrobiną czułości na komunikatorze i zalogowała się na skrzynkę mailową. Na samej górze listy mailingowej widniała automatyczna wiadomość z jej galerii internetowej. Tytuł wiadomości informował, że jedna z nowojorskich akwareli Ingi – *Empire State of Mind* – została kupiona.

Indziej mocniej zabiło serce. Za każdym razem (a jak dotąd tych razów nie było jeszcze zbyt wiele), gdy jakiś jej obraz miał powędrować do czyjegoś domu, najpierw robiło jej się słabo i miała wrażenie, że zaraz zemdleje i zmieni stan ze stałego w ciekły albo dla odmiany rozsadzi ją od środka. Ani odrobinę nie czuła się artystką – i nigdy tak o sobie nie pomyślała – a w porównaniu z innymi akwarelistkami i akwarelistami, którzy sprzedawali swoje prace na szeroką skalę, miała naprawdę niewielkie doświadczenie. A jednak po wernisażu w tej małej wymarzonej galerijce, którą wi-

działa z okien sypialni, jej obrazami zachwyciło się kilka pism branżowych, a pewien znany krytyk opisał nawet jej dziełka, używając określenia „emocje ujarzmione”. Chciała, żeby tak było, przynajmniej w przypadku niektórych z nich. Czas najwyższy...

Kliknęła w wiadomość i prześledziła wzrokiem treść maila. Kupiec zapłacił za obraz wraz z oprawą. Zjechała niżej, zaintrygowana, gdzie swoje miejsce na Ziemi znajdzie jej trzecia z tego cyklu akwarela. Poczucie omdlenia ustąpiło nagłemu przypływowi gorąca, który wypełnił Inge od czubka głowy po koniuszki palców. Ale nie było to to samo przyjemne doznanie, jakie towarzyszyło jej na każdych zajęciach z Kubą. Teraz na jej dopiero co zrelaksowane kąpielą ciało wystąpiły krople zimnego potu, a ręce zaczęły drżeć. Inga wpatrywała się wielkimi oczami w adres kupca, gdzie jak byk stało: Nowy Jork, Staten Island...

„Policz do dziesięciu od końca” – przypomniały jej się słowa terapeutki. „Przy każdej cyfrze weź głęboki wdech nosem i wolno wypuść powietrze ustami, zaciskając i rozluźniając palce. I oddychaj. Oddech jest najważniejszy”.

„Dziesięć...” – zakotłowało jej w myślach. Wdech, wydech. „Dziewięć...” Powietrze rozparło jej klatkę piersiową, po czym uleciało, gdy otworzyła usta. „Osiem...”

Po chwili oddychała już spokojnie, a chaos w głowie się wyciszył. „To tylko miasto” – pomyślała. „Nic więcej. Tamtego życia już nie ma”.

Spojrzała na adres mężczyzny, którego imię i nazwisko absolutnie nic jej nie mówiły. „Po prostu jakiemuś nowojorczykowi bardzo spodobała się twoja akwarela i tyle. Nie wariuj” – skarciła się w duchu. „Ciesz się! Twój obraz poleci za ocean!”



Anna wyszła z przepastnej wanny dokładnie o trzynastej pięć i z satysfakcją pomyślała, że gdyby była teraz w Poznaniu, kisiłaby się w robocie. A tak,

mając na sobie jedynie ręcznik, z rozkoszą kokosiła się w miękkiej sofie w salonie i skubała ananasa. Popijała też szampana, i to z dziką przyjemnością. Po kwadransie błógiego lenistwa zabrała się do rozkminiania tematu roamingów, hotspotów i pozostałych rzeczy, które miały jej ułatwić kontakt ze światem zewnętrznym. Mimo że pobyt na Martynice to miały być jej upragnione wakacje, nie potrafiła sobie pozwolić na całkowite porzucenie myśli o pracy. Przed wyjazdem oczywiście załatwiła absolutnie wszystko, co do niej należało, by zastępujący ją Zenek nie wdepnął w żadne powstałe przez jej niedopatrzenie bagienko. A jednak z tyłu jej głowy wciąż tłukła się myśl o tym, że ich przełożony, zwany przez wszystkich średnio życzliwie Starym, zrobił się na nią strasznie cięty. Jak się okazało, nie bez powodu. Odkąd wygrała sprawę Jarosława Habera, znęta i zdradliwego chujka, który bił żonę, a nawet doprowadził do tego, że poroniła kolejne ciążę, Stary miał do Procy nieustające uwagi i przydzielał jej najgorsze, czyli najnudniejsze i najbardziej upierdliwe sprawy z możliwych. A wszystko przez to, że wraz z ojcem Habera, znanym w środowisku mecenasem (który ponoć jeździł na ryby z samym ministrem), wybierali się co roku na jacht, a na Święta Wielkanocne wyruszali na ultrasamczą wyprawę po norweskich fiordach. Anka absolutnie nie miała nic przeciwko ultrasamczym wyprawom ani tym bardziej męskim przyjaźniom, o ile były one szczere i niepodszyte chęcią umywania sobie nawzajem rączek. Niestety – w przypadku znajomości jej szefa ze starym Haberem – ewidentnie chodziło o to, by ręka rękę myła. Kiedy więc Haber junior, który absolutnie i bezdyskusyjnie zasłużył sobie na to, by ponieść konsekwencje własnych ohydnych wyborów, poszedł siedzieć, stosunki pomiędzy dwoma mężczyznami uległy znacznemu pogorszeniu. Nie pozostało to bez wpływu na humory Starego, który niczym wkurwiona i tłusta chmura gradowa zaczął bez zapowiedzi wpadać do pokoju Anki i zasypywać ją stosami akt w sprawach beznadziejnych, z góry skazanych na porażkę lub z dupy wziętych. I tak oto Anka od paru tygodni tkwiła w czymś, co nie przynosiło jej już ani grama satysfakcji.

Westchnęła i rozejrzała się po salonie. Cieszyła się cholernie na myśl o tych wakacjach. Potrzebowała odpoczynku, wietrzenia głowy i relaksu z dziewczynami oraz ukochaną siostrą. Chciała się wyluzować, potaćzyć,

wygrzać na plaży i umrzeć z zachwytu w pięknych okolicznościach przyrody z pomarszczoną od zbyt długiego siedzenia w oceanie skórą. Pociągnęła jeszcze jeden łyżeczek szampana, kiedy nagle rozdzwonił się jej telefon. Rzuciła okiem na wyświetlacz.

„Kurwa, nie wierzę!” – zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim jej palec niejako z automatu wylądował na zielonej słuchawce.

– Tak, słucham?

– No ja myślę, Krauze, że słuchasz, bo nie zamierzam się powtarzać.

Anka przewróciła oczami i westchnęła w duchu. W słuchawce słyszała swojego szefa, wulgarnego i stronniczego choleryka, którego pupilką, delikatnie rzecz ujmując, nigdy nie była.

– Czy coś się stało? – zapytała z przesadnym spokojem.

– Skoro przerywam udział w bardzo ważnym spotkaniu, o którym powinnaś wiedzieć, bo informowałem wszystkich w prokuraturze... – Anka od razu przypomniała sobie, jak na zebraniu Stary huknął w nich informacją, że w grudniu jedzie na tajne spotkanie na szczycie, na jak to określili: „bardzo, kurwa, wysokim szczycie”, i nie życzy sobie, by ktokolwiek mu dupę zawracał. – ...więc jak by niestety nie patrzeć, ciebie również, to chyba musiało się coś stać.

Anka w ciszy czekała na ciąg dalszy.

– Nie zapytasz, CO się stało? – Na łączach aż trzasnęło.

– Co się stało? – użyła słów Starego, co zawsze, absolutnie zawsze doprowadzało go do szału.

Mężczyzna sarknął pod nosem.

– Jeśli tak słabo u ciebie z dedukcją, to nie wróżę wielkiej kariery – rzucił ironicznie. – Skoro dzwonię, to chyba oczywiste, że coś się stało, prawda? – Zamilkł, zapewne po to, by dodać tej chwili dramaturgii.

– Rozumiem – powiedziała powoli Anka, starając się panować nad drżeniem głosu. Poczula, jak w jej gardle rośnie stresowa gula. – W takim razie w czym mogę pomóc?

Stary zaśmiał się krótko.

– Pomóc byś mogła na miejscu, gdybyś nie wymyśliła sobie urlopu w grudniu. Dobrze wiedziałaś, jak zawsze wyglądamy pod koniec roku.

Owszem, Anka wiedziała. Grudzień w prokuraturze był czasem, w którym zawsze panowała powszechna sraczka i wszyscy spinali cztery litery, żeby smród nie poniósł się za daleko, jak zwykł mawiać Stary. Ale ona nie dość, że miała jakiś milion dwieście dni zaległego urlopu, to jeszcze przed wyjazdem niczym szachistka poczyniła wiele ruchów wprzód i uzbroiła Zenka w różne dokumenty na zapas. Dlatego teraz kompletnie nie rozumiała, o co chodzi jej szefowi, który przecież sam własnoręcznie podpisał zgodę na to, by wzięła wolne.

– Muszę przyznać, że bardzo sprytnie podrzuciłaś mi ten wniosek urlopowy – dodał, czym ostatecznie rozwiązał jej ostatnią wątpliwość.

I choć wzburzenie momentalnie osiągnęło w niej najwyższy level, postanowiła tego nie komentować. Wiedziała, że kiedy Stary płynął z monologiem, należało przeczekać, aż dobieje do brzegu. I wreszcie wyłuszczy, z czym przyszedł i dlaczego zawraca jej głowę. A także inną część ciała.

– Ale to również oczywistość, której nie zamierzam analizować – ciągnął Stary. – Chętnie jednak dowiem się ze szczegółami, dlaczego muszę gasić twoje pożary.

– Nie rozumiem.

– Co tu rozumieć?! Nie napisałaś wniosku o przedłużenie aresztu dla Terleckiego. Za chwilę kończy mu się areszt. Dobrze wiesz, że jeśli wyjdzie po upływie terminu, to góra...

– Znam konsekwencje – przerwała mu Anka obcesowym tonem. – Ale Terlecki nie wyjdzie po terminie, ponieważ ja ten wniosek napisałam tydzień temu i zostawiłam na biurku u Zenka.

Stary ponownie się zaśmiał i Ance natychmiast stanął przed oczami jego wielki trzęsący się brzuch.

– Zenek jest na zwolnieniu lekarskim – oświadczył szef. – I wierz mi, Krauze, że zanim wyjechałem z Poznania, przejrzałem wszystkie papiery

w poszukiwaniu tego cholernego wniosku. I nigdzie go nie ma. Ale kto wie, może po prostu to wszystko ci się przyśniło.

Anka zacisnęła szczęki. Doskonale pamiętała moment, kiedy drukowała świeżo napisany wniosek na tej pieprzonej maszynie, w której szwankuje druk dwustronny, a potem zniosła go Zenkowi. Pamiętała nawet słowa druha: „Nie bój żaby, Aneczka. Nie takie urlopy ta prokuratura widziała. Jedź już wreszcie, tylko pocztówkę mi przyślij! Albo magnesik na lodówkę przywieź”. Nigdy nie podejrzewała żadnego ze swoich współpracowników o kopanie dołek czy podrzucanie świń. A już zwłaszcza nie podejrzewałyby o to dobrego, poczciwego Zenka. Ale Starego? Stary to była inna bajka. Pióra braci Grimm bez cenzury.

– Więc – odezwał się chrapliwie jej przełożony – ktoś będzie musiał odwalić całą robotę za ciebie, a i tak nie wiem, czy zdąży. Tak ci tylko mówię, Krauze. Bądź łaskawa mieć świadomość, że nawaliłaś. I że poniesiesz tego konsekwencje. Szykuj się na dyscyplinarinę. Dołączysz do Ogórek.

Rzucił słuchawką, a Anka pobladła. Dobrze pamiętała, jak skończyła Ogórek, rzeczniczka prasowa prokuratury. Dopóki była ulubienicą Starego (wszyscy wiedzieli dlaczego), mogła popełniać gafy i zaliczać wpadki. Czasami katastrofalne. Kiedy jednak parasol ochronny Starego przestał działać (tu też wszyscy wiedzieli dlaczego), najpierw została odcięta od premii, potem dostała naganę z wpisem do akt, a na koniec z hukiem wyleciała z prokuratury. I nie pomogły wtedy ani ładna buzia, ani boska figura.

Anna Krauze vel Proca kochała swoją robotę i wiedziała, że jest w niej dobra. Co więcej, nie miała zamiaru wylatywać z niej za jakiś świstek papieru, który, była tego pewna na dwieście procent, przygotowała.

Długo dochodziła do siebie po nieoczekiwanej i koszmarnie upiornej rozmowie ze Starym. Znała go, w prokuraturze nie pracowała od miesiąca, i wiedziała, że był wybuchowy, a na nią wyjątkowo cięty. Nigdy jednak jej nie groził w tak zdecydowany sposób. Ani tak opanowany.

A jeśli rzeczywiście ją wyleje? Jak Ogórek?

Poczuła suchość w gardle i sięgnęła po kieliszek z szampanem. Wypiła duszkiem jeden, drugi, trzeci. Kiedy poczuła przyjemne ciepło rozlewające

się po ciele, odetchnęła. Spojrzała przez okno, na wszechobecną zieleń i lazur oceanu w dali, i wtedy dotarło do niej coś jeszcze. Stary powiedział, że Zenek jest na zwolnieniu, a Zenek, jej najlepszy kumpel z roboty, nigdy, ale to przenigdy nie chodził na zwolnienia. To był człowiek ze stali, którego nie miały się bakterie, wirusy ani żadne inne okoliczności uziemiające. Jedyne nieobecności, jakie zaliczał w swoim życiu, to te, kiedy był na urlopie i wyjazdach służbowych.

„Musiało mu się coś stać” – przemknęło jej przez myśl, a ta myśl zaniepokoiła ją nawet bardziej niż groźby Starego.

Natychmiast musiała się dowiedzieć, co się stało z Zenkiem. Odpaliła pocztę i wtedy wiadomości zaczęły spływać niczym lawina. Większość była spamem, kilka dotyczyło nienagłych spraw zawodowych, dwie całkiem pilne, a jedna była od... Zenka. Z jego prywatnego adresu. Kamień spadł jej z serca, bo choć nigdy by się przed kumplem do tego nie przyznała, pierwsze, co pomyślała, to to, że z Zenkiem jest bardzo, bardzo źle. A nawet, że... umarł... Głupio jej się teraz zrobiło przed samą sobą.

„Aneczka!” – zaczęła czytać i na sam widok pierwszego słowa, uśmiechnęła się. Zenek zawsze tak się do niej zwracał.

Wiesz, że na urlopie nigdy bym Ci nie zawracał czterech liter, ale sytuacja się skomplikowała, a na tę okoliczność umówiliśmy się, że do Ciebie napiszę. Stary kompletnie zwariował. Nigdy go takim nie widziałem. Poszłaś na urlop, a on jakby na to czekał. Wjechał do biura swoim czołgiem i jeńców nie brał. Wszystkich wzywał na dywanik, nawet mnie, choć zawsze byłem nietykalny, w końcu jesteśmy kumplami z roku. No ale wezwał, a jak mnie wezwał, to nie pytał o żadne sprawy, tylko o... Ciebie. A kiedy niczego mu nie podsunąłem, wkurzył się i kazał mi się wynosić, a potem zrobił rozpierduchę w Twoich sprawach. Kiedyś powiedzielibyśmy: niech szuka, ale lepiej, żeby TAKI Stary jednak nigdzie nie grzebał, bo jak bardzo będzie chciał, to umarlaka w szafie znajdzie. Każdemu, nawet Tobie.

Ma jechać na ten superważny szczyt, więc w robocie się wyciszy, ale jakby co, będę trzymał rękę na pulsie, a oczy szerzej otwarte niż nasza kochana pani Gienia z portierni.

Jesteśmy w kontakcie, Aneczka.

Nie zapomnij o magnesie dla mnie. Zrobiłem już miejsce na lodówce.

Anka dwukrotnie przeczytała wiadomość od Zenka, przeanalizowała całą sytuację i po dłuższej chwili otrząsnęła się z tych smutnych rozważań. Postanowiła twardo, że tego dnia o sprawie już nie będzie myśleć, według rady Scarlett O'Hary: „Pomyślę o tym jutro”. I z takim zamiarem wyszła z pokoju.



Barbara ponad godzinę leżała w ogromnej wannie pełnej piany, sącząc wodę mineralną z plasterkiem cytryny i solidną porcją lodu. Schłodzonego szampana postanowiła włożyć do niewielkiej lodówki i zachować na kolejny dzień, ewentualnie na bardzo późny wieczór. Tuż po przekroczeniu progu dopadła ją bowiem migrena – wielka, pulsująca, obezwładniająca migrena. Baśkę głowa bolała z rzadka i zwykle w ekspresowym tempie sobie z tym radziła. Jednak jej proszki na tę okoliczność pozostały w zaginionym bagażu, musiała więc ratować się jednym z domowych sposobów i powolutku, małymi łykami popijała orzeźwiająca wodę. Po godzinie wysunęła się zgrabnie z kąpieli i zupełnie naga przeszła do sypialni, by przygotować się na wyjście. W trakcie relaksu w łazience zrezygnowała z pomysłu spaceru na plażę i zdecydowała, że zamiast tego uspokoi zszargane nerwy i uśmierzy ból jakimś miłym masażem w tutejszym spa. W eleganckim informatorze, drukowanym na papierze kredowym, widniała cała długa lista zabiegów i atrakcji, jakie oferował obiekt: cały wachlarz usług dla ciała i ducha (masaże, bicze wodne, solanki, okładanie płatkami kwiatów,

a także medytacje i joga, oraz – oczywiście, a jakże – warsztaty z wielbionym Arystotelesem Apostolakisem). Barbara sunęła smukłym palcem po kolejnych pozycjach. Dalej była mowa o zajęciach z nurkowania (od biedy mogły być), lotach helikopterem (to brzmiało wybitnie interesująco) oraz geocachingu (na to Baśka nie poświęciła nawet trzech sekund swego cennego czasu).

Wybrawszy jeden z rodzajów masażu (w informatorze nazwano go karaibskim rytuałem odmładzającym, który rzecz jasna, wcale, ale to wcale nie był jej potrzebny), zadzwoniła do recepcji i z miłym zaskoczeniem przyjęła do wiadomości, że masażysta o tajemniczym imieniu Armando wraz z łóżkiem do masażu i wszelkimi innymi akcesoriami zjawi się w jej apartamencie za jakieś dwadzieścia minut. Do tego czasu postanowiła zająć się żmudnym, ale koniecznym obowiązkiem uruchomienia komputera, wklepania hasła do wi-fi i niestety przejrzenia poczty.

Po ostatniej historii z Brajanem Kodrąbkim, oszustem i szantażystą, wiedziała, że zawodowe szambo najbardziej lubi wybijać w momencie, kiedy wszystko idzie gładko, a niesiony na fali sukcesu człowiek traci czujność. Mimo że na miejscu zostawiła swoją wierną i niezawodną asystentkę Jadwigę, tuż przed wylotem kazała dziewczynie solennie przysiąc, że jeśli na horyzoncie choćby zamajaczy widmo ewentualnego fakapu, asystentka natychmiast da jej znać, a dodatkowo co dwa dni podeśle króciusieńki raportik. Baśka oczywiście nie zamierzała ich regularnie czytać, ale już sama świadomość ich istnienia zapewniała jej pewnego rodzaju spokój ducha.

Łącze w hotelu działało ekspresowo szybko niczym najmocniejszy drink i już po paru sekundach oczom Baśki, pod którymi spoczywały odświeżające płatki kosmetyczne nasączone skwalanowym olejkiem, ukazała się hybrydowa skrzynka pocztowa – łącząca jej adres prywatny z mailem służbowym. Jeśli jednak Barbara Kochańska miała być szczerą sama ze sobą, to musiała przyznać wprost, że wcale nie o wiadomości z pracy jej chodziło. Znaczy o to też. Ale nie te maile obecnie miały dla niej najwyższy priorytet. Od kilku tygodni czekała bowiem na pewną niezwykle ważną dla niej wiadomość. Od kilku tygodni żyła jak na szpilkach i zdążyła już przejść przez

wiele dziwnych etapów owego oczekiwania. Na samym początku, tuż po wysłaniu maila, natychmiast pożałowała swojej decyzji. Przecież mogła zostawić tę sprawę w tym samym miejscu, w jakim tkwiła ona od wielu lat. Dotychczas Baśka uważała, że lepiej nie tykać – nawet kijem i z oddali – czegoś, co boli. Lepiej to zostawić, omijać, nakryć kocem i udawać, że tego nie ma. Potem jednak zaczęła się w niej budzić nadzieja. A jeśli odpisze? Jeśli się spotkają? Co sobie powiedzą? Czy będą umieli ze sobą rozmawiać, chowając do kieszeni przeszłość? Czy się do siebie... zbliżą? Z tym ostatnim pytaniem w Barbarze pojawił się strach, emocja, z którą kiedyś radziła sobie doskonale – na tyle, że niemal całkowicie udało jej się wyeliminować go ze swojego życia. Ten strach był obezwładniający i rósł niczym bluszcz na murze, w którym ceglami były kolejne wątpliwości: A jeśli on już nie chce mieć ze mną nic wspólnego? Jeśli ma mnie gdzieś? Jeśli odebrał wiadomość, przeczytał i usunął? Albo usunął ją, nawet nie czytając? Jeśli po tym, co się wtedy wydarzyło, on mnie... nienawidzi?

Lecz po jakimś czasie strach ustąpił miejsca zgoła innemu uczuciu. Teraz, w luksusowych wnętrzach karaibskiego hotelu, po tylu tygodniach oczekiwania, Barbara zaczynała czuć gorącą, palącą złość. Trawiło ją od środka to, że to ona zrobiła pierwszy krok, który naprawdę wiele, wiele ją kosztował. A ona, Barbara Kochańska, nie była skłonna do takich gestów. Ani do wybaczenia, ani do podpisywania paktu o nieagresji.

Wiadomości w liczbie piętnastu (coś tam z kadr, coś od Jadźki, newsletter sklepu z francuską bielizną i info o konieczności przedłużenia subskrypcji cateringu dietetycznego) spływały gładko jedna po drugiej, ale żadna z nich nie pochodziła z wyczekiwanego źródła. Baśka kilkakrotnie stuknęła paznokciem w klawisz odświeżający pocztę, po czym upiła łyk wody i weszła w mail od Jadźki zatytułowany *Portal – postępy*.

Nie tak dawno temu Anka, Inga i Barbara, po całkiem udanej próbie ratowania Karoliny z rąk zdradzieckiego Damiana Karola Kurskiego, vel byłego narzeczonego Anki, vel Hana Solo, oraz po wymierzeniu mu solidnej i długofalowej kary podjęły decyzję o założeniu portalu tylko dla kobiet. *Mój Ex, Twój Next* miało być przystanią, punktem zaczepienia dla dziew-

czyn porzuconych i zdradzonych, miejscem, w którym mogłyby się wymieniać doświadczeniami i przestrzegać nawzajem przed obłudnymi i oszukującymi facetami. Do działań została też odgórnie włączona Jadwiga. Kilka miesięcy wcześniej uratowała wizerunek firmy i wizerunek Barbary przed całkowitym pogrążeniem się w kadzi z syropem na gardło, do którego niefrasobliwy pracownik, Brajan Kodrąbek, postanowił był z dumą i premedytacją oddać urynę własną. Całe to zajście uwiecznił na filmiku i zamierzał wypuścić go w świat. Wtedy to Barbara poznała prawdziwe oblicze Jadwigi – dotąd niepozornej i cichej – a jak się okazało, okrutnie sprytnej, myślącej analitycznie i mającej szerokie zasięgi w bardzo dziwnych środowiskach. Wobec tych okoliczności udział Jadwigi w projekcie dla kobiet dziewczyny uznały za niezbędny. Jadźce nie trzeba było długo tłumaczyć: już po kilku zdaniach Baśki objaśniających zamysł dziewczyna wyraziła gotowość wzięcia udziału w tym, jak się wyraziła, „absolutnie genialnym planie przeciwko tym wszystkim facetom mającym w mózgu ledwie dwie synapsy, które nigdy się nie spotkały”.

Baśka sunęła wzrokiem po ścianie tekstu, w którym Jadwiga wyłożyła oględnie, że wszystkie techniczne pierdoły i całe zaplecze typu domeny, hostingi i inne dziwne nazwy, których sam już widok przyprawiał Kochońską o okropne ziewanie (a co za tym szło, zmarszczki), zostały ogarnięte przez zespół informatyczek, zwerbowanych tylko Jadźce znanym sposobem z Doliny Krzemowej. „W każdym razie – pisała asystentka – to będzie najnowocześniejsza platforma społecznościowa w Europie. A nawet na świecie! Więc wszystkie babeczki i ich sekrety będą tu bezpieczne. Teraz graficzki pracują nad layoutem, by był jak najbardziej przyjazny i intuicyjny na wszystkich nośnikach”.

„Czyli może chociaż to wypali” – westchnęła Barbara, upiła łyk wody i ostatni raz odświeżyła pocztę, a gdy nic nowego nie pojawiło się w skrzynce odbiorczej, zamknęła pokrywę laptopa i opadła na łóżko.

Leżała tak z przymkniętymi oczami, gdy telefon zasygnalizował nadejście wiadomości na czacie.

„Obiad czy kolacja?” – pisała Anka.

„Oesu, ja umieram z głodu! Obiad!” – odezwała się po chwili Inga.

„Ja mam małą hedonistyczną obsuweczkę i dołączę na późny obiad albo wczesną kolację” – wystukała Baśka i niemal w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Barbara narzuciła na siebie jedwabny szlafrok i poczłapała powoli, zupełnie jak nie ona, otworzyć podwoje apartamentu zapewne bardzo przystojnemu karaibskiemu masażystie imieniem Armando.

Rozdział 6

Mawiają, że kłamstwo ma krótkie nóżki, ale to zdecydowanie nieprawda. W bardzo wielu przypadkach kłamstwo ma długie i zgrabne nogi, czasem nawet odziane w pończochy i szpilki dziesiątki od Louboutina, albo całkiem przyzwoite i umięśnione nogi biegacza długodystansowego w dopasowanych szortach. Do czasu, aż padnie na nie sokoli wzrok kobiety, której pomyślność równa się tej u Enoli Holmes i której przebiegłości nie powstydziliby się Virginia Hall. Wtedy owe nogi nagle się kurczą, wiotczeją i tak zaczynają się plątać, że ich właściciel bądź właścicielka wykłada się na prostej drodze. Ups.

Po czterdziestu minutach Inga i Anka zwały szyki w holu przy recepcji. Stwierdziły, że poczekają z jedzeniem na Baśkę, i przeglądały katalog miejscowych atrakcji, otrzymany od bardzo uprzejmego konsjerża.

– Może jutro wybierzemy się na nurkowanie? Przed samą Wigilią może być u mnie kiepsko z czasem, bo obiecałam pomóc Marianne. – Anka z rozmarzeniem wpatrywała się w rozkładówkę z fotografią bajecznej rafy w pobliżu Rocher du Diamant. Próbowwała się zachowywać tak, jakby przed chwilą nie odbyła upokarzającej rozmowy z szefem i nie przeczytała porażającego maila od Zenka. – Nigdy nie nurkowałam, a okropnie mnie korci, żeby poczuć nutkę adrenaliny. Nie żeby po samolocie było mi mało... Ale pamiętam, co mi kiedyś powiedziałaś. Nie można samej siebie bojkotować ani nie ma na co czekać, prawda? Tylko działać.

Inga z pewnym sceptycyzmem wpatrywała się w kolorowe i zapewne zupełnie niewyretuszowane zdjęcie. Bogactwo barw, zwłaszcza odcieni nie-

bieskiego i zieleni, absolutnie ją zachwyciło. Mogłaby to potem namalować... Ale...

– Średnio pływam – wyznała. – Właściwie nigdy, jeśli nie czuję gruntu pod nogami. Kilka razy próbowałam się nauczyć, tylko że...

– Tylko że czakra krzyżowa się poblokowała, a wraz z nią cała reszta. A potem to już kolos. Czyli z greckiego dupa – usłyszały za sobą znajomy głos.

Wielebny Arystoteles Apostolakis stał za nimi, odziany w jasną i luźną białą szatę i spodnie oraz wiązane sandały. Zupełnie jakby właśnie wrócił z zakupów w jednym z hotelowych sklepików z tymi, według Barbary, tandetnymi karaibskimi ciuchami.

– Może jednak mógłbym pomóc, bo i czemu nie – ciągnął. – Gdyby nie ten pani sceptycyzm. Kiedy głowa zamknięta, serce staje się więzieniem – dodał filozoficznie, po czym skłonił się lekko i dostojnym krokiem odszedł w kierunku restauracji.

Inga chciała otworzyć usta, żeby jakoś to skomentować, ale nie zdążyła, bo ogromne szklane drzwi prowadzące do apartamentów właśnie się rozsunęły i weszła przez nie Barbara Kochańska w swojej żelaznej, odświeżonej parownicą sukience oraz szpilkach, a do tego w słomkowym kapeluszu z ogromnym – naprawdę ogromnym – rondem. Właściwie można by rzec, że najpierw kroczyło rondo, a dopiero za nim Baśka. Anka i Inga spoglądały na nią z niedowierzaniem pomieszanym z rozbawieniem.

– Jezu, Barbara! – wyjąkała w końcu Inga. – Gdzie ty go kupiłaś? W sklepiku z pamiątkami z Roswell?

– Jeśli chciałaś powiedzieć, że wyglądam nieziemsko, to owszem – odparła z godnością Barbara, przeglądając się w gigantycznym lustrze obok recepcji. – Ten kolor doskonale podkreśla odcień moich włosów. I równie doskonale pasowałby do mojego bikini, gdyby nie stało się to cholerne coś. Czy mój bagaż jakimś cudem może już dojechał? Zleciłam liniom na tę okoliczność poinformowanie hotelu – zwróciła się do eleganckiego konsjerża, który szybko przeklikał coś w komputerze.

– Powinien być lada moment... To znaczy będzie lada moment – odparł uspokajająco. – Dosłownie przed chwilą otrzymałem informację od przewoźnika, że pani bagaż został zlokalizowany.

– I?

– I tak jak powiedziałem, będzie tu lada moment.

– A co oznacza ten lada moment?

– To oznacza, że będzie tu bardzo szybko. W ciągu jakichś trzech dni.

Barbara westchnęła. Dla niej trzy dni bez walizki pełnej nietuzinkowych ubrań i butów brzmiało jak cała wieczność i nie satysfakcjonowało jej ani trochę. Powstrzymała się jednak przed skomentowaniem słów konsjerża. Nie wykonała nawet drobnego gestu, który zdradzałby jej niezadowolenie. Spojrzała jedynie w przesadnie spokojną twarz mężczyzny (który swoją fizys mnicha zawdzięczał zapewne warsztatom u wielebnego) i ostatecznie uznała, że i tak nic nie wskóra.

Zwilżyła usta i poprawiła kapelusz, którego szerokie rondo zatrzepotało niebezpiecznie.

– No to co, dziewczęta? – zwróciła się do przyjaciółek. – Kierunek restauracja?

Anka i Inga rzuciły sobie spojrzenia.

– Pod warunkiem że nas nie porwiesz tym... czymś – odparła Inga, wskazując na słomkowego giganta.

– Daj spokój. To coś to najlepszy plażowy dodatek ever. Jestem przekonana, że zadam nim szyku! Nie od dziś wiadomo, że to dodatki decydują o charakterze stylizacji. I w worku na ziemniaki można wyglądać jak spod igły Karla Lagerfelda, byleby dodatki się zgadzały. A u mnie się zgadzają, bo oprócz kapelusza mam również to! – Z niewielkiej torebeczki wyjęła gigantyczne okulary przeciwsłoneczne ombre. – Na szczęście schowałam je w podręcznym!

Inga pomyślała, że nie wie, jakim cudem tak wielkie szkła zmieściły się w tak małej kopertówce. Cóż, najwyraźniej Barbara miała swoje sposoby.

– Gabarytowo z kapeluszem stanowią piękną parę – stwierdziła z rozba-
wieniem Anka, na co Barbara dystyngowanym gestem założyła okulary,
które zakryły jej pół twarzy, i przejrzała się w lustrze.

– No! – orzekła z satysfakcją. – Jestem gotowa przyjąć w siebie jakieś
karaibskie dobro w postaci głównego dania! Bo przystaweczki już skoszto-
wałam – dodała dwuznacznie i z pozornie niewinnym uśmiechem na
ustach ruszyła do restauracji.

– Jakiej znów przystaweczki? – Anka nie wytrzymała.

Baśka zwróciła się w jej kierunku, wywołując lekki przeciąg kapeluszem.

– Och, bejbe... Znasz mnie... Dobroczynnego masażu oczywiście. No bo
czego innego?



Restauracja, w której miały zjeść pierwszy wspólny posiłek na karaibskiej
ziemi, była bajkowa. Nad okrągłymi stolikami ozdobionymi długimi bia-
łymi obrusami, elegancką porcelaną i złotymi sztuczkami drżały poruszone
delikatnym wiatrem zielone girlandy z wplecionymi w nie kwiatami imbiru.
Na podwyższeniu, u szczytu plenerowej sali restauracyjnej, znajdował się
imponujących rozmiarów fortepian, na którym pianista wygrywał takty ja-
kieś rozluźniającej melodii. Kiedy dziewczyny usiadły do stołu, wokół
było dość spokojnie, ale wraz z upływem minut, a przede wszystkim wypi-
tego przez gości alkoholu, stawało się gwarno, a nawet hałaśliwie. Po zupie
rybnej, której Baśka powiedziała zdecydowane „nie”, kelner przyniósł sa-
łatę z plasterkami tofu. Wszystkie przyjęły ją z zadowoleniem.

– Tym mogłabym się żywić każdego dnia – stwierdziła Barbara.

– Ja też – dodała Inga.

– Nigdy nie lubiłam tofu, ale tu jakby inaczej smakuje. Co wy tam doda-
jecie, siostrzyczko, że to takie dobre? – Anka uśmiechnęła się do Marianki,
która pojawiła się przy ich stole.

Miała na sobie powłóczystą suknię w kolorze słońca w zenicie, na stopach miękkie botki, a we włosach jedwabną chustkę.

– To tajemnica naszej kuchni – powiedziała rozpromieniona Marianka. – Ale zdradzę wam, że kluczem do sukcesu jest marynata do tofu. Autorska marynata szefa naszej kuchni, Jean-Jacques’a.

– Wyczuwam francuski dryl.

– I słusznie. Bo Jean-Jacques przyjechał do nas z Marsylii.

– Och! A więc stąd moje francuskie podniebienie czuje taką rozkosz – pochwaliła Barbara.

– Być może.

– Ale do zupy rybnej się nie przyłożył. Słabiutka.

– E tam, zaraz słabiutka. – Marianka machnęła ręką. – Rybna to nie pomidorówka. Nie wszystkim musi smakować. Na szczęście mamy kilka innych. Może wolałabyś coś lokalnego?

Barbara cmoknęła z satysfakcją.

– Fakt. Z rybną nigdy nie było mi po drodze. Może gdyby lepiej pachniała, a nie tymi wszystkimi trzcunami i... odwłokami.

Marianka się zaśmiała.

– Za chwilę pojawi się gwóźdź programu – zmieniła temat i pogładziwszy siostrę po ramieniu, oddaliła się do sąsiedniego stolika, przy którym siedziała para Azjatów.

– Ciekawe, co to za gwóźdź. – Barbara zmrużyła oczy. – Może występ chippendalesów albo chociaż karaibskich tenorów. – A widząc rozbawione spojrzenie Ingi, dodała: – Nigdy nie ukrywałam, że lubię facetów. Wkurzają mnie, ale ich lubię. Zresztą wakacje mam, to mogę, a nawet powinnam otaczać się mężczyznami – stwierdziła, poprawiając swój idealny biust.

– I to niekoniecznie przez wzgląd na potrzebę rozrywki intelektualnej, co?

Baśka z Ingą jeszcze przez chwilę się przekomarzały. Anka jednak nie słuchała ich ani trochę, nawet troszeczkę. Wgapiła się w jeden punkt. Po chwili pobladła, złapała serwetkę, którą rozłożyła sobie wcześniej na kola-

nach, i zamachała nią gwałtownie, udając, że się wachluje, jakby nagle zrobiło jej się strasznie gorąco. Inga spojrzała na nią ze zdziwieniem, unosząc pytająco brwi. Anka na zmianę to robiła się biała jak kreda, to znów czerwieniała, zsuwając się powoli na krzesło i zakrywając twarz serwetką. Baśka z wrażenia aż odstawiła drinka.

– Halo, Aneczka, wszystko w porządku? Co ty wyrabiasz? Atak masz jakiś czy co? Wołać na pomoc tego uroczego kelnera?

Anka zaprzeczyła natychmiast energicznym ruchem głowy, już niemal z pozycji greckiej bogini, pół leżąc, pół siedząc na krzesle.

– Nie mów do mnie po imieniu! – wysyczała niemal bezgłośnie. – Najlepiej w ogóle do mnie nie mów! On nie może mnie tu zobaczyć! Kurwa, muszę się stąd wydostać! Baśka, weź mnie zasłoń tym swoim rondem i na trzy cztery znikamy stąd!

– Ale kto to jest on? – zapytała Inga, zniżając głos do szeptu i profilaktycznie nie podążając za spanikowanym spojrzeniem Anki.

To byłby błąd amatorki, a ona amatorką w sztuce konspiracji nie była. Niestety.

Podobnie zresztą jak Barbara.

– Trzymaj! – Baśka wyciągnęła w kierunku Anki gigantyczne okulary przeciwsłoneczne, po czym hollywoodzkim gestem, jakiego nie powstydzilyby się Rita Hayworth, zdjęła swój ufo-kapelusz i podała go przyjaciółce. – I zakładaj. W tym cię nikt nie pozna! Tylko włosy unieś i schowaj.

Anka błyskawicznie porwała okulary i nakrycie głowy i po chwili wynurzyła się spod stołu w zupełnie innej odsłonie – kobiety szpieżki, a Inga w duchu musiała przyznać, że Ania wygląda w tym entourage’u lepiej niż Baśka. Jakoś tak... z pazurem, którego Barbara wcale nie musiała sobie dorabiać dodatkami.

– Lepiej? – zapytała Baśka, a gdy Anka ostrożnie skinęła głową, a od kapelusza powiał wiatr, złożyła dłonie w piramidkę i spojrzała przenikliwie na przyjaciółkę, mrużąc oczy. – No to teraz opowiadaj, kogo od dzisiaj mamy na celowniku.

Anka z kamienną miną siedziała jeszcze przez kilka sekund, trawiąc obraz, jaki miała przed oczami, a o którym jeszcze nic nie wiedziały Inga i Barbara.

– Tylko się nie odwracajcie, dobra? – szepnęła. – Mimo wszystko nie chciałabym ściągać uwagi na nasz stolik.

Baśka przewróciła oczami.

– Bejbe, czy ty myślisz, że my nie wiemy, z czym do ludzi? Że my w dyskrecję nie umiemy? Dyskrecja to nasza supermoc. Tak czy nie, Inguś? – Inga przytaknęła zdecydowanym ruchem głowy. – Poza tym – Barbara ujęła w długie palce kieliszek i zakręciła pływającą w nim oliwką – to nie pierwsza nasza akcja. I przyznam szczerze, że po ostatniej zaczynałam się już trochę nudzić...

Wyjęła z torebki lusterko.

– No to teraz słucham: na której godzinie mamy tego delikwenta, bo muszę się odpowiednio ustawić ze sprzętem do inwigilacji.

Anka uniosła dłoń do czoła, jakby chcąc dodatkowo się osłonić. Inga delikatnie ujęła ją za rękę i oparła jej dłoń na stoliku.

– Spróbuj zachowywać się jak zwykle – powiedziała. – Teraz swoją mową ciała wysyłasz sygnał, że coś jest mocno nie tak, i możesz łatwo ściągnąć na siebie uwagę otoczenia. Wyglądasz na spiętą, zupełnie jakbyś miała coś na sumieniu. A nie masz. Bo nie masz, prawda? – zażartowała, by rozluźnić przyjaciółkę.

– Nie mam – powiedziała powoli i zupełnie poważnie Anka, prostując plecy i już niemal naturalnie poprawiając sobie kapelusz. – Absolutnie nie mam. Ale tam, przy barze – Barbara natychmiast zwróciła lusterko we właściwą stronę, a Inga zerknęła we wskazanym kierunku, nie odwracając głowy – stoi ktoś, kto jak widzę, ma na sumieniu całkiem sporo żelastwa.

– O kurwa! – wymsknęło się Barbarze, gdy natrafiła swoim trzecim okiem na tego, którego widok tak przeraził Ankę.

Przy kontuarze stał niski otyły mężczyzna z wielkim obwisłym brzuchem, podwójnym podbródkiem i wąskimi jak szparki oczami. Mógł mieć

około pięćdziesięciu kilku lat; szpakowate włosy zaczesał do tyłu na żel, przez co w świetle żyrandoli błyszcząły jak psie cojones, a zakola układały linię włosów nad czołem w kształt logo znanej sieci fast foodów. Brzuch jęgomościa opinała jasna koszula z krótkimi rękawami – czyli jeden z tych gatunków ubrania, jakich Barbara nie wybaczała żadnym mężczyznom, uznając, że albo koszula z długimi rękawami, albo koszulka polo z krótkimi i żadnych kompromisów pośrodku. Poniżej, w miejscu, którego Baśka za żadne skarby nie chciałyby odkryć, zwisały beżowe szorty. Tuż pod kolanami rozpoczynały się wysokie białe tenisowe skarpety, do których facet dobrał niebieskie sportowe buty (co Barbara przyjęła z ulgą, bo obawiała się, bogini jej świadkiem, że się obawiała, odnotować u podstawy owego delikwenta sandały). Na szerokim nadgarstku błyskał tanim światłem złoty rolex. Mężczyzna tubalnym głosem zamawiał coś właśnie przy barze, a na jego ramieniu wisiała korpulentna czarnowłosa Karaibka.

– Kto to jest? – ponowiła pytanie Inga.

– To jest... – Anka nabrała powietrza. – Stary. Znaczący mój szef. Który przed chwilą wkurwiony jak nie wiem co dzwonił do mnie i mnie łajał. I groził dyscyplinarką, bo niby nawaliłam.

– A po co on do ciebie dzwonił, skoro jest na miejscu?

– Bo nie wiedział, że tu jestem... – Anka zacisnęła palce na brzegu stolika. – A on miał być na jakimś superważnym i supertajnym spotkaniu na szczycie. Tak przynajmniej wszystkim gadał. Zresztą, kiedy do mnie zadzwonił, też mówił, że musiał przerwać ważne spotkanie. Co za oszust!

– To może jest na spotkaniu? – zapytała naiwnie Inga.

– Może i jest, ale na pewno nie w tym miejscu, w którym miał być. Nie wspominał o Martynice, tylko o tym, że jedzie gdzieś w Polskę.

– No proszę! – Barbara mruknęła z zachwytem. – Ten twój szef to mi wygląda na małego, dosłownie i w przenośni, oszuścika i kombinatora. A przecież taką złą profesją się trudni. Czy wy tam przypadkiem nie ślubujecie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy?

– Prawdę to on swojej żonie ślubował, Mariolce, matce ich czwórki dzieci. I na pewno nie jest nią ta laska, która wisi mu u ramienia.

– Bałam się, że my się będziemy nudzić. – Barbara westchnęła. – A tu się zapowiada całkiem ciekawy czas.

– Dla kogo ciekawy, dla tego ciekawy. Co ja zrobię, jak on mnie zobaczy?

– Aneczka, przecież z ciebie taka dobra prokuratorka! – Barbara z dezaprobatą pokręciła głową. – Niech lepiej twój Stary się martwi, co ty zrobisz, kiedy go zobaczysz. Jak to mówiłaś przed chwilą? Że ci groził dyscyplinarką? Hmm... Jeśli ta Juanita jest tym, kim myślę, że jest... A tak wygląda, to... Bejbe! On cię nie wyleje, a jedyne, co robi, to da ci awans, żebyś nie powiedziała tym i owym, że widziałaś go na rozkosznym wypadzie na Martynikę.



Barbara zadała Ance kilka pytań, a kiedy ta odpowiadała, rzucała jedynie „ach tak”, „okeeej”, ewentualnie krótkie: „To nam się przyda” lub: „Do wykorzystania”. A potem szybko ułożyła w głowie plan i wyłuszczyła go dziewczynom.

– Dobrze, że jesteś po mojej stronie – mruknęła Anka. – Nigdy w życiu nie chciałabym mieć ciebie za przeciwniczkę.

Baśka rozpromieniła się i zanuciła Białą armię Bajmu, bo dokładnie taki waleczny nastrój jej teraz towarzyszył.

– Zobaczysz, Aneczka, wyjdzie prima sort. To znaczy dla ciebie, bo dla niego to tylko czarna dupa. Ale najważniejsze: on nie może ciebie zobaczyć, więc na razie wszędzie chodzisz w moich okularach i kapeluszu. Po pierwsze, dlatego że jesteś w nich nie do poznania. A po drugie, wyglądasz jak milion dolarów i...

Barbara nagle urwała, bo w przy fortepianie zrobiło się zamieszanie i przed pianistą stanęło trzech mężczyzn, zupełnie nie w typie Baśki. W typie Anki i Ingi również nie. To było trzech, delikatnie rzecz nazywając, doj-

rzałych panów przypominających rybki rozdymki z porządnej Pixarowej kreskówki, sadowiących się właśnie przy mikrofonach.

– Mówiłaś coś o tenorach? – zachichotała Inga, a Baśka zrobiła kwaśną minę. Zdecydowanie wolałaby chippendalesów.

Owych mężczyzn z tenorami, o jakich mogła myśleć Baśka, łączyła jedynie poważna poza, jaką przyjęli przed występem. Kiedy jednak, po krótkim entrée, jakie zrobiła im Marianka, zaczęli śpiewać, zbaraniała i z rozwartymi ustami (a zdarzało jej się to nader rzadko), wgapiła się w nich jak zahipnotyzowana. Bo ci trzej absolutnie niepozorni, a nawet niezachęcająco wyglądający mężczyźni śpiewali jak anioły. Gdyby Barbara nie widziała tego, czego nie da się odzobaczyć, i decydowała o głosach, który miałby uświetnić jej ślub, jubileusz lub nawet pogrzeb, bez wahania wybrałaby te trzy nieziemskie tenory.

Dziewczyny trwały w zachwycie, choć Anka, rozproszona osobą szefa i zerkaniem na niego ukradkiem zza szkieł wielkich okularów, w nieco mniejszym niż przyjaciółki.

Kiedy mężczyźni skończyli krótki występ i zapowiedzieli ciąg dalszy za godzinę, po sali poniosły się okrzyki zachwytu. Barbara klaskała na stojąco, a potem porwała ze stolika trzy kalie i nie patrząc na nikogo, podeszła do karaibskich śpiewaków, po czym wręczyła im kwiaty, odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem. Nie dotarła jednak do stolika dziewczyn, ale zatrzymała się przy stoliku szefa Anki (przyprawiając tym Ankę o palpitację serca) i nadal wgapiła się w trójcę. W pewnym momencie przysiadła na wolne krzesło, tuż obok Starego i naprzeciwko niekryjącej zdumienia Janity, i jak gdyby nigdy nic zaczęła zagadywać.

Anka prawie zeszła na zawał, a Inga przyglądała się temu wszystkiemu szeroko otwartymi oczami. Tymczasem Barbara rozmawiała ze Starym tak, jakby się znali od dawna, a on głupkowato chichotał, lampiąc się jednocześnie w jej dekolt i to nie tylko dlatego, że kusicielski rowek znajdował się akurat na wysokości jego wzroku. Barbara jednak miała taką minę, jakby zupełnie jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie.

– Co to było? – zapytała Anka, kiedy Baśka po dobrym kwadransie w końcu przybiła do właściwego stolika i opadła na krzesło z triumfującym wyrazem twarzy.

– Okoliczność sprzyjająca, którą zawsze, ale to zawsze staram się wykorzystywać. Dobrze wyszło?

– Nie. – Inga pokręciła głową. – W żadnym wypadku nie można tego nazwać w tak lakoniczny sposób. Nie było dobrze, było zajebiście, choć Ania o mało nie zeszła na udar.

Barbara uśmiechnęła się dumnie, a potem poklepała Anię po dłoni.

– Będzie pani zadowolona. I pani kariera też.



Następnego dnia Barbara obudziła się równo po ośmiu godzinach snu wypoczęta tak bardzo, że przez dłuższą chwilę po otwarciu oczu nie myślała kompletnie o niczym, a jedynie wpatrywała się z błogością w lekki jak tiul baldachim nad łóżkiem. Kilka minut później była już także usatysfakcjonowana, bo tak jak się tego spodziewała, przed wejściem do apartamentu pysznił się bowiem namacalny dowód na to, że jej plan działał – czyli schłodzony szampan. Bez bileciku, który i tak byłby zbędny, gdyż Barbara Kochańska dobrze wiedziała, kto jest nadawcą tego szlachetnego trunku.

– Wszystko układa się doskonale – skwitowała podczas śniadania, które ze względu na okoliczności jadły w apartamencie Ani.

– Ja bym nie była taka pewna. Nie znasz Starego. To przebiegły typ, raczej trudny do przechytrzenia.

Barbara uniosła brwi.

– Bejbe, to jest facet. I do tego mocno wadliwy facet. „F” jak fujara, „a” jak ameba, „c” jak cymbał... Mam kontynuować? Nie? No właśnie. A skoro to facet, musi być prosty w obsłudze.

– Ten taki nie jest.

Baśka wstała od stołu, wyszła z apartamentu, a po chwili wróciła z szampanem w dłoni.

– Nie? – zapytała ironicznie.

– Przyniósł ci szampana? – wydedukowała Inga.

– Na takiej stopie to my nie jesteśmy i nigdy nie będziemy. – Baśka wzdrygnęła się z lekkim obrzydzeniem. – Ale przysłał kogoś. Z doskonałym szampanem. No, w każdym razie butelka czekała pod drzwiami. Więc kto inny mógł to zrobić?

Postawiła moëta na stole.

– Wypijemy wieczorem, co wy na to?

– Jeśli dożyję – stwierdziła Anka. – Prawie w ogóle nie spałam ze stresu. I analizowałam całą sytuację. Jeśli ten twój plan nie wypali, będę miała problemy.

– A czy kiedykolwiek jakiś mój plan nie wypalił?

Anka wzruszyła ramionami.

– Znasz mnie nie od dzisiaj i wiesz, że akurat tego typu sprawy to moja specjalność – kontynuowała Barbara – więc musi wypalić co najmniej jak francuski pokaz Victoria's Secret, *Bohemian Rhapsody* Queenów czy seria o Harrym Potterze. Wszystkim wieszczono klapę i wszystkie okazały się strzałem w dziesiątkę.

Anka westchnęła, a Inga poklepała ją pocieszycielsko po ręce.

– Baśka ma rację – powiedziała. – O nic się nie martw i spróbuj tak ciągle o tym nie myśleć. Zrelaksuj się. To jest teraz twoje najważniejsze zadanie. Poczuć wakacyjnego vibe'a, nacieszyć się siostrą i dzieciakami, a jak ci się zachce, to na przebieraną imprezkę też się wybierzemy.

Baśka przytaknęła.

– Otóż to! Obie musicie odpocząć. A ja zajmę się pozostałymi sprawami. I to z lubością.



Pozostałymi sprawami, czyli szefem Anki, Barbara zamierzała się zająć błyskawicznie, nie przewidując żadnych przesunięć terminów w agendzie swojego urlopu. To miała być krótka i wyjątkowo skuteczna piłka. Już w południe Baśka namierzyła Starego w sali restauracyjnej, gdzie ponownie zjawił się z Juanitą, wpatrzoną w niego tak, jakby był samym Jamesem Bondem, a nie jego marną podróbą (i nieważne, od której strony by patrzeć). Na krześle mościł się zatem pół-Bond i udawał, że słucha Juanity, bo tak naprawdę, odkąd Barbara pojawiła się w sali, obwieszczając swą obecność uroczym szczebiotem w kierunku barmana, co chwila zerkał właśnie na nią. A ona grała swoją rolę. Nie potrzebowała żadnych scenicznych rekwizytów: uznała, że na ten prosty w obsłudze przypadek wystarczą jej długie nogi i perlisty śmiech.

– A więc znowu się spotykamy – zagadnął ją po dobrym kwadransie, kiedy powoli zaczynała się już trochę nudzić, bo niewiele wskazywało na to, że Stary ruszy swoje cztery litery z krzesła.

Przerwała rozmowę z barmanem i szeroko uśmiechnęła się do mężczyzny.

– A, to pan! – Wyciągnęła dłoń do pocałowania. – Myślałam, że pan rano wyjechał i stąd ten szampan. Pożegnalny.

– Pożegnalny? Nie. Zabawię tu jeszcze całe dwa dni – powiedział, choć nie musiał, bo Baśka wszystko już przecież wiedziała. Sprawdziła to u Marianki. – I... – Spojrzał jej głęboko w oczy. – I nie zamierzam marnować ani chwili.

Baśka kokieteryjnie wyswobodziła swoje długie palce z jego mocnego uścisku i gestem zachęciła go, by usiadł na hokerze. Mężczyzna odruchowo spojrzał na Juanitę, wykonał jakiś ruch, który tamta bez problemu zrozumiała, bo skinęła głową, wstała i wyszła z restauracji. Bolesław Rybak wspiął się nie bez trudu na hoker i zamówił drinka.

– Szczerze mówiąc, nie liczyłem na to, że tu, w dalekiej Martynice, spotkam swojego rodaka, to znaczy rodaczkę. I na dodatek tak porażająco urodziwą.

– I ja tego nie przewidziałam. Lubię język polski, ale liczyłam, że będę się posługiwała wyłącznie francuskim. Bo musi pan wiedzieć, że kocham każdy jego wymiar – odparła kusicielsko Baśka.

Mężczyzna na te słowa niemal się zakrztusił, upijając spory łyk postawionego przed nim drinka.

– A wie pan co? Ja tak w sumie nie znam pana imienia – skłamała gładko Barbara. – Wczoraj zamieniliśmy ledwo kilka powierzchownych uwag, a wie pan... Ja lubię sięgać ich głębi... Sedna – zaszemrała.

– Też o tym myślałem. Że to wielka niezręczność, rozumie pani, że się nie przedstawiłem, a jeszcze większa, że nie zapytałem pani o imię – zrelektował się Bolesław, gapiąc się na jej biust. – A wygląda pani na kobietę, która nosi interesujące imię.

– Interesujące, czyli jakie? Jakie dałby mi pan imię?

– Sandra? Roksana? Andżelika?

Baśka zamarła, sięgnęła po szampana i upiła łyk.

– Niestety, rozczaruję pana – odparła nonszalancko. – Nie nazywam się aż tak interesująco. Mam na imię Barbara.

– No to faktycznie – rzucił bez zastanowienia, a widząc nieco obrażoną minę Baśki, która w duchu rechotała, szybko dodał: – To znaczy, nie, nie o to mi chodziło. Barbara to bardzo dobre imię. Moja babka takie nosiła.

– Aha.

– Ono mi się bardzo dobrze kojarzy – pogrążał się coraz bardziej, a Barbara wiwatowała.

– Z pierogami i cieplutkim ciastem drożdżowym? – Do jej słów wdarła się odrobina kpiny.

– Ymm... Nooo... To znaczy...

Mężczyzna odstawił szklanekę z drinkiem.

– Cholera. Nie to chciałem powiedzieć. Przyznam szczerze, że ja w ogóle w te rozmówki damsko-męskie to nie jestem najlepszy. Barbara to dobre imię. Stanowcze imię. Takie z żarem. Tak samo jak Bolesław – oznajmił i wyciągnął rękę.

– To na „B” i to na „B” – skwitowała Baśka i się roześmiała.

– Dokładnie.

Po tym dość niezręcznym początku Bolesław Rybak nabrał jakby rezonu. I choć wysławiał się niezbyt potoczyście, raczej prostym, pozbawionym ozdobników językiem, niekiedy ubogacając go kwiecistym przekleństwem, to Barbara doszła do wniosku, że jego towarzystwo nie męczyło jej tak, jak przypuszczała, że będzie. Zwodzenie szefa Anki sprawiało jej bowiem najprawdziwszą frajdę i przyjemność.

– Serio? Podobało ci się? – Anka niedowierzała, gdy Baśka po niecałej godzinie powróciła do apartamentu i zdała przyjaciółkom relację. – Przecież to skończony cham i gbur, a do tego absolutnie nieapetyczny. Pozwala sobie na takie prywatne wycieczki, że wszystkim dziewczynom od nas zbiera się na wymioty.

– Może i tak, ale bez ściemy mówię, że nawet nieźle się bawiłam, a co najważniejsze, zarzuciłam haczyk. A raczej hak i Rybak złapał przynętę. Widzę się z nim dzisiaj po kolacji.

– Daj spokój, aż tak się nie musisz poświęcać. – Anka wstrząsnęła się obrzydzeniem, a Inga spojrzała na Baśkę przerażona.

– Bejbe, w TEN sposób nawet nie zamierzałam się poświęcać. Ale... Zrobię, co trzeba, i ta rybka się już z sieci nie wywinie.



Zanim nastał wieczór, który Barbara zaplanowała z najdrobniejszymi szczegółami, dziewczyny miały dla siebie całe popołudnie. Z wiadomych względów bezpieczeństwa spędziły go na oddalonej od hotelu plaży, bardzo ma-

lowniczej, choć nieco tłocznej, opalając się na wygodnych leżankach i kąpiąc w wyjątkowo spokojnym oceanie. Barbara, zachwycona asymetrycznym białym strojem kąpielowym w klimacie hollywoodzkim oraz pareo, które kupiła (o dziwo!) w hotelowym butik, paradowała brzegiem oceanu osłonięta swym równie nowym kapeluszem z gigantycznym rondem.

– Na tej plaży nie ma faceta, który by się za tobą nie obejrzał – stwierdziła Inga. – Serio, każdy, każdy jeden chociaż przez chwilę na ciebie patrzył.

– To bardzo dobrze o nich świadczy. Mają zdrowe odruchy.

– A potem zdrowy opieprz od swoich lasek – dodała Anka, rozbawiając tym Baškę.

– Nie wszyscy. Właściciel plażowej knajpki zaprosił nas na obiad. Żona mu kazała.

Inga z Anką jednocześnie spojrzały w stronę mieszczącej się nieopodal luksusowej restauracji, którą od zwodniczego działania promieni słonecznych chroniły malownicze wachlarze wykonane z gigantycznych palmowych gałęzi.

– Tamten szpakowaty gość w bermudach w kiczowate kaczki to właściciel tej restauracji?

– Tak. A jego żona właśnie do nas macha.

Rzeczywiście – przy jednym z mahoniowych stolików siedziała zjawiskowa dojrzała kobieta w krótkich włosach. Miała na sobie zwiewną suknię i popijała mojito. Anka i Inga zmrużyły oczy. Żona właściciela wydała im się dziwnie znajoma... Z daleka przypominała... Tak! Tinę Turner.

– Chodźcie, idziemy – zakomenderowała Baška. – To genialna knajpa z owocami morza. Sprawdziłam ją w Google'ach. Ma doskonałe oceny. Przed pracowitym wieczorem przyda mi się zastrzyk białeczka.

W restauracji o malowniczej nazwie The Sunset with Papaya ugoszczono dziewczyny po królewsku. Talerze grillowanych owoców morza, surowych i zapiekanych warzyw oraz papaja podana na trzy sposoby skutecznie podniosły ich morale, a Ance, którą dotąd wciąż ścigało widmo rychłego wy-

rzucenia z roboty, na chwilę udało się zapomnieć o grubawym upiorze zwanym Bolesławem Rybakiem, gdy na stół wjechał wielki dzbanek idealnie kwaśnego i jednocześnie idealnie słodkiego mojito.

– Mój mąż nie mógł się na panią napatrzeć – oznajmiła żona właściciela, podchodząc do ich stolika, gdy Barbara postanowiła zamówić jeszcze niewielki, naprawdę niewielki deser w postaci patery owoców. – A skoro mój Philippe, którego cenię za doskonały gust, uznał, że jest pani taka interesująca, chciałam panią poznać. I pani koleżanki również.

– Bardzo mi... Bardzo nam miło – odparła Baśka, którą odrobinę zaskoczyła otwartość właścicielki. Szybko się jednak zreflektowała, bo uwielbiała emanujące charyzmą kobiety. – Ma pani wspaniałą restaurację.

– Wiem. Wszyscy tak mówią. Zresztą i ja nie boję się tak o niej mówić. Bo w istocie jest wspaniała. Ale nie najważniejsza. Najważniejsze jesteśmy my. – Tamta wyciągnęła rękę. – Vivianne.

Po jedzeniu dziewczyny rozsiadły w szerokich wiklinowych fotelach, zanurzając stopy w piasku. Vivianne opowiadała o restauracji, która była jej oczkiem w głowie, o serwowanym jedzeniu i swoim o mężu. Z jej słów były taka szczerść i miłość, że Anka, Inga i Barbara słuchały jej z niekłamaną przyjemnością.

– Chciałabym zawsze móc gościć ludzi. – Vivianne w pewnym momencie westchnęła. – Ale cóż, sama chwile świetności mam już za sobą – stwierdziła pochmurnie, sunąc ręką po krótkich włosach.

Inga spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Chyba żartujesz, Vivianne. Wyglądasz świetnie, a jaką masz figurę!

Kobieta uśmiechnęła się kwaśno.

– Jesteście bardzo miłe, ale ja wiem swoje. No i mam lustro. Stuknęła mi już siedemdziesiątka, i to nie wczoraj. Zawsze byłam szczupłą, ale choć robię, co mogę, to już nie to samo. Tu coś zwisa, tam coś opada. Od ponad czterdziestu lat mam trzydzieści lat, ale tylko w głowie. Ciało wie swoje – dodała smutno, a Inga, Anka i Baśka jednocześnie pomyślały, że to niewyobrażalne, że tak zjawiskowa kobieta ma jakiegokolwiek kompleksy. – I po-

wiem wam, że dopóki nie patrzę w lustro – ciągnęła Vivianne – nie widzę tego całego cholerstwa, które składa się na starość, to jest dobrze. Ale wystarczy, że spojrzę, to aż się trzęsę z oburzenia. W zeszłym roku stłukłam trzy lustra. Ze złości.

– I dobrze! – Barbara podchwyciła tę myśl. – Z upływem lat lustro staje się oczami najwredniejszej koleżanki, która tylko czeka na jakąś naszą wpadkę, by potem opowiedzieć o niej światu.

– A może to my same tak na siebie patrzymy? – wtrąciła Inga. – I jesteśmy dla siebie zbyt surowe? Bez sensu siebie deprecjonujemy. A przecież to ciało nas nosi, pomaga nam funkcjonować... Powinniśmy spoglądać na nie bardziej łaskawie. No co, taka prawda! – wzruszyła ramionami, widząc uniesione brwi Baški. – Ja uważam, że niezależnie od liczby zmarszczek wokół oczu i fałdek na brzuchu możemy być zajebiste.

– I na dodatek zawsze takie będziemy – dopowiedziała Anka, która w stu procentach zgadzała się z podejściem Ingi. – Będziemy, bo mamy w oczach to coś, czego niejedna dwudziestka mieć nie będzie.

– A poza tym od czego jest dobro w postaci medycyny estetycznej, prawda? Gdyby to było złe, bogini inaczej by świat stworzyła.

– Otóż to!

Vivianne z satysfakcją uśmiechnęła się i wzniosła toast.

– Za kobiety, które nie ufają lustrom, lecz sobie!



Po jakimś czasie dziewczyny, same nie wiedząc kiedy, zaczęły opowiadać Vivianne o planie, jaki szykowały na Bolesława Rybaka. Kiedy Vivianne o nim usłyszała, tak bardzo się podekscytowała, że oprócz wytwornego obiadu, za który nie pozwoliła zapłacić, podarowała dziewczynom coś jeszcze: usługi swojego męża.

– Philippe jest okazjonalnym fotografem. To znaczy robi bardzo dużo zdjęć, ale tylko mnie... A wiecie, z jakim trudem przychodzi facetom zrobienie porządnego zdjęcia kobiecie, prawda? W pewnym momencie uznałam nawet, że to jakiś powszechny męski spisek. Ale nie! Odkąd poznaliśmy się osiem lat temu – z czułością spojrzała na męża, który wypoczywał na leżaku – Philippe robi mi najpiękniejsze zdjęcia.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale naprawdę poradzimy sobie same – powiedziała Ania. – Nie chcemy nikomu głowy zawracać moimi problemami z szefem. A już na pewno nie twojemu mężowi. Macie wystarczająco dużo pracy z restauracją.

– Restauracją zajmuje się menedżer – odparła Vivianne. – My tylko tu rezydujemy, bo po pierwsze, kochamy to miejsce, a po drugie, nie lubimy być sami. Uwielbiamy ludzi! A mój mąż z chęcią wam pomoże. Przecież to w szczytnym celu, prawda? Chodzi o twoją karierę, Anne, czyż nie?

– No tak...

– I o honor kobiet ciężko pracujących – dodała.

– Zdecydowanie tak – potwierdziła Baśka, bo wiedziała, że kto jak kto, ale Anka w pracy się zaharowywała.

– Prawda, ale...

– Żadnego „ale”. Z jakiegoś powodu opowiedziałyście mi tę historię. Nie ma przypadków. Jest tylko kobieca sprawiedliwość. Philippe, kochanie! – przywołała męża Vivianne.

Mężczyzna w bermudach w żółciutkie kaczuszki, które mogłyby być produktem flagowym dziecięcej konfekcji plażowej, uniósł okulary i spojrział w stronę dziewczyn.

– Podejdź do nas.

Vivianne objaśniła mężowi sprawę, a Philippe im dłużej słuchał, tym bardziej wydawał się podekscytowany. Gorliwie potakiwał, pomrukiwał z zachwytem, a gdy jego żona skończyła, powiedział:

– Kiedyś byłem jak ten twój szef: un misogyne. Robiłem karierę kosztem kobiet. Do czasu, aż moja ukochana rąbnęła mnie w łeb, dosłownie

i w przenośni.

Vivianne znacząco prychnęła.

– Wówczas zrozumiałem, że gdyby nie wy, kobiety, nie dalibyśmy rady ogarnąć tego całego pokręconego le monde. Jestem więc gotowy pomóc wam w rąbnięciu w łeb temu komuś. Dosłownie i w przenośni. Macie we mnie sprzymierzeńca.

Po tych słowach złapał dłoń żony i z dystynkcją ją ucałował. W tej samej chwili ich uszu dobiegł z głośnika głos Tiny Turner. Mężczyzna niewiele się zastanawiając, porwał żonę do tańca. Genialnego, energicznego i bardzo zmysłowego tańca w rytm Private Dancer, a Baśka, Anka i Inga wpatrywały się jak zahipnotyzowane w piaskowy pył, który krążył wokół ich stóp, myśląc o tym, że życie nie kończy się po siedemdziesiątce, lecz dopiero wówczas nabiera prawdziwego smaku.



– To piosenka, przy której się poznaliśmy – powiedziała Vivianne, kiedy nieco zdyszana, lecz uśmiechnięta wróciła do dziewczyn.

– I wybraliśmy ją na nasz pierwszy taniec na weselu – dodał jej mąż.

– Ja też ją uwielbiam – podchwyciła Anka. – Tina Turner to klasa sama w sobie.

– W Polsce mamy swoją Tinę Turner – odezwała się Barbara. – Nazywa się Beata Kozidrak.

Philippe zrobił zdumioną minę, po czym nieudolnie spróbował powtórzyć nazwisko.

– Mon chéri. – Vivianne poklepała męża po ręce. – Ja wiem, że ty masz zdolności językowe, ale pamiętaj, że z polskim nie wygrasz, a co najwyżej odstawisz kabaret. Całkiem udany, rzecz jasna.

– Z polskim to nawet ja mam problem, a zajmuję się nim zawodowo – stwierdziła Inga ze śmiechem. – Więc zupełnie się nie przejmuj, Philippe.

Rozdział 7

Na świecie istnieją trzy rzeczy, których naprawdę możemy być pewne: śmierć, podatki oraz to, że w siedemdziesięciu procentach retro kryminalów mordercą jest lokaj. Jednak mając w pamięci starą jak świat zasadę, że wkurzona kobieta jest w stanie jednym machnięciem rzes wywołać tsunami na drugim końcu globu, należałoby dodać do tej listy i rzecz czwartą: że trzy wkurzone kobiety plus dwie wkurzone kobiety i ewentualnie jeden lub dwaj pomocni faceci zawsze, ale to zawsze dopną swego. I tak, jest to równie pewne jak zgon, długie macki urzędu skarbowego oraz zabójczo niebezpieczny odźwierny.

Philippe miał jedną niezaprzeczną cechę – był z gruntu niepozorny. W swoich prześmiesznych bermudach w kaczki mógł wzbudzać co najwyżej rozbawienie, ale nikt, przenikt nie pomyślałby, że tak ubrany facet (choć bez dwóch zdań przystojny) może mieć w planach cokolwiek innego poza beztroskim byczeniem się od rana do nocy na martynikańskich plażach. Nawet tak podejrzliwy i doświadczony człowiek, jakim był Bolesław Rybak. Zasadniczo przełożony Anki nawet nie zanotował obecności Philippe’a, a fakt, że mąż Vivianne robił w jego obecności zdjęcia, nie dziwił go ani odrobinę. Philippe trząsał całe mnóstwo fotografii. I to całkiem dobrych, wyraźnych i niepozostawiających pola do nadinterpretacji fotografii. Fotki okazały się prima sort albo, jak by to powiedział sam Bolesław Rybak, ze szwungiem. Anka z kolei widziała w nich ekstremalnie mocne przesłanki.

Było bowiem wśród nich takie, na którym Rybak (po kilku kieliszkach prosecco, które wlała w niego Barbara) robił do Baški maślane oczy, szeptał

jej coś na ucho (a ona za każdym razem musiała zniżyć głowę w jego stronę), obcałowywał jej rękę od palców aż po łokieć (na więcej mu nie pozwoliła) czy dotykał kosmyków włosów (czego absolutnie nie cierpiała, ale dla dobra sprawy musiała zaakceptować).

Philippe dokładnie wiedział, jak zrobić zdjęcie, żeby sytuacja wyglądała na jeszcze bardziej intymną, niż w rzeczywistości była. Barbara zresztą pomagała mu w tym najlepiej, jak potrafiła, nachylając się w odpowiedni sposób, wydymając usta i prowokując Bolesława, by sięgał wzrokiem tam, gdzie żaden facet zwykle nie sięgał, chyba że za przyzwoleniem Baśki.

– No dobra, punkt pierwszy za nami – podsumowała następnego dnia, gdy spotkały się podczas obiadu u Vivianne. – Twój małżonek zrobił świetne zdjęcia. Stary cap jest doskonale widoczny, a ja kompletnie nie do rozpoznania! – Barbara cmoknęła z zachwytem.

– Tylko że zdjęcia, choć świetne, to trochę za mało – stwierdziła fachowo Anka.

Barbara pokiwała głową i sięgnęła po orzeźwiające mojito.

– Z łatwością mógłby się wywinąć, bo to przecież tylko rozmowa, tylko dotyk, tylko spojrzenie – kontynuowała Anka. – Wiecie, fotografowie potrafią robić tendencyjne zdjęcia, a Stary doskonale o tym wie.

– I dlatego musimy przejść do punktu drugiego.

– Czyli? – zainteresował się Philippe.

– Czyli – Baśka odstawiała szklanke – musisz się tak zakamuflować, żeby on cię nie wywąchał.

– Zrobi się.

– I żebyś nagrał tylko jego, nie mnie.

– Wiadomo.

– O to chodzi. I o ostrość. Musi być genialna.

– Barbra, Barbra, Barbra... – Philippe dumnie uniósł brodę. – Nie musisz mi tłumaczyć. Ja mam sprzęt żenial, więc nagranie też będzie żenial.

– Tylko pamiętaj, że na to twoje nagranie żenial mamy tylko jedną próbę, bo on wyjeżdża jutro.

– Czyli dzisiaj albo nigdy? – podsumował Philippe.

– Dokładnie.

– Skarbie – wtrąciła się Vivianne, która wraz z Ingą zanurzona w zdjęciach wyglądała, jakby wcale nie słuchała ich rozmowy. – Na mój gust to ty masz go w garści. W jego oczach płonie hektar upraw palmowych. On zrobi wszystko, czego tylko będziesz chciała.

– Może tak, może nie – odparła Barbara, wachlując się restauracyjnym menu. – Coś mi mówi, że nie będzie łatwo. On nie jest głupi. I nie traci kontroli nad sobą, nawet kiedy się napala.

– Uwierz mi, że jak zrobisz to, co masz w planie, chłop oszaleje.



Kiedy zadziwiająco wyluzowana Barbara, wyjątkowo zestresowana Anka i kompletnie rozkojarzona Inga wracały do Mariankowego resortu, nie przypuszczały, że wieczorny plan tak szybko ulegnie zmianie. A uległ tuż po przekroczeniu hali recepcyjnej hotelu.

– Kłaniam się nisko, drogie panie. – Naprzeciwko nich stał nie kto inny jak sam wielbny Arystoteles Apostolakis. – O czakry nie pytam, bo nie muszę, gdyż widzę, poznaję, interpretuję na bieżąco. I z zadowoleniem kiwam głową, bo u pani – zerknął na Barbarę – czakra serca jakby bardziej drożna... A przynajmniej zmierza to w dobrym kierunku, z którego...

Mężczyzna przez chwilę trajkotał o tym całym czary-mary, egesz-szmesz, jak złośliwie określała obszar jego zainteresowań Inga, aż Barbara nie wytrzymała. Stanowczo złapała go pod ramię.

– Szanowny wielbny – przerwała mu – o czakrach pogawędzimy sobie później. Teraz jest interes do zrobienia.

Arystoteles z zaciekawieniem uniósł brew.

– Z czakrą pewnego faceta, który na sto albo i dwieście procent ma wszystkie czakry nie w tym miejscu co trzeba. Czakry kaput, być może na

amen.

– A kim jest ten smutny, jak mniemam, mężczyzna? – wyraził pewne ubolewanie Arystoteles.

– Ten smutny mężczyzna – Barbara teatralnie się zaśmiała – jest gościem hotelowym i zdradza cały gatunek męski przez to, że zdradza gatunek żeński. I to w sposób absolutnie i bezapelacyjnie uwłaczający obu gatunkom jednocześnie.

Arystoteles pokiwał głową, waząc w myślach za i przeciw.

– Jak zatem mogę pomóc?



Kiedy Bóg tworzył Barbarę Kochańską, zapewne zapatrzył się na długonogą gepardzicę, bo na wzór tego zjawiskowego zwierzęcia wyposażył Baśkę w spryt, szybkość, zwinność i tak przydatną przebiegłość. A Baśka wiedziała, jak korzystać z tych darów. Co to, to tak!

Siedziała teraz w półcieniu pod niewielką palmą na tarasie restauracji i przyglądała się misternie wyreżyserowanej scenie z Arystotelesem Apostolakisem i Bolesławem Rybakiem w rolach głównych. Musiała przyznać, że co by nie mówić o wielebnym, aktorem był nie z tej ziemi.

– Przepraszam, że przeszkadzam panu w samotnym sączeniu drinka – zaczął niewinnie wielebny.

Rybak uniósł głowę i spojrzał na niego spode łba.

– Czekam na kogoś – burknął.

– Czekanie to rzecz ważna, zwłaszcza jeśli czeka się na kobietę, panie... – zawiesił głos, dając Bolesławowi szansę, by ten się przedstawił.

Rybak obrzucił Arystotelesa groźnym spojrzeniem, które w najłagodniejszym tłumaczeniu mówiło: „Nie chce mi się z tobą gadać”, ale wielebny, niezrażony jak zawsze, uśmiechnął się przesadnie ciepło i przedstawił:

– Arystoteles Termonides Nikolaos Apostolakis, ze strony matki Papadakis, ze strony babki Diamantis. Do usług.

– Niczego mi nie trzeba.

– A mnie się wydaje, że jednak trzeba. Bo czakra Mariolina cokolwiek zahamowana się zdaje.

– Mariola...? – zapytał z trudem Rybak, nerwowo poruszając się na hokerze. Na jego policzki wypłynęły dwa soczyste rumieńce.

Mariola kojarzyła mu się po pierwsze z imieniem żony, po drugie z imieniem matki żony i po trzecie z imieniem babki żony. W rodzinie jego małżonki po prostu królowały Mariolki. Swojej niezbyt urodziwej, ale bardzo opiekuńczej Mariolci ślubował trzydzieści lat temu. Zawdzięczał jej nie tylko dwóch synów, ale i posadę w prokuraturze, ogromną willę przy parku Sołackim oraz wakacje w Żółtych Piaskach w czasach, kiedy stać go było co najwyżej na urlop pod namiotem w Chałupach, i to z własnym prowiantem. Bolesław Rybak wzenił się w najbogatszą prawniczą rodzinę w Poznaniu i choć nie uczynił tego z miłości, wiedział, że zrobi wszystko, by to małżeństwo przetrwało.

– Nie Mariola, ale Mariolina – odparł łagodnym tonem wielebny. – Czakra Mariolina, szanowny panie.

– Co? Jaka znów cza... kra? Jaka Mariolina? – Bolesław z trudem wymówił ostatnie słowo, a Baśka w swojej kryjówce pod palmą niemal podskoczyła z zachwyty.

Rybak złapał się na haczyk.

– Widzę zaburzenia w wielu przestrzeniach, sferach, na wielu płaszczyznach, ale czakra Mariolina, nadrzędna wobec wszystkich pozostałych – Arystoteles Apostolakis kłamał jak z nut – aż pulsuje. Na fioletowo.

Rybak odchrząknął, zmierzył wielebny od stóp do głów i nagle zmienił front. Rozejrzał się niespokojnie dookoła.

– Pan zwariował – orzekł.

– Niezwykle pan uprzejmy. – Wielebny skłonił się, jakby usłyszał największy komplement. – Brak akceptacji jaźni, który był pan łaskaw określić

mianem wariactwa, to pierwszy etap dojrzewania aurowego.

Rybak podniósł się ze stołka i nachylił do Arystotelesa.

– Nie wiem, do czego pan zmierza, panie... – wydał wargi i rzucił ze złością: – Apollo, ale niech pan indaguje innych naiwnych. Ja się na takie bzdury nie łapię.

Arystoteles należał do ludzi, których nie tak łatwo obrazić, jednak Rybakowi udało się to w try miga. Czego jak czego, ale nieudolnej zamiany imienia, choćby i na imię greckiego boga, któremu przypisywano moc uzdrawiania, boga życia, śmierci i światła, nie wybaczał.

– A jeśli powiem panu – przybrał poważną minę – że czakra Mariolina roztacza za panem widmo niewierności – Rybak odruchowo się obejrzał – a kobieta, z którą jest pan na co dzień związany, bo obaj wiemy, że ta, z którą pan się smaży na martynikańskich plażach, nią nie jest, niekoniecznie będzie zadowolona z uciech, jakimi karmi pan swe ciało? Bo o duszy w pana przypadku trudno rozprawiać...

Rybak się zacietrzewił i spurpurowiał.

– Niech pan pilnuje swoich spraw!

Arystoteles skinął głową.

– Wszechświat sprzyja tym, którzy chcąc leczyć innych, zaczynają od siebie. Tak niejako również ja uczyniłem. I dlatego też uznałem, że należy pana przestrzec, uprzedzić, zapowiedzieć panu, że...

– Nie życzę sobie, żeby mi tu pan imputował! – wrzasnął Rybak.

Apostolakis uniósł ręce w obronnym geście.

– Jeśli jednak zmieni pan zdanie, proszę o mnie pytać w recepcji. O każdej porze. Ludzi małej wiary traktuję misyjnie i nie pobieram od nich wynagrodzenia...

To powiedziawszy, Arystoteles Apostolakis odwrócił się i wyszedł, łapiąc po drodze kontakt wzrokowy z Barbarą, która skinieniem głowy podziękowała mu za mistrzowskie odegranie swojej roli.



Barbara, w zwiewnej sukni w kolorze oceanicznej głębi, zmierzała w stronę stolika, przy którym siedział szef Anki. Bolesław, gdy tylko ją dostrzegł, nie spuszczał z niej żarliwego wzroku, a ona, najlepiej jak potrafiła, żarliwość tę rozpaliała zalotnym ruchem bioder i odrzucaniem włosów z ramienia.

– Spóźniłaś się, Barbaro – powiedział oschle Rybak, gdy stanęła przy jego stoliku.

– A gdzie twoje maniery, Bolesławie? – rzuciła przeciągłym tonem. – To tak witasz damę?

Rybak znieruchomiał, a z jego ust wydobyło się niezrozumiałe:

– Yyy...

– No właśnie. – Na twarzy Baśki rozkwitła satysfakcja. – Nie wiedziałeś, że prawdziwa dama spóźnia się zawsze, kiedy tylko może? – Z nonszalanckością zwilżyła usta, po czym obdarzyła skurczonego od poczucia winy Rybaka tryumfującym spojrzeniem.

Popatrzyła wymownie na krzesło, ale Bolesław nie zreflektował się, więc sama je sobie odsunęła i usiadła.

– O czym rozmawiałeś z wielbnym Apostolakisem? Zrobił na tobie nie-małe wrażenie, prawda?

Rybak wykonał ruch ręką, jakby chciał powiedzieć, że Arystoteles jest niespełna rozumu.

– Nie rozmawiajmy o tym szaleńcu.

– A o czym ty byś, Bolesławie, chciał rozmawiać?

– Ja? Najlepiej o niczym... – zaczął ze średnio zgrabną nonszalanckością Rybak, lecz widząc tężejące niezadowoleniem oblicze Barbary, zmienił kierunek i znacznie łagodniej dodał: – To znaczy o przyjemnościach, różnych przyjemnościach. No na przykład tych, które serwuje nam hotel.

– Doskonale, Bolesławie – ucieszyła się Barbara. – Doskonale. Bo wiesz, tak się składa, że ja chciałam porozmawiać o tym samym. Jako kobieta w pełni korzystająca ze wszystkich przyjemności życia, zorientowałam się, że nasz hotel oferuje wynajem helikoptera do przelotu nad okolicą. – Rybak pobladł, a Barbara kontynuowała marsz po tym labiryncie niepewności i zmieszania: – Wyobraź sobie bezkres oceanu, samotne wyspy na horyzoncie, pluskające delfiny, zachód słońca i nas na pokładzie popijających szampana. Byłabym zachwycona!

– Wyobrażam sobie – mruknął niewyraźnie.

– To może polecimy przed naszym wieczorkiem, żeby się dobrze do niego nastroić?

– Z wielką przyjemnością, Barbaro, ale znając życie, takie rzeczy wymagają wcześniejszych ustaleń, rezerwacji jakichś... Na pewno nie da się tego tak od ręki załatwić!

– I tu cię, mój drogi, zaskoczę – Baśka zaśmiała się perliście – bo ja, wiedząc, że będziesz pragnął tego, co ja, wszystko już załatwiłam. Potrzebna jest tylko drobnostka – zawiesiła głos – twoja karta kredytowa i jeden podpisik. Ale to nie problem, prawda?

Barbara była blondynką, fakt, ale do stereotypu było jej daleko. Może na zewnątrz wyglądała na głupiutką, ale tylko wtedy, kiedy tego chciała. W jej umyśle wszystko działało jak w najlepszym szwajcarskim zegarku. Było zaplanowane, przemyślane, rozrysowane. I to od linijki i kątomierza.

Wyciągnęła rękę i powiodła za sobą Rybaka, szepcząc mu po drodze obietnice, których za nic w świecie nie planowała spełniać.



Po godzinie z niewielkim okładem była już z powrotem na ziemi i opowiadała swoim przyjaciółkom oraz Marianne o czterdziestu pięciu minutach spędzonych w powietrzu.

– Było bosko, wspaniale, wykwitnie i powiem wam, że jakby luksusowo. Anka spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Podróż helikopterem w towarzystwie Rybaka brzmi jak scenariusz na mój najgorszy koszmar – stwierdziła.

Baśka machnęła ręką.

– Ja się bawiłam świetnie. Bo szanowny pan Rybak podczas całego lotu miał mdłości. Oczy zamknięte i papierowa torebka w pogotowiu. Wymęczył się piekielnie, a kiedy wysiadł, poleciał do toalety. Na długo. W każdym razie postanowiłam na niego nie czekać.

– Dobrze mu tak – skwitowała Inga. – Bóg bywa nierychliwy, ale za to cholernie sprawiedliwy.

– Bejbe... – Baśka zerknęła na zegarek – tak naprawdę dopiero za dwie godzinki okaże się, jak bardzo jest sprawiedliwy.

– A jak się nie uda? Jak coś pójdzie nie tak? – W Ance po raz kolejny uruchomił się defetystyczny duch.

Marianka objęła siostrę.

– Jeśli cię ten stary cap jednak wypieprzy z roboty, to zostaniesz u mnie i coś się wymyśli – powiedziała pokrzepiająco. – Pracy tu jest w bród.

– Ale ja nie chcę tracić swojej roboty. – Anka nagle skurczyła się w sobie i pobladła, zdając sobie sprawę, że wszystko, co najtrudniejsze, dopiero przed nią.

– Wiem, że kochasz pracę w prokuraturze...

Anka uniosła ponury wzrok na Mariankę.

– ...nie powiedział nigdy żaden prokurator – mruknęła z sarkazmem. – Nie chodzi o to, że ją Kocham. Ja po prostu nie wyobrażam sobie siebie nigdzie indziej! I nie chciałabym zamieniać tej roboty na żadną inną.

– I nie zamienisz – zapewniła ją Inga. – Sama się przekonasz. Najwyżej jeszcze bardziej będziesz z niej zadowolona. Pokaż Baśce ten dokument.

Anka podała przyjaciółce teczkę. Barbara otworzyła ją, przeczytała i pokiwiała głową.

– Dobrze brzmi.

– Też tak myślę – stwierdziła Inga. – Wszystkim nam się podoba. Ja uważam, że można to było jeszcze podkreślić, ale Ania się upiera, żeby zostawić tak, jak jest.

– Bolesław i tak skona. Jeśli nie wcześniej, to przy tym świstku już na pewno.



Barbara już zmierzała w stronę apartamentu Rybaka (wyperfumowana i ubrana w naprawione louboutiny oraz żelazną ołówkową sukienkę, bo nadal czekała na swoją walizkę, a w hotelowym butiku niczego bardziej seksownego od jej podróżnej sukienki niestety nie mieli), kiedy wpadł do niej posłaniec z jej zagubionym bagażem.

– W końcu! – ucieszyła się i wróciła do środka.

Od razu jednak coś jej nie pasowało. Walizka była zbyt lekka. Barbara obejrzała ją ze wszystkich stron i znieruchomiała. To nie była jej walizka! Na znaczku firmowym Delseya znajdowała się tandetna i na dodatek sfatygowana naklejka z logotypem Star Wars, a eleganckie skórzane elementy były w kilku miejscach ponadrywane. Barbara Kochańska spurpurowiała. Latała po całym świecie, i to nierzadko. Kilka razy straciła bagaż, ale zawsze go odzyskiwała. Za każdym razem JEJ walizka trafiała z powrotem w JEJ ręce. Po raz pierwszy miało być inaczej.

Przekląła na głos, a potem nagle w jej głowie pojawiła się nieoczekiwana myśl. Przecież w środku na pewno znajduje się jakiś namiar na właściciela i może dzięki temu w końcu uda jej się odzyskać swoją własność! Jednym ruchem wrzuciła bagaż na komodę, po czym usiłowała rozpiąć zamek. Na próżno – był zakodowany. Zwyczajna Barbara w takiej sytuacji mogłaby się poddać, jednak Barbara Kochańska rzadko to robiła. Kombinacja czterech cyfr dawała niemałe możliwości, ale z jednego z podcastów zapamiętała, że do zakodowania walizek podróżnych ludzie najczęściej używają kombinacji

czterech jedynek. Spróbowała i... usłyszała charakterystyczny klik. Uniosła wieko i zajrzała do środka. A potem wybuchła najszczerzym śmiechem.



W apartamencie Bolesława Rybaka pachniało olejkiem różanym, świeżą pościelą i truskawkami.

– Planujesz długi wieczór, jak widzę?

– Intensywny.

– To całkiem jak ja.

Barbara rozsiadła się na wygodnej sofie i przez chwilę patrzyła przez wielkie drzwi tarasowe w stronę fal rozbijających się o brzeg, podążając wzrokiem za dziewczyną, która biegła po piasku, i z zazdrością przyznała w duchu, że tamta miała wspaniale wyrzeźbione pośladki.

– Myślałam, że tylko ja mam zabójczo wspaniały widok z pokoju, ale widzę, że u ciebie też nie najgorzej.

– Dla mnie widok nie ma aż takiego znaczenia. Czy las, czy morze, czy góry... Bez różnicy. Byle w barku nie brakowało procentów, a na kanapie pięknej kobiety. He, he, he – zaśmiał się oblesnie.

Barbara w duchu jęknęła.

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Rybak wstał i podszedł do stolika, na którym dumnie prezentowała się butelka moëta.

– To miłe. Doceniam, że pamiętałeś – zaszemrała Barbara. – Ja dla ciebie też mam coś niezwykłego. A tak w sumie to nawet kilka niezwykłych rzeczy.

– Nie mogę się doczekać – odparł Bolesław obrzydliwie zalotnym w jego mniemaniu tonem.

„To się jeszcze okaże” – rzuciła w myślach Baśka, uśmiechając się słodko.

– Ale najpierw chodźmy do baru. Mam ochotę coś przekąsić.

Bolesław Rybak się skrzywił. Nie taki miał pomysł na ten wieczór, ale cóż – Barbara wyglądała tak obłądnie, że nawet gdyby przyszło mu pocze-kać z konsumpcją, na którą szczerze liczył, postanowił, że wytrwa.

– Ależ oczywiście, zapraszam. – Wskazał ręką drzwi.



Po krótkim *tête-à-tête*, dwóch przystawkach z owocami morza i wysłucha-niu kilku piosenek Tiny Turner, granych i śpiewanych na żywo przez uro-czą Karaibkę (to ostatnie stanowiło zdecydowanie najprzyjemniejszą część prologu), Baśka uznała, że czas kończyć tę nierówną grę. Kiedy tylko otrzymała od Ingi sygnał, że w apartamencie Rybaka wszystko gotowe, za-pytała retorycznie:

– To jak, wracamy? Ognista sypialnia czy spokojny salon?

Rybak przekrzywił głowę i uniósł brew. Chciał wyglądać zalotnie, ale wypadł komicznie. W normalnych okolicznościach Baśka wybuchłaby śmiechem, ale to nie były normalne okoliczności, a ona musiała jeszcze chwilę wytrzymać towarzystwo tego oślizgłego typu.

– Lubię ogień – powiedział tylko, a Baśka wzdrygnęła się w duchu, choć przecież taką odpowiedź przewidziała.

– Chodźmy zatem – odparła.

Gdy znaleźli się w apartamencie Bolesława, pociągnęła go do sypialni.

– Rozbierz się i połóż na łóżku – zakomenderowała. – Za chwilę do cie-bie przyjdę. Z niespodzianką.

I przyszła. Ubrana w nowiusieńki obcisły lateksowy strój... który znalaz-ła jeszcze nierozpakowany w nieszczęsnej walizce Star Wars (do której włożyła potem dwukrotność sumy, jaka widniała na metce – w ramach re-kompensaty, nie chcąc, by właściciel okazał się stratny). Dzięki niemu prze-dzierzgnęła się teraz w księżniczkę Leię w kostiumie koloru ciepłego złota. Twarz ukryła pod seksowną maską, a w dłoni dzierżyła pejcza.

Gołego Rybaka zatkało. Barbarę zresztą też, bo pozbawiony ubrania mężczyzna, z brzuchem, na który wyjątkowo silnie oddziaływała grawitacja, przywodził jej na myśl Jabbę Hutta z Gwiezdných Wojen, wielgachnego galaretowatego stwora. Znieruchomiła, ale tylko na sekundę, bo zaraz potem znów weszła w swoją rolę. Przybrała wyzywającą pozę i zmusiła się do kilku sprośnych słów, które zadziałały na Rybaka jak akcelerator. Mężczyzna niby chciał coś powiedzieć, niby chciał się odezwać, ale nie był w stanie. Odezwała się za to zgoła inna część jego ciała, na co Barbarę zła-pał odruch wymiotny, który zdążyła ukryć, odwracając niby tajemniczo twarz w kierunku kotary.

Bolesław Rybak wiele w życiu widział, wiele potrafił przewidzieć, ale takiego stroju ani nigdy nie widział, ani nie przewidział, że zobaczy.

– Mówiłam, że przygotowałam dla ciebie niespodziankę – oznajmiła Barbara nie swoim głosem, bo widok tego, czego oglądać nigdy nie pragnęła, podziałał na nią, nomen omen, usztywniająco. – Widzę, że jesteś pod wrażeniem.

Mężczyzna przełknął ślinę, a potem niczym uczeń skinął głową. Barbara świsnęła pejczem, a Bolesław z pomrukiem (wyrażającym niepojęty zachwyt, rzecz jasna) wciągnął powietrze.

Tonem nieznośnym sprzeciwu Baśka wydała mu kilka ostrych poleceń i po chwili przełożony Anki siedział u szczytu łóżka, a Barbara przywiązywała mu ręce do szczebelków wezgłowia, co rusz świszcząc w powietrzu pejczem.

Kątem oka Barbara upewniła się, że nie zasłania widoku nagrywającemu wszystko zza kotary Philippe'owi. Włączyła też wszystkie światła, by na nagraniu nie było wątpliwości, kim jest główny aktor. I jaka jest jego krągła, obrzydliwa tożsamość.

– Wolałbym, żeby było ciemniej – jęknął Rybak.

– Milcz! – Barbara świsnęła pejczem. – Będzie tak, jak ja chcę! – oświadczyła, a potem dodała kilka soczystych przekleństw, co wywołało w nim jeszcze większy zachwyt.

Dla własnej przyjemności Barbara nigdy nie pozwoliłaby się zamknąć w sypialni z takim typem jak Bolesław Rybak, nigdy nie spędziłaby z nim nawet kwadransa, ale tu cel był wyższy i bez dwóch zdań słuszny. Tu chodziło o przyszłość i szczęście jej przyjaciółki, a dla Baśki przyjaźń liczyła się najbardziej. Poza tym cała ta maskarada powoli zmierzała ku końcowi i ta myśl dodawała Barbarze skrzydeł.

– Możemy zaczynać! – oznajmiła z satysfakcją.

Bolesław Rybak, ten sam Bolesław Rybak, który trząśł poznańską prokuraturą, który za czasów największej aktywności zawodowej nazywany był Rekinem (choć przez swą wątpliwą moralność nie pretendował nawet do miana płotki), nie przewidział, że ta jakże ekscytująca gra wstępna jest owszem – grą – lecz taką, która nie doprowadzi go do żadnej rozkoszy, a wręcz przeciwnie, stanie się przyczynkiem jego największego koszmaru. Rozgrzany do czerwoności, nie zauważył, kiedy zza kotary wyłoniła się jego podwładna, ta sama, którą dwa dni wcześniej zbeształ, a potem straszyl dyscyplinarką. Dopiero kiedy stanęła tuż obok łóżka, a Barbara oraz niedostrzeżony w emocjach przez Rybaka Philippe rozpląnęli się w powietrzu niczym kamfora, zreflektował się. Zaczął nieudolnie szarpać rękami i wyrywać je z więzów, przeklinając przy tym sążnięcie.

– Co ty tu... – zawołał w końcu, zdyszany i spocony.

– Ja? – zdziwiła się uprzejmie Anka. – Co pan tu robi? Przywiązany do łóżka i w towarzystwie pięknej damy, która w niczym nie przypomina pana równie pięknej żony Marioli. Czy nie powiedział pan małżonce, tak jak i wszystkim ludziom z prokuratury, że jedzie pan na supertajne spotkanie na szczycie? – Uśmiechnęła się szeroko, starając się nie kierować spojrzenia w miejsce, którego widoku już do końca życia nie udałoby jej się zapomnieć. – Czy to tak wygląda ten pana szczyt, panie Rybak? Szczyt kłamstwa? Oszustwa? I obłudy?

– Nie twoja sprawa, Krauze – warknął Stary.

– A tak się składa, że trochę moja, szefie. – Anka z obrzydzeniem wypuściła z siebie to ostatnie słowo. – Bo rozumie pan, z chwilą, w której zagro-

ził mi pan wyrzuceniem z pracy z powodu co najmniej wątpliwego, a śmiem twierdzić, że fałszywego, pana szczyt jest też moim szczytem.

– Wylecisz za to!

– Ja? Panie Bolesławie... Sprawdziłam w kadrach – ciągnęła spokojnie, choć wewnątrz cała dygotała. – Zgłosił pan wyjazd służbowy do Dziwnowa. Kadrowa wygadała się, że tajne spotkanie odbywa się w jednostce wojskowej. – Anka rozejrzała się teatralnie. – A ten pięciogwiazdkowy kurort nie wygląda mi na jednostkę wojskową, szefie.

Mężczyzna się zagotował, a Anka przeszła do kolejnego punktu, dla niej najgorszego z całego planu. Spojrzała w stronę krocza Rybaka, ale tak, by jednak nie zobaczyć tego, czego na miliard procent nie miała zamiaru zobaczyć. Z dezaprobatą pokręciła głową.

– Pana strój też mi nie wygląda na zbyt oficjalny. A pani Mariola taka z troskana była. Kiedy do niej dzwoniłam, martwiła się, czy przypadkiem nie za mało koszul panu dała. Gdyby tylko wiedziała, że pan nawet gaci nie będzie nosił...

– Czego chcesz?

– No! I w końcu przemówił pan ludzkim głosem. Niewiele chcę za milczenie. Za to, by w robocie ani słowem nie zdradzić tej całej historii o szwindlu, by nie wyznać pana żonie, teściowi i co najważniejsze, mściwej teściowej, bo oboje wiemy, że to ona trzęsie całą rodziną i trzyma rękę na pańskim majątku... Wróć! Na majątku pana żony, z którego pan ciągnie, ile wlezie. Przebywając w ośrodku wojskowym w Dziwnowie... – Potoczyła dookoła wzrokiem.

– Do sedna, Krauze!

– Trochę grzeczniej, szefie, dobrze? – Anka rzuciła mu pełne politowania spojrzenie. – Bo zmienię zdanie i zamiast milczenia wybiorę krzyk, a w sieci pojawi się pewien filmik z jedną seksowną, ale nieletnią księżniczką Leią i jej wiernym poddanym.

– Jaką, kurwa, nieletnią?!

– A taką! Mam zeznanie księżniczki Lei – uśmiechnęła się w duchu. – Clementine Cognac, bo tak naprawdę nazywa się ta dziewczyna z filmu, nie skończyła nawet siedemnastu lat i jest tutejszą pokojówką, którą zmusił pan do innych czynności seksualnych. Nieładnie, panie Rybak, nieładnie.

– To kłamstwo! Cholerne kłamstwo.

Anka wzruszyła ramionami.

– Tak samo jak to, że nie dopilnowałam złożenia wniosku o przedłużenie aresztu dla Terleckiego. Wszystko zrobiłam zgodnie z przepisami. I oboje o tym wiemy. Jestem obowiązkowa jak nikt.

– I jak nikt wkurwiająca.

– Ooo! Z tej strony mnie pan jeszcze nie poznał, ale proszę dać mi chwilę.

Anka sięgnęła po teczkę, która leżała na kredensie, wyjęła z niej kilka kartek i machnęła nimi swojemu przełożonemu przed nosem.

– Bardzo dziękuję za tę nobilitację w postaci przeniesienia do wydziału śledztw oraz za wysoką nagrodę pieniężną za sprawę Habera. I prywatny ekspres. Do kawy – mówiła, kiedy on czytał.

– Co?! – Wściekły uniósł wzrok.

– Tak. Przyznam, że i ja byłam tym zaskoczona, ale cieszę się, że w końcu docenił pan moje starania. Jeszcze tylko pana podpis.

Rozwiązała mu prawą rękę i podała długopis.

– Niczego nie podpiszę, Krauze! Nie zasługujesz na to... – wskazał głową na papiery – ...na to wszystko.

– Przede wszystkim nie zasługuję na chamskie traktowanie ani seksistowskie odzywki. Na przeniesienie i nagrodę jak najbardziej. Czekam na podpis.

Rybak spurpurowiał, rzucił długopisem, rozwiązał drugą rękę i pośpiesznie zaczął się ubierać.

– Coś ty sobie myślała, ty durna zdziro Krauze? Że możesz mnie do czegośkolwiek zmusić? Że ulegnę twoim manipulacjom? Nigdy, kurwa, w ży-

ciu! Nigdy! Podtrzymuję to, co powiedziałem przez telefon! Wylecisz dyscyplinarnie, a nawet więcej: już wyleciałaś! Możesz szykować kartony!

Rybak gadał, gadał i gadał, a Anka zrozumiała, że musi przejść do finałowego punktu planu Baśki. Włączyła telewizor, wyszukała coś w telefonie i na ekranie pojawiło się nagranie z Bolesławem Rybakiem oraz księżniczką Leią vel Clementine Cognac, vel Barbarą Kochańską w rolach głównych.

Wystarczyła chwila. Gdy Rybak zobaczył siebie przywiązanego do łóżka, w rozkraczonej pozycji i z kobietą, która miała ciało nastolatki i temperament płonącej pochodni, natychmiast zmienił front. Wyszarpnął z ręki Anki dokument, podniósł długopis i złożył zamaszysty podpis.

– Oryginał nagrań! – zażądał, wyciągając władczo rękę, choć Anka zauważyła, że drżą mu palce.

– E-e... – Pokręciła głową. – To nie te czasy, szefie. Jest pan w chmurze i w niej pan pozostanie. Musi mi pan zaufać, że nic z tym nie zrobię. Ani dziś, ani nigdy.

Bolesław spiorunował ją spojrzeniem, zaciskając szczęki, a Anka poczuła, że po raz pierwszy wygrała konfrontację Krauze–Rybak, i to walkowerem. Po jej ciele rozlało się błogie ciepło.

– Nie ma za co – powiedziała na koniec, doprowadzając tym swojego przełożonego do jeszcze większej wściekłości.

Na jego wysokim czole pojawiła się pulsująca żyłka.

– I proszę pozdrowić żonę – dodała Anka. – Bardzo troskliwa z niej kobieta.

Rozdział 8

Kiedy po trudach wyprawy do amazońskiej dżungli wojowniczką powraca do swojej wioski, pozostałe wojowniczki przygotowują dla niej powitalną fiestę, by uczcić jej odwagę, mądrość i opanowanie. Rozpalają ognisko, gromadzą się wokół ognia i do późnej nocy odczyniają złe uroki, spożywają dary natury oraz obmywają strudzone ciała w ożywczych kąpielach w balii. To czas, kiedy mogą dokonać podsumowań; gdy snują refleksje nad swoją wewnętrzną kobiecą mocą i proszą boginię o łaskawość na dalsze dni.

Czytała Krystyna Czubówna.

Po wyjeździe Bolesława Rybaka Anka, Inga i Barbara odetchnęły. A Marianka razem z nimi.

– Teraz to należy się wam porządny relaks w naszym spa – oznajmiła. – Wszystko przygotowałam i rozłożyłam na trzy dni, żebyście nabrały sił i do Wigilii całkowicie oraz nieodwracalnie zapomniały o tym fatalnym elemencie męskiego gatunku. Na dziś macie karaibski masaż i okłady z czekolady, na jutro seans w jacuzzi, a pojutrze kąpiele w specjalnych komorach parowych.

Anka uścisnęła siostrę.

– Jesteś boska!

– Boskie to wy będziecie, jak już wam te wszystkie dobroci zaaplikują. Tylko mam do was jedną prośbę – odrobinę ściszyła głos. – Poopowiadajcie

potem tym paniom z ósmego stolika to i owo o dobroczynnym działaniu tych wszystkich zabiegów.

Dziewczyny zerknęły dyskretnie we wskazanym kierunku i zobaczyły szóstkę zadbanych siedemdziesięciolatek, które z nieco znudzonymi minami popijały martini i skanowały horyzont niczym wytrawny monitoring osiedlowy.

– Są bardzo oporne w korzystaniu z naszych zabiegów – wyjaśniła Marianka.

Barbara pokiwała głową.

– Ale to okłady to z niskokalorycznej czekolady?

– Zero procent cukru.

– A masuje Armando, prawda?

– I jego dwóch kuzynów.

– Doskonale.

Barbara wstała.

– Nie lubię czekać – rzuciła cicho do dziewczyn, które spojrzały na nią zdziwione, po czym udała się do stolika senierek.

Marianka wgapiła się w nią nieco przerażona. Anka poklepała siostrę po ramieniu.

– Nie martw się. Baśka wie, co robi. O, zobacz – skinęła głową w stronę stolika, gdzie kobiety właśnie podejmowały Baškę kieliszkiem martini.

– Jak ona to robi? – zapytała Marianka.

– Jest mistrzynią odgadywania, czego ludzie chcą. Każdego potrafi rozszyfrować w kilka sekund – wyjaśniła Anka.

– Zatrudniłabym ją.

– Sorry, siostrzyczko. Nie stać cię.

– Ale ty też masz tego skilla – powiedziała Inga z uśmiechem. – Cudownie nam u ciebie! A będzie tylko lepiej.



Następnego dnia, kiedy dziewczyny zmierzały w stronę intymnie ulokowanego jacuzzi w kształcie dorodnej fasoli, kobiety ze stolika ósmego właśnie wychodziły ze spa. Baśka w swoim ukochanym zjawiskowym pareo (nie-szczęсна angorkowa walizka poprzedniego wieczoru wreszcie trafiła do rąk stęsknionej właścicielki) pomachała im energicznie i podeszła, by się przywitać. Najpierw obdarzyła kobiety słodkim komplementem, po czym rozchyliła poły pareo i ukazała swoją szczupłą łydkę.

– Przyznaję, to głównie zasługa genów, ale też takich speców jak Armando. Po dziesięciu godzinach w szpilkach nie dałabym rady chodzić i miałabym spuchnięte kostki. – Westchnęła teatralnie. – Warto, moje drogie panie. Po stokroć warto. Po serii masażu będziecie się czuły jak boginie. Niedorzecznie młode boginie.

Starsze panie się roześmiały, a Inga i Anka, które obserwowały to wszystko z rozbawieniem, ale i podziwem, musiały przyznać, że Baśka jest warta każdych pieniędzy. Nie wiedziały jeszcze, że ich przyjaciółka zdążyła już przekonać seniorki do wykupienia nie tylko serii karaibskich masażu, ale i okładów z czekolady, morskich alg i śluzu ślimaka... I że Marianka na wieść o tym prawie pięknie ze szczęścia.



Siedziały we trzy w ogromnym i wygodnym jacuzzi, posadowionym na niewielkim wzniesieniu pośród palm. Z tego miejsca roztaczał się rajski widok na ogród różany, aleje wysadzone palmami, soczyście zieloniutkie trawniki, piasek, którego biel niemal oślepiała, i ocean tak turkusowy, jakby malował go sam Vermeer.

– A myślałam, że jacuzzi przy naszych willach to szczyt rozpusty – westchnęła leniwie Anka. – Powiem wam jednak, że ludzie, którzy wymyślili teorię, że rozmiar nie ma znaczenia, kłamali. To cudo jest niepodważalnie zajebiste!

– Mrrr! – Baśka odchyliła głowę i wydała z siebie pomruk kocicy. – Tego potrzebowałam. Dokładnie tego.

– Relaksu? – zapytała Inga.

– Luksusu, bejbe. Luksusu.

Baśka nie kokietowała. Rzeczywiście pomyślała o luksusie. I to nie po raz pierwszy tego dnia. Tuż po przebudzeniu, kiedy otworzyła oczy i poczuła miękkość pościeli, przeciągnęła się, po czym przycisnęła jeden ma-
lutki, maluteńki guzik w łóżku, uruchamiający całą willę i dający znak, że oto ona, Barbara Kochańska, była gotowa, by zacząć dzień. Rolety w oknach się podnosiły, ekspres do kawy włączał, a z głośniczków rozbrzmiewała playlista z ulubionymi przebojami. Barbara wiedziała, że przed drzwiami będzie na nią czekał koszyk ze świeżymi owocami, na tarasie mata do jogi i pięknie pachnący ręczniczek, a na stoliku przy komplecie wypoczynkowym karteczka z życzeniami „Dobrego dnia”. Kiedy sobie to wszystko uzmysłowiła, dotarło do niej, że ten wyjazd, ten nieoczekiwany, a nawet niedoceniany przez nią wyjazd jest jednocześnie najbardziej luksusowym w jej życiu.

„O taki luksus walczyłaś” – pomyślała niemal z automatu, a potem nagle przypomniała sobie czasy, kiedy ten zwrot stanowił jej hymn, był dla niej jak mantra, powtarzana w sytuacjach, gdy pokonywała kolejne stopnie drabiny społecznej.

Zapatrzona w leniwie przesuającą się na horyzoncie łódkę, pomyślała teraz o tym, że kiedyś nie miałyby nawet odwagi, by marzyć o takim luksusie, bo kiedyś taki luksus nie mieścił jej się w wypełnionej zbyt trudnymi jak na jej wiek sprawami głowie. Kiedyś luksusem były kakao i chleb z mortadela. Nowe, niepoczerowane rajtuzy w prążki. Sukienka z paczki, którą nosiłaby jako pierwsza, a nie po piątej „siostrze”. Wakacje w pensjonacie, a nie z wymiany w innym „domu”. Kiedy wchodziła w dorosłość,

dostała się na studia. I to było pierwsze świadome doświadczenie luksusu. Drugie było wtedy, gdy przeprowadziła się do Poznania i obiecała sobie wówczas, przysięgła nawet, że zrobi wszystko, by stać ją było na nową sukienkę, buty dobrej marki i wakacje w hotelu. I zrobiła.

Z zamyślenia wyrwał ją turkot wózka z margaritą, jaki ciągnęła w ich stronę kelnerka, niziutka i drobna, nawet jak na Karaibkę. Gdy znalazła się przy jacuzzi, skinęła głową do dziewczyn (ale bez przesadnego uniżenia, co po raz kolejny z satysfakcją odnotowała Baśka) i zaczęła przygotowywać drinki. Nie odzywała się, pracowała w skupieniu. I robiła to tak wybornie, że dziewczyny przyglądały się jej wprawnym ruchom, rozmawiając przyciszonymi głosami. W końcu podała im napoje, a one podziękowały.

– Żakuzi gut? – zapytała przedziwnym żabim tonem.

Baśce w pierwszej chwili przez głowę przemknęła odpowiedź: „Żakuzi weri gut. Margarita gut tu”. Na zewnątrz jednak zachowała powagę. Uśmiechnęła się do kelnerki.

– *Very good, thank you so much!* – przemówiła szczerze absolutnie serdecznym tonem.

Kobieta się rozpromieniła, pokiwała głową i pchając wózek, oddaliła się od dziewczyn.

Barbara pociągnęła niewielki łyk drinka.

– O mój Boże. To chyba najlepsze, co tu piłam! – Zerknęła z uznaniem za kelnerką. – Jak tylko ta pani tu wróci, dostanie solidny napiwek.

Uniosła pękaty kieliszek z margaritą.

– Za luksus, moje drogie. Wznieśmy toast za luksus.

Sączyły niespiesznie, rozkoszując się rozmową. Aż w pewnym momencie temat zszedł na Starego.

– Dajcie spokój, dziewczyny – Anka się skrzywiła – ja już chciałabym zapomnieć o tym wszystkim, co się wydarzyło i co zobaczyłam na własne oczy.

– Przecież mówiłaś, że niczego nie widziałaś – zaoponowała Baśka.

– Niestety! – Anka westchnęła. – Wydawało mi się, że nie widziałam, a jednak widziałam, tylko że to wyparłam. A potem mi się to jeszcze przyśniło i moja wyobraźnia wyostrzyła ten obraz. I w ten sposób przed moimi oczami wciąż i wciąż pojawiają się mikroogóreczek i dwa fistaszki.

Baśka i Inga wybuchnęły śmiechem, a Anka pomyślała, że gdyby nie one, gdyby nie jej przyjaciółki, nie siedziałyby teraz w jacuzzi, tylko beczała gdzieś w kącie nad swoim losem albo gorzej, leciała z powrotem do Polski. Na pewno nie miałyby przed sobą perspektywy rozwoju ani przeniesienia do lepszego wydziału, jakie zapewnili jej Baśka i wszyscy, którzy wzięli udział w realizacji zasadzki na Bolesława Rybaka. Spojrzała z wdzięcznością na przyjaciółki, które teraz chichotały, wymieniając co bardziej kąśliwe uwagi na temat Bolesława Rybaka i jego wątpliwej męskości.

– Dziewczyny, wypijmy za przyjaźń! – Dolała do kieliszków margarity. – Bez niej nie byłabym tu na takim luzie, a kto wie, gdzie i czy w ogóle bym była.

Dziewczyny w coraz lepszych nastrojach sęczyły bąbelki. Rozprawiały właśnie o wyższości spożywania czekolady nad masażem z jej użyciem, gdy ich uszu dobiegły jakieś latynoskie rytmy. Po chwili na tarasie poniżej pojawiła się para. On – wysoki blondyn w rozpiętej białej lnianej koszuli, ona – szatynka z włosami związanymi w koński ogon i niższa od niego o głowę, wtulała się w jego pierś. Tańczyli. Ale jak! Jak w transie... Inga patrzyła na nich zahipnotyzowana i jednocześnie trochę zawstydzona, jakby podglądała ich najbardziej intymne momenty. Oni tymczasem orbitowali powoli wokół siebie w sensualnym wirze, w splocie pełnym miłości i zrozumienia. Ukradkowe spojrzenia, muskanie szyi opuszkami palców, dotyk rąk, rozwiane włosy. Inga czegoś takiego jeszcze nie widziała – tak idealnego dopasowania w czystej improwizacji. Poczwała, jak w jej ciele przelewa się fala gorąca, niemająca nic wspólnego z upałami czy z wodą w jacuzzi. Ta fala wynikała z jej myśli, które goniły teraz w jednym kierunku – w kierunku Jakuba. Zapragnęła takiego tańca, zapragnęła takiej bliskości i dopasowania, i to właśnie z nim. Jeszcze nigdy dotąd nie odważył się tak bardzo do niej zbliżyć, choć ona nie miałyby nic przeciwko.

Chyba go... kochała.

Uśmiechnęła się w duchu do siebie, a potem uniosła kieliszek.

– Ja też chcę wznieść toast. Za miłość!

– Za luksus, za przyjaźń, za miłość! – powtórzyła Baśka. – Stać nas. Bez dwóch zdań, stać nas.

Rozdział 9

Jednym z czynników niewątpliwie poprawiających jakość życia jest śmiech. A nawet nie jednym, a sto osiemdziesięcioma czynnikami – bo podobno właśnie tyle rodzajów śmiechu istnieje. Śmiech może działać jak tarcza ochronna przeciwko stresowi, bo stymuluje wydzielanie się hormonów szczęścia, na przykład endorfin, i redukuje hormon stresu, czyli kortyzol. Może być wyrazem radości, poczucia bezpieczeństwa i zdrowej beztroski. A współdzielony z drugim człowiekiem staje się pomostem nawet pomiędzy pozornie odległymi od siebie ludźmi. Bardzo odległymi ludźmi.

– Wiecie? Odkąd tu jestem, każdego dnia wstaję i już jestem zmęczona. Myślałam, że te wszystkie zabiegi od Marianki mnie, no nie wiem, jakoś naprawią. A przede wszystkim pozwolą zapomnieć o Starym. Tylko, kurwa, coś nie wyszło. A dziś to już mam prawdziwy kryzys. Kryzys dnia trzeciego, piątego i siódmego razem wziętych, bo czuję się ewidentnie kontuzjowana tymi wszystkimi wydarzeniami z ostatnich dni – oświadczyła Anka, dopijając słodki sok z pomarańczy i kokosa, a Inga mruknęła potakująco. – Mam nadzieję, że do końca naszych wakacji będzie nas spotykać już wyłącznie dobro. – Uniosła wysoką szklanę, ze smutkiem spoglądając na resztki napoju. – Jeszcze raz to samo poproszę – zwróciła się do barmana, na co ten skinął głową.

Baśka pomachała smukłą stopą i zsunęła z niej kłapek, po czym zanurzyła palce w ciepłym białym piasku. Siedziały właśnie na plaży, przy okrągłym barze, za którym uwijali się kelnerzy.

– Ja też liczyłam na spa, nudę i opalanko. W każdym razie na zupełnie inny rodzaj atrakcji – westchnęła Inga, mieszając kolorową papierową słomką w swoim soku. – Ale cieszymy się, że już nigdzie się nie natkniemy na tego obrzydliwego dziada i że już nie musimy się martwić, że cię wyleje.

Anka skinęła głową i się uśmiechnęła. Tak – to rzeczywiście było pocieszające i napawało optymizmem.

– Tylko wiecie co...? – ciągnęła Inga. – Jego żony mi żal. Bo biedaczka najwyraźniej żyje w jakiejś dziwnej ułudzie. – Poczowała gwałtowne ukłucie w sercu, gdyż nagle przypomniała sobie siebie i Adama. Oraz ułudę, w jakiej sama tkwiła przez tyle lat.

Baśka wzruszyła ramionami.

– Może żyje, a może i nie żyje. A co, jeśli akurat dobrze wie, co ten jej mąż wyrabia, tylko nie chce jej się z tym boksować? Może postanowiła, że dopóki Stary nie każe jej Bóg wie czego i jest w miarę dyskretny, to nie będzie szukała sprawiedliwości? Ma dzieci na oku, zajmuje się rodzicami, udziela charytatywnie. Starego rzadko ogląda... Głównie to co niedziela w kościele. Więc może to jest jej świadomy wybór?

Anka pokiwała głową.

– Niby tak. Tylko co to za życie? Całe małżeństwo z fałszywym bigotem, który cię robi, jak chce? Żeby jeszcze jakieś solidne dobra wnosił do związku. A co on takiego wnosi? Ani wyglądu, ani obycia, ani kasy. Ciekawe, czy mają wspólne konto, z którego on sobie czerpie, kiedy chce, niczym jelonek u wodopoju... – Natknęła się na uniesione brwi Barbary. – Tak, wiem to już z własnego doświadczenia z Damiankiem, że każda z osób w związku powinna mieć swoje konto.

– No ten cwaniaczek to na pewno ma kilka takich własnych kont – sarknęła Inga w przypływie wzburzenia. – I zapewne jeszcze lokaty bankowe w rajach podatkowych.

Potrząsnęła głową.

– Zresztą nieważne, nie psujmy już sobie nim dnia! Poza tym muszę lecieć. – Spojrzała na zegarek, po czym z ociąganiem zsunęła się z hokera. –

Obiecałam pomóc Mariance z wypisaniem winietek na dzisiejszą uroczystą kolację. Wyobrażacie sobie, że za chwilę będziemy już siadać do Wigilii?

Wysupłała z torebki pieniądze na napiwek, położyła na barze i pozostawwszy niedopity sok, oddaliła się w kierunku sali restauracyjnej.

A ta wyglądała genialnie. Tak, to słowo jako pierwsze nasunęło się Indze na myśl. „Marianka przeszła samą siebie” – westchnęła z zachwytem Inga.

Przez środek sali restauracyjnej biegł długi stół z lokalnego drzewa gommier (a raczej dwa długie stoły) przykryty śnieżnobiałym obrusem w koronkowy rąbek, wzdłuż którego stały jadalniane krzesła opasane białymi wstęgami i przyozdobione stroiczkami z sosnowych gałązek, szyszek oraz biało-złoty bombek (skąd Marianka wytrzasnęła gałązki i szyszki, o to już nikt nie pytał – miała swoje sposoby i tego należało się trzymać). Na stole leżały stroiki z jemioly i ostrokrzewu (ukłon w kierunku amerykańskiej tradycji), a pod obrusem w jednym miejscu sianko (na specjalne życzenie pewnej bogobojnej właścicielki niewielkiej polskiej księgarenki, która co rok przyjeżdżała na Martynikę z mężem Stanleyem, czyli z polska po prostu Staśkiem). W niewysokich srebrnych kandelabrach pyszniły się długie bielusieńkie świece. Na gigantycznej choince nieco z boku sali błyszczwały kryształowe sopolki lodu różnej wielkości, a czubek zdobiła srebrna gwiazda. Tuż obok stał lśniący i dostojny czarny fortepian – uroczystą kolację miała uświetniać muzyka na żywo z różnych części świata. Inga na widok instrumentu kolejny raz westchnęła głośno i z zachwytem.

– No co tam, kochana? – Marianka w locie zatrzymała się gwałtownie obok niej. – Nie tylko ty jesteś pod jego wrażeniem. – Spojrzała na fortepian. – Po kolacji planujemy wspólnie pośpiewać. Są nawet śpiewniczki z tekstami w trzech językach! Gdybyś słyszała, jak Francuzi zabawnie wymawiają „Przybieżeli do Betlejem”, już zawsze chciałabyś śpiewać w ten sposób.

Inga się roześmiała i przesunęła palcem po brzegu czarnego skrzydła. Wzięła od Marianki puste winietki i zabrała się do kaligrafowania, a gdy skończyła, podeszła do stołu i zaczęła ustawiać je na środku głębokich porcelanowych talerzy, zgodnie z rozrysem od Marianki, który wyglądał jak

analiza taktyki piłkarskiej sporządzona przez króla markerów, Jacka Gmocha.

Zmarszczyła brwi, usiłując rozeznąć się w tym, kto gdzie siedzi, i po chwili uśmiechnęła się szeroko, widząc, że Marianka ulokowała ją, Ankę i Baškę naprzeciwko Vivianne i Philippe'a. Arystoteles Apostolakis na szczęście znajdował się w bezpiecznej odległości od nich.

Marianka, lawirując między krzesłami i poprawiając rozłożenie srebrnych sztuczków, rzuciła okiem na winietki.

– O mój Boże! – Aż przystanęła. – Przecież to jest przepiękne!!! I takie... eteryczne... – Wzięła do ręki kartonik, na którym oprócz starannie wykaliografowanego imienia gościa widniała malusieńka akwarelka przedstawiająca gałązkę choinkową z bombką i kokardką. – Inga! Koniecznie musimy u ciebie zamówić więcej takich drobiazgów! A może coś do nowego katalogu? I na stronę? Co ty na to?

Inga zmarszczyła brwi, rumieniąc się gwałtownie.

– Właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad malowaniem na zamówienie, ale czemu nie? Możemy spróbować.

Marianka ruszyła dalej, pobrzękując koszyczkiem ze sztuczkami.

– Koniecznie spróbujmy! Z takim talentem jak twój to zbrodnia się chować. Anka mówiła, że już zrobiłaś sobie stronę. Na pewno zajrzę, ale wybacz, jeszcze nie miałam chwili. – Rzuciła Indze przepaszające spojrzenie. – Ale, dziewczyno! Nie bądź taka skromna – dodała, widząc wypieki na jej policzkach. – Jak się sama nie pochwalisz, to możesz się sporo naczekać. A życie jest za krótkie na czekanie, mam rację?

– Absolutnie, moja droga, absolutnie! – W drzwiach restauracji zmateriałizował się Arystoteles Apostolakis. – Oczywiście jeśli mowa o ostatnim zdaniu, bo tylko ono dotarło do moich uszu.

Podszedł do stołu i krągłymi paluszkami pochwycił jedną z winietek. Przez chwilę stał, wpatrując się w nią w zadumie i lekko kiwając głową, po czym odłożył na miejsce i spojrzął na Inge.

– Może jednak nie tak źle z tą aurą u pani – rzekł powoli. – Natchnień artystycznych u osób sceptycznych wobec spraw duchowych nigdy nie wiadać. A tu wyraźnie one są, istnieją, funkcjonują. Natchnienia, się znaczy.

Inga bąknęła ciche „dziękuję”, po czym spojrzała błagalnie na Mariankę, a ta, jakby czytając w jej myślach, pochwyciła Arystotelesa pod ramię i zaprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia, ratując Inge przed konfrontacją z natchnionym wielebnym i jego kolejnymi pseudonatchnionymi i kiczowatymi – bo tak o nich właśnie myślała – pogadankami.

Inga dokończyła rozkładać winietki i wymknęła się tylnym wyjściem.

Postanowiła pójść nad ocean. Usiadła na gorącym piasku, w ustronnym miejscu, i uświadomiła sobie, że odkąd tu przyjechała, ani razu nie była nad wodą sama. Zawsze z dziewczynami. Nie żeby narzekała, kochała je tak, jak kocha się siostry, ale samotność też lubiła. Przez długi czas to samotność przecież była jej siostrą.

Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w szum fal, subtelny i kojący. Relaksujący i karmiący jej coraz zdrowszą duszę. Nie docierały do niej żadne kurortowe hałasy. Piski ani głosy turystów, dźwięki muzyki, turkot oblatujących wyspę samolotów. Była sama, tu i teraz. Odpychała myśli, które i owszem, pojawiały się nieproszone, lecz starała się skupić na oddechu, miękkości piasku, doświadczaniu chwili. Absolutny mindfulness... I pewnie kontemplowałyby tę rajską sielankę jeszcze jakiś czas, gdyby nie coś, co nieoczekiwanie usiadło na jej ramieniu. Powoli otworzyła oczy, bojąc się poruszyć. Wszystko w niej zamarło.

Zrobiła zeza, by poznać tożsamość tego... czegoś.

To było ciężkie, miało kolorowe pióra i ostry dziób i chyba uznało jej ramię za wyjątkowo atrakcyjny konar, bo najspokojniej w świecie obłapiło je pazurami. Gdyby to był kanarek, jakaś mała popierdółka w kolorze wypłowiałego herbatnika, Inga pewnie strąciłaby go z ramienia i w okamgnieniu zapomniała o tym incydencie. Ale nie. Jej nie spotykały zwykłe rzeczy. Na jej ramieniu siedział bowiem ptak gigant (i chyba był to jakiś gatunek papugi, choć akurat w dziedzinie ornitologii Inga nie czuła się mocna), który wyglądał tak, jakby przed chwilą skonsumował dwa tuziny kanarków.

Inga siedziała jak sparaliżowana. Nie ruszyła się, nie przekrzywiła głowy, nie wydała z siebie żadnego dźwięku, na moment nawet wstrzymała oddech.

„O mój Boże” – kątem oka zobaczyła wielgaśny dziób i jeszcze bardziej się usztywniła. „Niech ktoś go spłoszy... Odleć, no, odleć!”

W promieniu kilkudziesięciu metrów nie było jednak nikogo, kto mógłby ją wybawić z opresji. Była tu sama, samiusieńska z ptaszyskiem, które przerażało ją coraz bardziej, również dlatego, że w wyobraźni nachalnie zaczęły jej się wyświetlać kadry z Ptaków Hitchcocka. Przełknęła ślinę, starając się uspokoić oddech, lecz nie zdołała, bo nagle poczuła, jak ten przerażający kolorowy kolos... sfajdał się na jej plecy.

Wtedy wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Wtedy Inga nagle powróciła do żywych. Nic już jej nie usztywniało ani nie paraliżowało, wręcz przeciwnie. Zerwała się na równe nogi i rzuciła się w stronę hotelu, nie oglądając się za siebie. Biegając, myślała tylko o tym, by to coś, co chwilę temu nazwała w myślach Godzillą ze skrzydłami, nie pofrunęło za nią. Odwróciła się, dopiero gdy znalazła się na równiutkiej hotelowej alejce. Pochyliła się i oparła ręce o kolana, oddychając ciężko.

Nagle zza jej pleców dobiegł głęboki rechot. Wyprostowała się i z trudem łapiąc powietrze, zobaczyła coś, czego w drugiej kolejności po ptaku gigancie nie miała ochoty oglądać: rozbawioną twarz wielebego. Choć „rozbawiona” była określeniem nawet w odrobinie nieoddającym właściwego stanu rzeczy. Wielebny bowiem rżał ze śmiechu.

– Doprawdy... – nie mógł się opanować, ocierając wierzchem dłoni łzy. – Prze... Przepraszam najmocniej, ale... – Zrobił gest, który miał oznaczać, że coś, co wprowadziło go w tak histeryczny stan, znajduje się na jej plecach.

Inga zgromiła Apostolakisa wzrokiem. Wkurzał ją, kiedy był poważny, ale teraz, gdy się z niej naśmiewał, doprowadzał ją na skraj. Granicę. Antypody cierpliwości. Szlag!

– Ale to... To... Ta kupa... Na plecach. Gigantyczna jest! I... – Ponownie buchnął śmiechem. – I zasadniczo nie powinno się, nie wypada, nie należy, ale... Kształt tej kupy... – Prawie się zakrztusił. Przesłonił sobie dłonią usta,

próbując się powstrzymać od parsknięcia. – Nie wiem, co za bydlę panią tak urządziło, ale musiało być gigantyczne, bo fallus na pani plecach też jest niczego sobie.

Arystoteles rżał i rżał, a robił to tak komicznie, że Inga, choć absolutnie nie zamierzała, sama w końcu zaczęła się śmiać, najpierw cicho, a po chwili już na cały głos. Stali tak oboje naprzeciwko siebie i wyli ze śmiechu.

– No! Teraz to ja w końcu panią widzę! – powiedział Arystoteles, kiedy się nieco uspokoił. – Aurę pani widzę. I to całkiem wyraźnie. Nawet trochę bieli się pojawia, a to bardzo dobry znak, zwiastun, symptom! Sygnalizuje, że dążymy do równowagi i oświecenia. Do relacji nawiązywania. Zdrowej, dobrej relacji! Każdego dnia kilka minut śmiechu zalecam i sprzątanko wszystkich zakamarków duszy odhaczone.

Inga, którą po tej sesji śmiechu cudownie rozbolały policzki, oszczędnie skinęła głową, bo przecież za nic w świecie nie przyznałaby racji wielebnemu. Sama przed sobą musiała jednak przyznać, że ten śmiech ogromnie jej pomógł. Śmiech i... okład z ptasiego gówienia. Zdecydowała, że to pierwsze (i tylko to!) musi praktykować jeszcze częściej. Najlepiej z dziewczynami. I z Jakubem.



Po powrocie do apartamentu Inga ostrożnie zdjęła sukienkę, żeby nie wybrudzić włosów tym czymś, co nadal znajdowało się na jej plecach. Zerknęła na pozostałość po latającej Godzilli i z pewnym skrepowaniem uznała, że Arystoteles Apostolakis wcale a wcale nie żartował. Na jej sukience dumnie bowiem prężył się okazałych rozmiarów organ będący jedną z męskich zewnętrznych cech płciowych. Inga zachichotała, a potem szybko wrzuciła sukienkę do kosza na brudy i poszła wziąć prysznic.

Kiedy zrelaksowana i czysta wyszła z łazienki, poczuła gwałtowną tęsknotę za Jakubem. Zerknęła na zegarek. Zbliżała się czternasta czasu martynikańskiego, więc wczesny wieczór czasu poznańskiego. Ubrała sukienkę,

którą przygotowała na Wigilię – jasną, w drobne jasnozielone liście – nałożyła lekki makijaż, a potem przysiadła na łóżku i otworzyła laptopa.

Kiedy Jakub nie odebrał za pierwszym razem, w odruchu chciała zganić siebie za to, że tak się wystroiła – dla niego, bo przecież nie dla siebie ani dla wigilijnych gości. Już miała pójść do łazienki, by zetrzeć błyszczący i róż, gdy zobaczyła nadchodzące połączenie. Dzwonił Kuba. Inga z wrażenia przez chwilę zatrzymała palec tuż nad klawiaturą, aż wreszcie się otrząsnęła i zdecydowanym ruchem nacisnęła zieloną słuchawkę.

Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz mężczyzny, który od kilku miesięcy uczył ją malarstwa, miał oczy w kolorze burzowego nieba i cholernie, ale to cholernie jej się podobał. I ona jemu chyba też, co wносиła po mikrogestach i tym, jak wymawiał jej imię oraz gapił się na jej usta, ale jak dotąd żadne z nich jakoś tak nie zrobiło kroku ku zacieśnieniu tej relacji w kierunku bardziej romantycznym. Owszem, były muśnięcia dłoni o dłoń, głębsze spojrzenia, dłuższe spojrzenia, intensywniejsze spojrzenia, ale ileż, na boginię, można się na siebie gapić albo wysyłać sobie muzykę przed snem?! Być może Inga zrobiłaby pierwszy krok, gdyby nie to, że w swoich ustawieniach fabrycznych miała zakodowane, że to mężczyzna powinien go wykonać. Więc czekała. Choć sama już nie wiedziała, czy jest na co.

Przy lewym oku Kuby pojawiła się charakterystyczna zmarszczka.

– Cześć, urlopowiczko! Prześlicznie wyglądasz – odezwał się pogodnie. – Masz chwilkę na oddech? – zapytał z czułością, a gdy przytaknęła, mówił dalej: – Tu od wczoraj dzieje się jakieś totalne szaleństwo, w kuchni trwają właśnie ostatnie pokolacyjne szlify, siostra szykuje ciasta i zaraz będziemy z dziećmi rozpakowywać prezenty... Szkoda, że cię z nami nie ma... Przydałaby się twoja delikatna ręka do... detali – dodał już zupełnie miękko, a Inga pomyślała, że dla takich słów opłaca się jeszcze trochę poczekać. – A wy? Macie tam jakąś choinkę?

Inga ponownie potaknęła.

– Myślę, że nawet gdyby nie było tu żadnej Polonii ani w ogóle nikogo, Marianka kazałaby Lutkowi przywlec nie wiadomo skąd jakieś kłująco-pachnące drzewko – powiedziała ze śmiechem. – Stół jest już prawie go-

towy, z kuchni dolatują obłędne zapachy, jest fortepian i tylko... – Zająknęła się, bo na końcu języka miała już wyznanie, że nie ma tu tylko jednego, najważniejszego elementu tych świąt; najważniejszego dla niej. – I tylko nie wiem, czy wyjdzie ten makowiec z przepisu mojej babci – dodała wymyślone na poczekaniu zdanie.

Kuba uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Makowiec! Ale taka rolada czy...? – zawiesił głos. – No wiesz, taki płaski, na blaszce?

– Rolada. I dużo ciasta, i kruszonki. Bez rodzynek!

Jakub przyłożył dłoń do serca, udając, że mu ulżyło.

– Naprawdę chciałbym, żebyśmy mogli zobaczyć się na żywo w te święta – dodał już nieco ciszej. – Bo wiesz, Inga...

Czekała z zapartym tchem, aż dokończy, ale nagle na Jakuba rzuciła się z dzikim wrzaskiem rozczochrana sześciolatka. Mężczyzna rzucił Indze przepaszające spojrzenie, a ona poczuła, jak po raz kolejny zapada się w sobie.

– Chyba muszę już iść. – Jakub westchnął, strząsając z siebie chichoczącą dziewczynkę. – Ta szalona łajbka pod pierniczkowymi żaglami może sobie dziś nie poradzić bez najważniejszego majtka. – Połaskotał siostrzenicę i popatrzył już całkiem poważnie na Ingę. – Prześlicznie wyglądasz – dodał raz jeszcze. – Zdzwoniemy się później, dobrze? Na przykład jutro?

– Jutro będzie futro! – zawołała triumfująco dziewczynka i uciekła, a Kuba zamiast wrócić do urwanego wątku, do tego, co chciał wyznać Indze, złożył jej tylko świąteczne życzenia.

Kiedy się rozłączyli, klapnęła w fotelu ze smutną miną, myśląc o tym, że chyba nigdy nie doczeka się przeniesienia ich związku na wyższy poziom.



Baśka zjawiała się w apartamencie czterdzieści minut przed planowym rozpoczęciem kolacji, by dokonać absolutnie niezbędnych przetasowań w ubraniach i dobrać najbardziej elegancki outfit. Zdecydowała się na długie białe lniane spodnie, biały koronkowy top i lekką białą marynarkę. Uznawszy, że nie ma co przesadzać z dodatkami, dobrała delikatny złoty łańcuszek typu żmijka i złote sandały na niewielkich obcasach. Po szybkim prysznicu i nałożeniu złotego cienia na powieki stwierdziła, że drugi raz od przyjazdu wytuszuje rzęsy. Wcześniej zrobiła to tylko tuż przed pójściem na plażę, które zakończyło się dramatycznie, bo tusz okazał się zupełnie niewodoodporny mimo śmiałych zapewnień producenta, że owszem, jest, i to na dwieście procent. Teraz jednak stwierdziła, że kąpać przecież będzie się dopiero wieczorem, a wzruszać się ani płakać podczas wigilii nie zamierzała. Jak zresztą nigdy. Albo prawie nigdy.

Rzuciła okiem na godzinę w telefonie – miała jeszcze dość czasu, żeby zadzwonić do Rząsin, do swojej ukochanej Zosi.

Odkąd niczym córka marnotrawna powróciła do niej dziełem przypadku i po wielu latach, utrzymywały ze sobą stały kontakt, zarówno telefoniczny, jak i bezpośredni. Barbara mniej więcej co dwa tygodnie wsiadała do swojego wygodnego mercedesa i śmigała z Poznania ku dolnośląskiej krainie, a jej bujną pierś wypełniały radość i upragniona ulga oraz muzyka Bajmu i Beaty podkrecona na cały regulator.

– Drobinko moja! – W telefonie rozległ się głos Zosi. – Tak się cieszę, że dzwonicz! Choć gdybyś nie zadzwoniła, też bym się cieszyła, bo to by oznaczało, że wspaniale spędzasz czas z Anią i Ingusią, a może nie tylko z nimi... – Zachichotała. – Piękne zdjęcia nam przysłałaś, nie mogliśmy się z Olgierdzikiem napatrzeć. Ty wiesz, jak on ubóstwia tę moją wnusie... Nic, tylko Kornelka i Kornelka... Ale na koniec powiedział, że wy też ładne... No ale opowiadaj! Co u ciebie?

Baśka pokrótce zrelacjonowała wydarzenia ostatnich dni, a Zośka zaśmiewała się, chrząkała aprobująco i pokasływała, zaciągając się papierosem, bo w międzyczasie postanowiła sobie zapalić śmierdziela, jak czule nazywała jądro swego nałogu towarzyszącego jej od wczesnych lat sześć-

dziesiątych. Kiedy jednak zaniosła się gwałtownym atakiem kaszlu, który nie brzmiał ani odrobinę dobrze i zdrowo, Baśka przerwała opowieść o złym bikini i zamruczała oburzona.

– Zosiu! – podniosła głos, choć wcale tego nie chciała.

Jej myśli zdominował nagły strach o zdrowie opiekunki, powierniczki i drugiej matki, kobiety, która ją wychowała i wprowadziła w dorosły świat. Gdyby nie Zosia... Barbara nawet nie chciała sobie wyobrazić, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie dyrektorka domu dziecka w Rząsinach.

– Zosiu – powtórzyła już nieco łagodniejszym tonem, choć buzowało w niej od emocji. – Nie podoba mi się ten kaszel – zasunęła rodzicielskim klasykiem. – Kiedy ostatnio byłaś u pulmonologa? Albo chociaż u tego waszego rodzinnego, który tak ci pobłaża z papierosami? Gdyby usłyszał, jak kaszlesz, natychmiast zmieniłby zdanie i...

– Drobinko... – Zosia zaśmiała się chrapliwie. – To nie od papierosków, tylko od grzanego wina. Olgierd właśnie mi przyniósł na spróbowanie... Sypnęło mu się chyba za dużo goździków, bo pali w gardle pieruńsko, ale jak rozgrzewa! – Zakasłała ostatni raz i chrząknęła. – Ty mi lepiej dokończ tę opowieść o tym Bolesławie. Bom ciekawa.

Baśka ani odrobinę nie uwierzyła w wymówkę Zosi. W jej duszy zaś pojawił się całkiem już głęboki niepokój. Kilka ważnych osób w swoim życiu straciła, będąc jeszcze dzieckiem. I choć lat miała już zdecydowanie więcej, to nie wyobrażała sobie teraz utracić kolejnej, zwłaszcza tak niedawno odzyskanej. Nie chciała znów czuć lęku porzucenia – bo to właśnie czuła, kiedy zmarła jej matka i gdy... Potrząsnęła głową. Nie będzie teraz o tym myśleć. Wiedziała jednak, że Zosia jest kobietą na wskroś upartą i skupiającą się na innych. Postanowiła nie ciągnąć tematu – rozmówi się z nią, gdy się zobaczą. O tak, zdecydowanie się rozmówi.

Kontynuowała więc opowieść o Bolesławie Rybaku, a gdy skończyła, Zosia cmoknęła z uznaniem.

– Dobra robota, dziewczynki! – powiedziała. – I taką nauczkę to ja rozumiem. Teraz będzie musiał przejść sporo kilometrów na kolanach, żeby jaś coś odkupić swoje winy... Chyba... – Zachichotała i znów kaszlnęła. –

A pomyśl, że takich jak on jest o wiele, wiele więcej... Może by jakąś specjalną pielgrzymkę pokutną dla nich zorganizować?

Baśka zaśmiała się, choć przyszło jej to z trudem.

– We włosienicach na przykład? Czemu nie. – Przez chwilę rozkoszowała się tym obrazem. – Zosiu – powiedziała wreszcie miękko. – A upiekłaś w tym roku ten swój wspaniały piernik? Ten z... No wiesz z czym.

Zosia się roześmiała.

– Piernik z glajdą? Upiekłam, w pewnym sensie. Znaczą Kornelka upiekła, bo mi już coraz trudniej się działa w kuchni, a to mieszać trzeba i mieszać, i mieszać. Ale pamiętam jak dziś, jak przychodziłaś do naszej kuchni przed świętami, gdy zaczynałyśmy z kucharkami przygotowania... A tobie przecież nigdy nie było jakoś specjalnie blisko do sztuki kulinarnej, prawda, Drobinko?

Baśka się zaśmiała.

– Powiedziałabym nawet, że ze wszystkich sił starałam się unikać wszelkich aktywności okołokuchennych. No może poza... – Urwała, przypomniawszy sobie pewnego nadzwyczaj przystojnego Francuza, szefa kuchni jednego z jej ulubionych paryskich bistro.

Mmm, na tamtym zapleczu mogłaby zakotwiczyć nawet na ciut dłużej niż kilka dni podczas szkolenia. Zwłaszcza że nie musiała nic robić: ani gotować, ani zmywać, tylko... kosztować.

Zosia zaśmiała się i cmoknęła.

– No tak, Drobinko, no tak, nie mam przecież na myśli tego, co można w kuchni robić poza gotowaniem. Ja i Olgierd na przykład...

– Nie, nie, nie, Zosiu! Błagam! – zawołała Barbara, doskonale wiedząc, że jeśli teraz jej nie przerwie, dowie się czegoś, o czym wiedzieć zdecydowanie nie chciała. Ani tym bardziej czego nie zamierzała sobie wyobrazić, a co niechybnie podsunęłaby jej bogata wyobraźnia, albo, co gorsza, pamięć. – Ale przypominam sobie, jak się zakradałam do kuchni. Na szczęście ani ty, ani panie kucharki nie miałyście mi tego za złe.

– Kucharki były zachwycone, gdy przychodziłaś do kuchni... Pamiętasz, jak potem dawały ci do wyskrobania miskę?

– Miska po glądzie... – Baśka westchnęła na wspomnienie absolutnie najtańszej marmolady wielowocowej, której składu w życiu nie chciałaby poznać, bo zachodziła obawa, że spożywanie jej wywoływało chorobę popromienną, ale która jednocześnie smakowała tak, jakby pochodziła z rajskich delikatesów. – Ten piernik z marmoladą to moje najlepsze wspomnienie świąt... Potem już nigdy nie jadłam tak dobrego ciasta.

– No to po sylwestrze koniecznie musicie do nas wpaść: ty, Aneczka i Ingusia. Zrobimy zimowe ognisko nad jeziorem, Olgierd przygotowuje grzane wino... Możemy nawet sobie taką fałszywą wigilię zrobić, jeśli będziesz chciała! I specjalnie na ciebie będzie czekał drugi piernik. Obiecuję!

Basia uśmiechnęła się na myśl o miękkim i aromatycznym cieście przełożonym zbyt słodką marmoladą o konsystencji błota. Rozejrzała się po luksusowym apartamencie: było tu jasno, przestronnie i ponad miarę czysto, wręcz sterylnie. Jakoś tak... Mało świątecznie.

– Wiesz, Zosiu, wiele bym dała, żeby znaleźć się teraz w Rząsinach. W twoim salonie, przy kominku. Żeby wbić się w dresik i grube skarpetki i... – Umilkła, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

Nie mogła się teraz rozkleić. Teraz ani wcale. Barbara Kochańska przecież nie płakała.

– Żebyśmy mogły sobie popijać herbatę z malinami albo tę twoją orzechówkę.

– Och, Drobinko! – Po tonie głosu Zosi dało się wyczuć, że ona również się wzruszyła. – I ja chciałabym ogromnie, żebyś tu była! Ale jeszcze wiele świąt przed nami. Tak się umówiłam z Ostatecznym, że skoro pozwolił nam się znów spotkać, to teraz nie ma mocnych. – Roześmiała się. – I ja się tak szybko stąd pakować nie zamierzam, o! Mówię mu: „Daj nam się, chłopie, nagadać, bośmy się za długo nie widziały”. No i musiał przystać, bo co miał zrobić, no nie?

Barbara otarła opuszką palca łzę, która zjawiała się niepostrzeżenie w kątku jej oka, i pociągnęła nosem.

– Bardzo słusznie, Zosiu! Z facetami trzeba konkretnie, nawet z Ostatecznym – dodała, siląc się na żart.

Zosia zamruczała na znak, że w pełni ją popiera. W tle coś zaszurało.

– Chociaż – powiedziała, przeciągając samogłoski – te święta rzeczywiście byłyby dla nas wyjątkowo szczęśliwe, gdybyś tu była, Drobinko. – Urwała i wzięła głęboki oddech. – Bo widzisz – kontynuowała powoli, poważnym tonem – ten Ostateczny to naprawdę nieźle miesza i chyba nawet całkiem uważnie słucha... Bo zupełnie niedawno uznał, że za mało mamy w życiu emocji i... – Zamilkła, jakby rozważała, czy w ogóle kontynuować temat.

– No mów, Zosiu, bo zaczynam się bać!

– Niczego się nie bój, Drobinko, to nic złego – powiedziała uspokajająco Zosia. – Po prostu Ostateczny najwyraźniej sfokusował się w tym roku na łączeniu ludzi, na zabliznianiu ran... I... I przyprowadził tu do mnie, do Rząsin, nie tylko ciebie. Ale i kogoś jeszcze.

– Kogo? – Barbarze nagle zrobiło się słabo.

Zosia nie odpowiedziała. W tle znów coś zaszurało, ktoś w oddali powiedział coś, czego Baśka nie rozumiała, a po chwili w słuchawce rozległ się chropowaty męski głos:

– Basieńku...? Czy to naprawdę ty...?



Ania otwierała drzwi od swojej willi z myślą, że pierwszy raz w życiu nie przygotowuje niczego na święta. Żadnych zakupów, sałatek, kompotu z suszu. Nie żeby nie lubiła tych wszystkich przygotowań, było w nich coś magicznego. Musiała jednak przyznać, że takie święta, kiedy nic nie musi robić, w ciepłku, pod rozkosznymi palmami, też miały swój urok. Jedyne rodziców jej brakowało. Na wyciągnięcie ręki miała za to siostrę, ukochanego szwagra, czyli najfajniejszego po tacie faceta na świecie, oraz ich

wszędobylskie dzieciaki. Każdego poranka przybiegały do niej, by się przytulić i życzyć jej dobrego dnia, a wieczorem zostawiały na wycieraczkę laurki i liściki. Sięgnęła po jedną z nich napisaną i pokolorowaną przez Miśkę.

Kohana Ciociu!

Chcemy ci życić pięknego dnia i pełnego słońca.

Misia i Janek

Rozczuliło ją to po raz kolejny. Szczególnie te błędy, których Marianka nigdy, ale to przenigdy nie korygowała. Lutek też nie. Uważali, że ich dzieci są piękne takie, jakie są. Ze swoimi wadami i zaletami, błędami i poprawnościami. „Kiedyś się wyrównają, a jak nie, to znaczy, że tacy właśnie mieli być” – mawiali zgodnie. Anka po raz milionowy pomyślała, że drugiej tak zgranej, a przy tym mądrej pary nigdy nie poznała i pewnie nigdy nie pozna... Od dziesięciu lat byli nierozłączni. Pobrali się błyskawicznie i równie błyskawicznie wyjechali z Polski. Stanowili znakomity przykład tego, że los może być łaskawy dla dwojga niemal kompletnie obcych sobie ludzi i spotkać ich ze sobą tak, by już nigdy nie musieli się rozdzielać.

Pokokosiła się w mięciutkim fotelu, stopy zanurzyła w puszystym dywanie i zapatrzyła się w to, co za oknem: w chodnik z cienkich plastrów białego drewna, okalających je soczyste zielonych trawników i ocean. Nigdy nie odpoczywała w miejscu z tak oszałamiającym widokiem, nigdy nie miała pokoju, z którego mogłaby wyjść prosto do oceanu. Tylko tu, tylko u Lutka i Marianki. Otuliła się cienkim pledem, bo niezależnie od temperatury lubiła być okryta, i... pozwoliła sobie na pierwszą drzemkę od niewiadomego czasu. Obudziła się po kwadransie; ziewnęła, przeciągnęła i jakby z automatu włączyła telewizor. Na ekranie wyświetlił się kadr z kultowego filmu jej młodości, pokątnych marzeń i snów, który po raz pierwszy obejrzała w kinie dzięki Marianne – *Dziewięć i pół tygodnia*. Siostra nieopatrznie przemyciła Aneczkę na seans, myśląc, że to jakiś film o nastolatkach. A potem zakrywała jej oczy na najgorętszych scenach i modliła się, by

młodsza siostra nie wygadała się przed mamą, że była na filmie dla dorosłych.

Dziewięć i pół tygodnia... Tyle lat go nie oglądała, a nadal pamiętała każdą scenę, każdy kadr, każdą piosenkę. Wiedziała, jak Mickey Rourke spojrzy na Kim Basinger, jak jej dotknie i gdzie. Jak się do niej odezwie, w jaki sposób ją pocałuje, jak obejmie. A scena przy lodówce, mimo upływu lat, nadal robiła na niej wrażenie. Kiedyś naiwnie marzyła o takim mężczyźnie jak ten grany przez Rourke'a, kiedyś, dawno temu, to był jej ideał. Teraz już nie miała ideału. Teraz wiedziała, że ideały nie istnieją. Pod przystojną, zgrabną przykrywką może się kryć pusty porcelanowy mózdzek. A pod niezbyt atrakcyjną oprawą – nieoszlifowany diament. Anna Krauze była dobra w rozszyfrowywaniu facetów, ale tylko w pracy. W życiu prywatnym średnio sobie z tym radziła, ale właśnie postanowiła, że chce podnieść swoje umiejętności. I zrobić to tylko w jeden sposób, ten polecany przez Barbarę. W praktyce. Może zacznie właśnie tu, pod palmami? Czowała, że jest na to gotowa.

Rozdział 10

„Relacje z innymi ludźmi są mi potrzebne jak tlen” – nie powiedział nigdy żaden introwertyk domatora. W życiu nawet największego introwertyka domatora przychodzi jednak taki moment, kiedy wyłania się on ze swojej jaskini, bo dzieje się coś, co sprawia, że rodzi się w nim pragnienie obcowania z innymi, doświadczenia funkcjonowania w stadzie, zaczerpnięcia tej wyjątkowej energii, jaką emanuje drugi człowiek. Wówczas nawet tłum w nowojorskim Rockefeller Center, zgromadzony pod wielką jarzącą się choinką, może się okazać całkiem atrakcyjnym towarzystwem. I dobrze – bo zmiana w naszym życiu to jedyna stała, jaką mamy. Ważne, żebyśmy czuły się w niej dobrze i bezpiecznie.

Stół w restauracji wyglądał imponująco i nawet sceptycznie nastawiona do tradycyjnej formy obchodów świąt oraz dokumentnie rozwalona psychicznie (czego, rzecz jasna, nie dała po sobie poznać) Barbara musiała przyznać, że Marianka stworzyła wspaniały świąteczny klimat wśród palm i białych piasków Martyniki. Wyglądało zjawiskowo, a przede wszystkim – pachniało. I to nie tylko klasyczną wigilijną rybą o najintensywniejszym aromacie, czyli karpem, ale też barszczykiem czerwonym, kapustą z grzybami (Baśka nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadła tę potrawę, ale niechybnie było to bardzo, ale to bardzo dawno temu) i... pieczonym indykiem. Marianka, przygotowując polsko-amerykańsko-grecką wigilię, poszła po całości: obok wazy z barszczykiem i uszkami pyszniły się lśniący indyk z brązową skórką, a zaraz obok niego, w uroczej sosjerce,

słodki sos żurawinowy i sterta tłuczonych słodkich ziemniaczków. Nieco dalej pieczona wieprzowina i baranina (przyrządzona ponoć według przepisu matki wielebnego), przyozdobione gałązkami jałowca. Do tego dodatki: glazurowane warzywa korzenne, casserole z fasolką oraz karmelizowane plastry pomarańczy.

Dla jaroszy Marianka przygotowała selerybę (Inga, gdy tylko się o tym dowiedziała, od razu stwierdziła, że to najlepszy moment, by jej spróbować, od jakiegoś czasu nosiła się bowiem z myślą o przejściu na wegetarianizm), pasztet warzywny z suszoną śliwką, który smakował jak pasztet z dziczyzny, smażone tofu na wzór ryby po grecku oraz bigos z boczniakami. W koszykach spoczywało kilka rodzajów pieczywa: jasne pszenne z chrupką skórką, kawałki żytniego chleba z ziarnami, focaccia z oliwkami i pokrojona po skosie bagietka natarta masełkiem ziołowym.

Na osobnym, wyjątkowo dużym stole znajdował się słodki bufet.

– Nigdy stąd nie wyjdę, *promise!* – westchnęła Anka. – Muszę spróbować wszystkiego! Każdego jednego ciasta i ciasteczka, każdziusieńkiego pierniczka. Nawet baklawy. Inaczej uznam, że te święta są do kitu.

Baśka stanęła obok niej i popatrzyła z powątpiewaniem na słodycze.

– Ja tu widzę tylko cukier, tłuste masło i gluten. Ale – uniosła rękę w obronnym geście – wiesz, że ja wolę inne rodzaje deseru... Mnie wystarczy czarna jak węgiel mocna kawa i klasyczny croissant. Niemniej – pochyliła się nad amerykańskim plackiem z dyni i pociągnęła nosem – to faktycznie wygląda nieźle...

– A jakie kształtne te babeczki z czekoladą. Naprawdę wyjątkowo ładne, bo scones zwykle mają wdzięk kartofla...

Tuż obok nich pojawiła się Marianka.

– Jak tam? – zapytała Baśka znad miseczki z bitą śmietaną, w której zanurzyła koniuszek palca.

– Okej. – Marianka rozejrzała się po stołach, oceniając całość fachowym okiem artystki. – Zawsze mogłoby być lepiej, ale – rozłożyła ręce – abso-

lutnie nie narzekam. Na żarcie też nie będę, bo wszystko wygląda obłędnie. I jak pachnie, Boże drogi.

– A to wygląda jak kawałki nieba! – Ania wskazała na ciasteczka w kształcie śnieżynek, na które miała największą ochotę.

Marianka się zaśmiała.

– Lutek ściągnął tu najlepszych kucharzy, piekarzy i tych speców od ozdabiania potraw. Kulinaryny dream team. Ale no nic, lecę dalej!

Gdy odeszła, Barbara i Anka trwały przez chwilę w niemym zachwycie nad spożywczym dziełem ludzkich rąk.

– Baśka! – syknęła nagle Anka przez zęby, widząc, jak przyjaciółka z rozkoszą oblizuje palec, na którym znajduje się biała chmurka bitej śmietany. – Co ty robisz?

– Nie mogłam się powstrzymać. Jedyna słabość, jaką mam względem słodkości, to bita śmietana, przecież wiesz. – Baśka się wyprostowała. – I cofam to, co powiedziałam chwilę wcześniej. Na ten rajski cud – wskazała na miseczkę – zamierzam dziś stracić sporo energii. Praktycznie cały zapas.

Wzięła do ręki kokilkę i już całkiem kulturalnie, posługując się łyżeczką, zaczęła się delectować ukochanym specjałem. Jadła powoli, powolutku i na dodatek bardzo seksownie, czym wzbudziła zaciekawienie i starszego mężczyzny, który zasiadł przy stole nieopodal fortepianu, i sześciu senierek, które wpatrywały się w Barbarę z lekko rozwartymi ustami, szepcząc coś sobie na ucho.

Anka szturchnęła przyjaciółkę.

– Baśka, jesz tak, jakbyś była na planie *Dziewięciu i pół tygodnia*.

– Dziękuję ci, bejbe, to bardzo miłe porównanie. Zawsze uważałam, że Kim Basinger to hollywoodzka bogini.

– Może i tak, ale jak jeszcze trochę pociągniesz ten spektakl, Stanley dostanie zawału.

Baśka spojrzała w stronę fortepianu i dostrzegła kwieciste wypieki na policzkach starszego mężczyzny. Pomachała do niego, a on spuścił wzrok jak

uczniak przyłapany na popalaniu zakazanego ziółka w krzakach za salą gimnastyczną.

– A i niektóre kobietki – Anka puściła dyskretnego zęza w kierunku senierek – też mogą zejść, i to wcale nie z powodu świątecznego obżarstwa.

Baśka odstawiła w połowie pustą kokilkę i otarła usta chusteczką.

– Głupieję przy bitej śmietanie. A ta jest taka dobra!

– Co jest takie dobre? – U boku Barbary zmaterializowała się Inga.

– Bitą śmietaną. I nie radzę ci próbować, bo uzależnia. – Baśka wbrew sobie ponownie sięgnęła po smakołyk i uszczknęła łyżeczkę, a potem jeszcze kolejną.

– Właśnie widzę!

– A gdzie tak w ogóle cię wywiało, pani redaktor? – zapytała Anka.

– Najpierw wypisywałam te winietki i odrobinę pomogłam Marianne, a potem...? – Inga się zawahała. – E, i tak byście nie uwierzyły. Nic wielkiego. Zasadniczo nudy. Czy wy widziałyście te cuda? – Zgrabnie zmieniła temat i spojrzała z zachwytem na słodycze. – Przecież to wygląda jak z cukierniczego katalogu! – Wskazała na kilkupiętrową paterę z idealnie krągłymi pralinkami, zdobionymi pistacjami, grubymi ziarnami soli morskiej, a nawet wiórkami kokosa. – Czy macie na myśli to samo co ja? – Znacząco uniosła brwi.

– My trzy, ta patera i wspólny wieczór u ciebie? Owszem. – Anka się roześmiała. – Chociaż, jak widzę te wszystkie parujące grzybki, bigosy i ziemniaki, to mój plan spożywczy niepokojąco się rozszerza. W przeciwieństwie do sznurka przy szortach.

– Dlatego też sto lat temu pewna bardzo mądra kobieta wymyśliła dres. Żeby swobodnie jeść i nie przejmować się cudzą opinią. – Obok nich ponownie pojawiła się nieco już zgrzana Marianka. – W sekrecie powiem wam, że w kuchni znajdują się naprawdę bogate złoża tych pralinek, więc śmiało wcinajcie na zdrowie! Ale teraz już chodźcie, bo prawie wszyscy są.

Rzeczywiście – sala restauracyjna zapełniła się gośćmi. Jednym z robiących wokół siebie największe zamieszanie był oczywiście Arystoteles Apo-

stolakis. Tego wieczoru zrezygnował ze swoich powiewnych służbowych szat na rzecz eleganckich spodni od garnituru w drobne prążki i dopasowanej jasnej koszuli z długimi rękawami, które podwinął do łokci. Barbara spojrzała na niego z uznaniem.

– No, no, dziewczyny, powiem wam, że coraz bardziej podoba mi się to, co widzę... – Zaśmiała się, wyłapując przerażony wzrok Ingi i opadniętą ze zdziwienia szczękę Anki. – Nie, nie, nic z tych rzeczy! Niemniej ta cała duchowość i rzecz jasna, spryt, z jakim nasz wielebny poradził sobie z Bolesławem Rybakiem, wzbudziły mój szacunek i podziw... I coraz poważniej się zastanawiam nad warsztatami u niego. Ponoć zaczynają się za dwa albo trzy dni.

– Serio?

Inga z trudem wyobraziła sobie Barbarę wchodzącą na wyższe levelle uczuciowości, otwierającą czakry i zgłębiającą tajniki ducha. Baśka z nich trzech była tą, która zawsze czuła grunt pod nogami, nawet jeśli woda sięgała jej po szyję, i nie dawała się zwieść gładkim słówkom ani omamić ładnym obrazkom.

– Serio. Bo w sumie czemu nie? – stwierdziła Barbara. – Może to najlepszy czas na samorozwój i jakąś zmianę? – dodała tajemniczo i jakby smutno, a następnie odeszła, by zająć miejsce przy stole.

Anka i Inga spojrzały na siebie i równocześnie wzruszyły ramionami, po czym podążyły śladem Barbary.

– Ciociaaaa! – Do Anki dopadł Jasiak i gdy tylko klapnęła na krzesło, natychmiast wdrapał jej się na kolana. – Ja siedzę z tobą!

– O nieee. – Michalina podeszła do stołu i wzięła się pod boki. – Ty siedzisz obok taty. A ja obok cioci. Tak mówiła mama! Poza tym tu jest napisane. – Wskazała na bilecik ze swoim imieniem.

– Akulat! – Jaś pokazał siostrze język, po czym ześlizgnął się z kolan Anki i pocwałował naskarzyć na wredną starszą siostrę Marianne, która właśnie witała się z małżeństwem Polaków z Ameryki.

Michalina popatrzyła za nim, po czym spojrzała na ciocię i przewróciła oczami.

– Chyba trochę cię pobrudził, ciociu – stwierdziła, rzucając okiem na turkusową sukienkę Anki, na której widniała tłusta plama. Najwyraźniej nie tylko Baśce zasmakował krem z bitej śmietany.

Ania zerknęła i machnęła ręką.

– To nic. Prędzej czy później i tak bym się pewnie pobrudziła. Jeśli nie barszczykiem, to babeczkami z czekoladą... Opowiedz mi lepiej – pochyliła się poufale ku dziewięciolatce – o swoich planach na poszukiwanie prezentów...

Podczas gdy dziewczynka w wielkiej tajemnicy szeptała Ance swoje przypuszczenia na temat prezentowych kryjówek, przy stole zjawili się Vivianne i Philippe, ponadprzeciętnie eleganccy i jak zawsze szeroko uśmiechnięci. Philippe odsunął żonie krzesło, a gdy z gracją usiadła, zajął miejsce obok niej i ujął ją za rękę.

– Prawda, że pięknie wygląda? – stwierdził raczej, niż zapytał, zwracając się niby do dziewczyn, ale w rzeczywistości spoglądając na Vivianne.

Owszem, w swojej mieniącej się srebrnej sukience i delikatnej biżuterii wyglądała zabójczo, jak dwa miliony dolców z okładem z boskości. Wysłuchawszy uprzejmie komplementów od męża, sobowtórka Tiny Turner posłała mu w powietrzu całusa i spojrzała na Ankę, Baśkę i Ingę spod gęstych rzęs.

– *Girls!* Jesteście cu-dow-ne! I w ogóle ile tu wspaniałości! Musicie mi o wszystkich tych polskich potrawach opowiedzieć. *Marianne*, przeszłaś samą siebie – zwróciła się do Marianki, która akurat je mijiała, taszcząc ze sobą przyklejonego w pasie Janka.

Marianka uścisnęła jej rękę i uśmiechnęła się szeroko.

– Koniecznie spróbuj bigosu z boczniakami. To z przepisu siostry Lutka, wydarłam go niemal szantażem! A makowiec to spuścizna po babci Ingusi. W życiu takiego nie jadłaś!

W sali rozbrzmiał fortepian. Pianista cichutko wygrywał kolędy, dopełniając atmosfery. Dziewczyny siedziały przy stole z Vivianne i Philippe'em i słuchały ich opowieści o pierwszej wspólnej Wigilii.

– To nie jest nasze najważniejsze święto w roku, przyznaję – powiedziała Vivianne. – Dzień naszego poznania świętujemy bardziej uroczyście.

– To znaczy ten dzień, kiedy oberwałem od niej obuchem w łeb – przypomniał Philippe. – Dosłownie i w przenośni.

Vivianne oparła głowę na ramieniu męża, a on ucałował jej dłoń.

– Ale właśnie w Wigilię postanowiliśmy, że weźmiemy ślub i będziemy razem na dobre i na złe. I rzeczywiście się pobraliśmy. Tydzień później, na naszej plaży tuż obok restauracji, pod białym baldachimem, w białych strojach, boso. Towarzyszyła nam garstka naszych bliskich.

– A ślubu udzielał nasz przyjaciel, wielebny – wtrącił Philippe.

– Arystoteles? Arystoteles Apostolakis? – rzuciła z niedowierzaniem Inga i aż się obejrzała, bo miała wrażenie, że wielebny za nią stoi. Zawsze zjawiał się w najmniej oczekiwanych momentach.

– Nie. – Philippe ponownie uniósł dłoń żony i złożył pocałunek, tym razem na płatynowej obrączce. – Nasz lokalny.

– Z tego, co słyszałam, Arystoteles nie udziela ślubów, ale kto go tam wie. – Vivianne się roześmiała. – W każdym razie to był ślub, o jakim zawsze marzyłam. A miałam ich kilka! Ten był cichy, kameralny, bez fanfar, dzwonów i niepotrzebnych hałasów. Nie mam nic przeciwko uroczystej i bogatej oprawie, kiedyś chciałam tylko takiej. Ale życie mnie zmieniło i wtedy zapragnęłam prostoty i minimalizmu.

Vivianne przez dłuższą chwilę opowiadała o ceremonii, Philippe jej potakiwał, a dziewczyny chłoneły wszystko, bo Vivianne potrafiła opowiadać. Tak plastycznie snuła historię, że w uszach miały szum fal, widziały biały żagiel jachtu, słyszały słowa lokalnego wielebnego o imieniu tak dziwnym, że żadna z nich nie potrafiła go zapamiętać. Po dłuższej chwili, gdy wreszcie Marianka z mężem zasiedli przy stole, a Michalina i Janek ra-

zem z nimi, elegancki Lutek stanął u szczytu i w imieniu personelu zaczął składać życzenia.

– Niezmiennie cieszy mnie fakt – zakończył długą i według Barbary zbyt ckliwą perorę, która jednak właściwie podziałała na większość kobiet, w tym na Ingę, która ukradkiem otarła chusteczką kącik oka – że na ten szczególny czas wybrali państwo nasz hotel i naszą opiekę. Cieszymy się, że możemy tu dla was być i świętować z wami, że możemy was gościć i sprawiać, byście czuli się jak u siebie w domu.

Inga z niewiadomego powodu zerknęła na wielebnego. Mogła na kogoś innego, na Stanleya, jego żonę choćby, a spojrzała na niego. Uśmiechnął się szczerze, a potem mrugnął do niej, a ona odniosła wrażenie, że puściły jej szwy w sukience. Doprawdy, bardzo śmieszne.

– Tak więc nie przedłużając... – kontynuował Lutek.

Barbara wymownie przewróciła oczami, a Anka, widząc to, prawie parsknęła.

– ...życzymy wam wspaniałych chwil, odprężenia i relaksu. A w nowym roku przede wszystkim miłości! Zdrowie państwa! – Lutek uniósł kieliszek z Ti’Punchem, wyjątkowo niezaserwowanym w specjalnych słoiczkach, a goście zrobili to samo.

Potem wszyscy rzucili się do składania sobie indywidualnych życzeń. Marianka przygotowała nawet opłatki dla tych, którzy chcieli pozostać wierni polskiej tradycji, i teraz Grażynka ze Stanleyem obcałowowali odrobinę zachowawczych, choć zafascynowanych opłatkiem Vivianne i Philippe’a. Inga poszła wyściskać wszystkich po kolei, a Anka, z siostrzeńcami u boku, kolebała się wraz z Marianką od jednego gościa do drugiego. Barbara i Arystoteles Apostolakis przyglądali się temu wszystkiemu ze swoich miejsc, sącząc powoli karaibski napój bogów, oboje z minami cokolwiek nieodgadnionymi. Nad czym dumał Arystoteles, tego w żaden sposób nie dało się dociec. Barbara zaś myślała o tym, co stało się tuż przed rozpoczęciem kolacji, kiedy zadzwoniła do Zosi. Czy ona byłaby w stanie, tak jak ci ludzie tutaj, podejść do... do tego, który jako jedyny na świecie mówił do niej „Basieńku”, choć ona sama ze wszystkich przekształceń swojego imie-

nia akceptowała jedynie Baškę, i tak zwyczajnie powiedzieć, że życzy mu wszystkiego dobrego? Czy dałaby radę podzielić się z nim opłatkiem? Czy prędzej rzuciłaby mu prosto w twarz z pretensją, dlaczego ją porzucił, dlaczego tak łatwo się poddał i w końcu – dlaczego nie odpisał na jej wiadomość? A teraz nagle zjawia się u Zosi i jeszcze śmie nazywać ją pieszczotliwym „Basińku”?

Kiedy w tle rozbrzmiały pierwsze takty *Cichej nocy*, goście ponownie zajęli krzesła i rozpoczęło się ucztowanie. Znad brzęku sztućców, gwaru rozmów i śmiechów oraz czystych fortepianowych nut przebijała się ku niebu wdzięczność za to, że ci wszyscy ludzie z różnych zakątków świata, a każdy z inną historią, mogą tutaj siedzieć wspólnie przy jednym stole, jeść, śmiać się i gadać lub milczeć. Że każdy z nich może być sobą. Że może być obecny i uważny lub odpływać myślami gdzieś daleko. Że może czuć się wolny.

Gdzieś pomiędzy indykiem z tłuczonymi słodkimi ziemniakami a sele rybą Philippe nagle wstał i wyciągnął rękę w kierunku Vivianne. Ona spojrzała na niego roziskrzonymi oczami i również podniosła się z krzesła. Anka posłała zdziwione spojrzenie Marianne, a ta uśmiechnęła się i znacząco uniosła brwi.

– Państwo pozwolą – odezwał się głębokim głosem Philippe. – Z moją kochaną Vivi nie wyobrażamy sobie świąt bez wspólnego muzykowania i śpiewania *les cantiques*, tych wspaniałych, pięknych i uroczystych kołęd, których uczyli nas nasi rodzice. Może i uznają to państwo za nieco zbyt *pathétique*, ale czy możemy, ja i moja ukochana małżonka, wykonać dla państwa jedną z naszych ukochanych kołęd? Poza tym z chęcią poznamy część waszej polskiej oraz amerykańskiej kultury. A może i greckiej? – Tu skłonił się w stronę Apostolakisa. – I może uda nam się coś wspólnie zaśpiewać?

Marianka przyklasnęła.

– Koniecznie! Absolutnie tak! Czy chcecie, aby Marcelino wam akompaniował? Jest w tym najlepszy. – Uśmiechnęła się w kierunku pianisty.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Philippe uprzejmie. – Vivianne znakomicie gra na fortepianie, więc jeśli *monsieur* pozwoli na tę jedną kołędę

ustąpić swego znamienitego miejsca mojej pięknej żonie...

Marcelino gestem zaprosił Vivianne do fortepianu, a gdy zasiadła na stoleczku, Philippe stanął naprzeciw niej i z miłością spojrzął jej w oczy.

Gdy tylko kobieta dotknęła wypolerowanych klawiszy i spod jej palców popłynęła muzyka, Inga, Baśka i Anka, choć żadna z nich nie mogła wiedzieć tego o pozostałych, poczuły rosnącą w gardle gulę. Vivianne grała bowiem jedną z najpiękniejszych i najbardziej znanych francuskich kolęd *Minuit, Chrétiens*, którą po mistrzowsku wykonywał Andrea Bocelli. A gdy Philippe otworzył usta i okazało się, że jego wykonanie niemal nie odbiega od wykonania słynnego włoskiego tenora, nawet w oczach niewzruszonej Barbary pojawiło się coś na kształt łez. Vivianne muskała klawisze smukłymi jasnobrązowymi palcami, a Philippe śpiewał... A gdy skończył, całe towarzystwo siedziało jeszcze przez chwilę w bezruchu, po czym wybuchły brawa.

– Cudowne! To było magiczne, prawda, Stanleyku? – zawołała ponad wrzawą Grażynka. – Zupełnie jak nasz polonijny proboszcz, który też taki dar od Boga otrzymał! Piękne, wspaniałe! Ach! No to może teraz *Bóg się rodzi*, a potem... *Mizerna cicha*?

– Ależ proszę bardzo, jesteśmy przygotowani i na to! – zawołała Marianka. – Mamy bogaty repertuar. Choć wspólne kolędowanie planowaliśmy na czas po kolacji, ale co nam szkodzi, prawda? To w końcu nasze wspólne święta! Marcelino, czy mógłbyś...? – zwróciła się do pianisty. – Zagraj nam kilka kolęd po polsku...

– Szkoda, że nie ma z nami rodziców – westchnęła Anka, gdy Marcelino zasiadł za fortepianem, a Grażynka tubalnym głosem poprowadziła wspólny śpiew. – Podobałaby im się ta atmosfera. Oni tak lubią ludzi...

– Zaraz możemy do nich zadzwonić! – zaproponowała Marianka. – Chciałam to zrobić ciut później, ale najwyraźniej dzisiejsza wigilia rządzi się innymi prawami. – Roześmiała się. – Zgarnij dzieciaki, ja zawołam Lutka i skoczmy na chwilę do nas.



Anka usadowiła się wygodnie na kanapie w apartamencie Marianki i Lutka, tuż przed laptopem. Wokół niej tłoczyły się dzieciaki; Marianka przysiadła na brzegu kanapy, a za nią stanął Lutek i objął żonę ramieniem.

– Dzwonimy? – zawołała radośnie Anka, spoglądając na dzieci.

– Taaaak! Ja włonczaaam, ja! – zawołał Jasiak, sunąc paluszką w kierunku klawiatury.

– Gdybym cię nie nauczyła, tobyś nie umiał – burknęła Michalina, tuląc się do ramienia cioci.

Po chwili na ekranie pojawiła się pogodna twarz mamy Anki i Marianki, na której widok dzieci zapiszczały radośnie.

– Halo, halo, Opole, jak nas słyszeć? – zawołała wesoło Marianka. – Widać nas? Słyszeć bez zarzutu?

– Moje kochane słoneczka! – zawołała Janina Krauze. – Oczywiście, że widać i słyszeć. Jak się cieszę, że was widzę! Jesteście już po kolacji?

– Tak, ale Michalina nie zjadła swojej lyby! – natychmiast naskarżył Jasiak. – A ja tak i będę jadł dużo desera.

Janina roześmiała się wesoło.

– Heniusiu, chodź do nas szybko! Dzieci dzwonią!

Zaraz obok Janiny zjawił się Henryk i wnuki na jego widok wpadły w jeszcze większą euforię. Żaden ze znanych im dorosłych nie dawał się namawiać na takie szaleństwa jak właśnie dziadek Heniek.

– Dziewczynki moje! – Henryk zwrócił się z czułością do Anki i Marianki po tym, jak Michasia i Janek opowiedzieli mu ze szczegółami o kolacji i planach na szukanie prezentów. – A jak wy się czujecie? Bo wyglądacie prześlicznie. I ty, Lutku, też, żeby nie było!

Lutek wyszczerzył zęby w uśmiechu i wystawił kciuk w górę.

– Staram się dotrzymać kroku Marianne, choć wie tata, że łatwo nie jest!

Henryk pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wdała się w Janinkę. – Objął żonę ramieniem. – Obie się wdały, i Marianka, i Aneczka. Więc wiem, oj, wiem... Za mądrymi kobietami nadąży tylko mądry i pewny siebie mężczyzna...

Marianka ścisnęła Ankę za rękę.

– Jesteś kochany, tatku! I strasznie, ale to strasznie za wami tęsknimy... Za wami i za świętami na Powstańców Śląskich... Opowiadajcie, co u was. Byliście na wigilii u tej sąsiadki z naprzeciwka? Tej, która mieszka w tym przepięknym domu z wieżyczką?

– W domu z wieżyczką? – Anka spojrzała na siostrę. – Aaach, już pamiętam. To tam, gdzie rosną te niesamowite kasztanowce... – rozmarzyła się.

– Tak, byliśmy u Halinki – potwierdziła mama. – Coraz trudniej jej się poruszać, jej mężowi też, więc odwiedzamy ich dość często, by trochę im ulżyć. Dzieciakom bardzo by się u nich podobało... W naszej kamienicy jest tylko podwórko, a u nich duży ogród. Może, jak Bóg da, w przyszłym roku urządzimy święta u nich... I przyjedziecie wszyscy? Albo na Wielkanoc! Koniecznie!

– To może się udać... – Lutek się zamyślił. – W zeszłym roku się udało, więc góra nie powinna robić problemów. Ale mam jeden warunek.

Anka i Marianka spojrzały na niego zdziwione.

– Na święta, nieważne już które, koniecznie musimy kupić ten obłędny sernik, który jedliśmy w poprzednie święta...

– O Jezu, tak! – zawołała Anka. – Sernik nowojorski z Sopolka na Krakowskiej. Ooo, ile ja bym dała, żeby go teraz zjeść... Do kawusi... Mamo, jak tylko wrócę do Polski, robię nalot na waszą wyspiarską Pasiekę i wybieramy się na rynek, do kawiarni... Ach... Czemu my w ogóle tak rzadko się widzimy, co? – zafrasowała się. – Przecież Opole jest już całkiem blisko Poznania... A w sumie... Nie chcielibyście znów zamieszkać w Wielkopolsce? – zapytała z nagłą nadzieją, choć dobrze znała odpowiedź.

Po śmierci siostry Henryka tata i mama, oboje wtedy po pięćdziesiątce, przenieśli się z Poznania do Opola, do pięknego mieszkania w kamienicy,

które siostra ojca, bezdzietna panna, zapisała im w testamencie. Oboje bez problemu znaleźli pracę na miejscu, on – znakomity karnista – na Uniwersytecie Opolskim, w katedrze prawa karnego, ona – lekarka z powołania – otworzyła prywatny gabinet, rezygnując już całkowicie z pracy w szpitalu jako kardiolożka. Nie przemęczali się. Prowadzili spokojne życie, o wiele spokojniejsze niż to w Poznaniu, skupiając się na sobie, uprawie kilku gatunków pomidorów koktajlowych w balkonowej szklarni i opiece nad półślepym kotem imieniem Waław, który zdecydowanie doceniał fakt, iż na stare lata trafił z zimnego schroniska na mięciutką kanapę w salonie państwa Krauze. Anka dobrze o tym wszystkim wiedziała. A jednak czasem chciałaby, by było jak dawniej, kiedy rodzice mieszkali obok niej, tuż za rogiem.

– Myślę, że mają tu za dużo dobrych cukierni – zaśmiał się tata. – No i mama nie chciałaby się rozstawać z tymi pięknymi stiukami na suficie, na które, gdy patrzy co rano, to wzdycha.

– Pełna zgoda! – potwierdziła Janina. – Ale ty, kochanie, przyjeżdżaj, kiedy chcesz. I weź ze sobą przyjaciółki! Miejsca starczy dla wszystkich! U Halinki i Józia możecie się zatrzymać. Oni to dopiero by się ucieszyli! Mają silne niedobory kontaktów społecznych, a opowieści tyle, że można by z tego niezłą książkę napisać.

– Nie kuście, bo naprawdę przyjedziemy i już drugiego dnia będziecie się chcieli nas pozbyć.

– To najpierw przyjedźcie – wtrącił tata. – A potem się zobaczy.

Janinka dała mężowi kuksańca w ramię.

– Sama prawda, żono, sama prawda. Anusia się ciągle odgraża, a potem tylko praca, obowiązki, kariera. Nie wspomnę o Marianne, która wymiguje się jeszcze odległością.

– Takie życie, tatuś – rzuciła Marianka. – Ale – wzięła siostrę za dłoń, uścisnęła i podniosła – obiecujemy, że przyjedziemy. Nie tam kiedyś, ale w przyszłym roku.

Henryk Krauze zrobił dumną minę, uniósł brew i spojrzał na żonę, a potem powiedział:

- Mówiłem, że to załatwię!
- Tatoooo! – zawołały jednocześnie obie córki.



Po powrocie do sali restauracyjnej Anka zastała Barbarę w towarzystwie Arystotelesa Apostolakisa, który z tego, co dosłyszała, reklamował właśnie swoje warsztaty odnowy, a Baśka, ku zdumieniu Anki, słuchała go z rzeczywistym przekonaniem, wyjadając z talerzyka resztki śmietanki z dodatkiem szarlotki. Goście biesiadowali, rozmawiali, rozpakowywali prezenty. Prezenty... Dziewczyny postanowiły zrobić sobie jeden duży prezent i wykupiły wyjazd na narty. W lutym planowały się wybrać do Karlowych Warów.

Anka podeszła do słodkiego bufetu, nabrała na talerzyk kilka pralinek i ruszyła w kierunku Ingi, która rozprawiała nad czymś wesoło z Vivianne i Philippe'em, usiłując dosłyszeć swoich rozmówców ponad dźwiękami kołęd śpiewanych gromko przez Grażynkę, ewidentnie zmęczonego życiem Stanleyka i kilka innych osób.

– I dlatego absolutnie nie przyjmę odmowy! Absolutnie! – powiedziała Vivianne, w momencie kiedy Anka do nich dołączyła. – Jutro jest dniem odpoczynku. Zresztą każdy dzień życia jest dobrym dniem na odpoczynek. Prawda, Philippe?

– Łi, najdroższa. *Absolument!*

Inga z rumieńcami ekscytacji na policzkach spojrzała na Ankę.

– Vivianne właśnie zaprosiła nas na rejs katamaranem! Jutro wypływamy!

Anka otworzyła szeroko oczy.

– Bosko! Wchodzę w to wszystkimi czterema zmęczonymi kończynami! – Obejrzała się na Baškę dyskutującą z wielebny. – Tylko nie

wiem, co z naszą lwicą, która chyba właśnie podjęła decyzję o złagodzeniu obyczajów i wkroczeniu na ścieżkę rozwoju duchowego.

– Ach, tym się nie martwmy! – zawołała Vivianne. – O ile mi wiadomo, wielebny rozpoczyna swój kurs dopiero za dwa albo trzy dni, więc nic jej nie umknie. My tymczasem zrobimy sobie babski wypad w morze.

Rozdział 11

Niech cię nie zwiodą zmarszczki mimiczne, liczba w metryce ani obwód talii. Nie daj się ponieść myśli o tym, że może być za późno. Nadal nie jest, jeszcze nie jest. I nigdy nie będzie.

„Frontem do przodu” – niech to będzie od dziś twój kompas na życie, twój wewnętrzny imperatyw, hasło, które będziesz sobie wizualizować zarówno w chwilach, gdy wszystko gra i buczy, jak i wtedy, gdy zamiast ulubionej melodii życie zacznie ci nucić najnowszy kawałek współczesnego jazzu, podczas gdy ty – wielbicielka zupełnie innych brzmień – wolałabyś coś w klimacie Abby albo Beyoncé. „Bądź dla mnie łaskawe – szepnij mi wtedy – bo ja zamierzam cię przeżyć frontem do przodu”.

Na rejs katamaranem Anka, Inga i Baśka czekały jak na najlepsze urodziny, bo opowieści Vivianne o delfinach podpływających do burty, o rybach skażących nad powierzchnią wody, szampanie, którego podczas rejsu się nie szczędzi, i błogim opalaniu, czego zwłaszcza Barbara nie miała jeszcze dość (uważała, że jej długie nogi są nadal zbyt blade), bardzo je wszystkie ekscytowały. Oczami wyobraźni widziały łódź o dwóch płozach z siatką pomiędzy, na której będą się wylegiwać. Nie spodziewały się, że katamaran Vivianne był ogromnym statkiem z kabinami. Z luksusowym pokładem, ze skórzanymi sofami i fotelami, kryształowymi żyrandolami, szklaną podłogą, barkiem i otwartą kuchnią, kajutami dla gości i załogi. No i że będzie miał superwygodny, mięciutki deck do opalania.

– Ale żeś ani słówkiem nie wspomniała, że to takie... Takie luksusowe! – zawołała Barbara z zachwytem, kiedy stanęły na pokładzie.

– Gdyby nie było, nie zaprosiłabym was przecież! – odparła Vivanne z uśmiechem. – My, kobiety, zasługujemy na wszystko, co najlepsze.

– Z ust mi to wyjęłaś. – Baśka zmrużyła oczy, chłonąc widoki.

– Częstoście się, *girls*. – Vivianne wskazała na tacę z kieliszkami wypełnionymi szampanem. – Szkoda bąbelków.

Po pierwszym toaście przyszedł czas na drugi i trzeci. Baśka z Ingą delectowały się napojem bogów, ale Anka tylko moczyła wargi.

– Nie smakuje ci? – zapytała w końcu Vivianne. – Tylko powiedz szczerze, a Gerard – wskazała na barmana – poda ci, co zechcesz. Może nie wygląda, ale mamy tu więcej niż małe co nieco.

Anka potrząsnęła głową.

– Nie o to chodzi. Obawiam się, że źle zniosę rejs. Bo... – tłumaczyła z lekkim zakłopotaniem. – Ja cierpię na kumulację wszystkich chorób lokomocyjnych i jak pomyślę, że to, co teraz wypiję... Że to za chwilę... No wiesz...

– A wzięłaś tę zieloną tabletkę, którą ci mój Philippe podrzucił na przystani? To znaczy: ssiałaś ją?

– Tak... – Zerknęła na zegarek. – Trzydzieści minut temu. Była bardzo smaczna, jak dobra landrynka. Ale wiesz... Ja już wszystkiego próbowałam i na mnie naprawdę nic nie działa. Czuję, że tu też tak będzie.

Vivianne wykonała uspokajający ruch ręką.

– Po pierwsze, ta tabletkę nie ma nic wspólnego z tym, co do tej pory brałaś. Jest wyjątkowa i działa na wszystkich. Po drugie, katamaran to nie byle jaka łajba i na nim po prostu nie buja, zobaczysz. A po trzecie, nawet jakby coś ci się przytrafiło, to uwierz, mnie żadne torsje ani nie zaskoczą, ani nie przerażą. Na tym pokładzie już niejedno się działo, a nadal ma się dobrze. I pokład, i ja. Przecież to ludzkie, a nic co ludzkie...

– Nie jest nam obce – dodała Barbara, wznosząc toast.

Kiedy katamaran znajdował się już w sporej odległości od brzegu, Ania w duchu przyznała, że TA tabletkę chyba rzeczywiście zdziałała cuda. Już z większym spokojem rozparła się na leżaku.

– Ten katamaran jest idealny dla takich beznadziejnych jednostek jak ja – stwierdziła. – Suniemy jak szaleni, nie buja, żadnych wstrząsów, *null*. Czuję się bosko.

– A widzisz! – ucieszyła się Vivianne. – Ale nie martw się, nie jesteś pierwszym niedowiarkiem i wcale nie taki z ciebie trudny przypadek. Po prostu połączenie tej tabletki i tego śmigacza jest idealne. I kropka.

– A co tak dokładnie jest w tej zielonej landrynce? – zaciekała się Inga.

– A żebym to ja wiedziała... – odparła Vivianne tajemniczo, choć nie do końca szczerze.

Znała skład tabletki, doskonale go znała, ale nawet gdyby ją błagano, ba! – gdyby ją nawet przekonywano diamentami (a diamentów Vivianne nigdy nie odmawiała), nie wyznałaby na największych mękach, że to wyciąg z byczych jąder uszlachetniony do smaku papają i kokosem.

– Ważne, że działa – dodała tylko. – I to na każdego.

– A mogę liczyć na jakiś link do sklepu z tymi tabletkami? – Anka poczuła, że to może być jej szansa na poprawę życia w momentach, które dotąd czyniły jej egzystencję nieznośną. – Kupiłabym sobie na zapas. Na inne podróże.

– Skarbie, one są nasze, tutejsze. Robią je szamani, którzy nie wiedzą, co to sklepy internetowe. Handlują na lokalnych bazarkach. Dam ci na zapas, a jak się skończą, napiszesz do mnie, to ci podeślę.

Anka pokiwała głową i w końcu bez większej trwogi upiła spory łyk szampana, przekąszając grillowaną krewetką w słodkim owocowym sosie.

A potem...? Potem było jeszcze lepiej.

Dziewczyny ekscytowały się krajobrazem, pojawiającymi się i znikającymi z horyzontu łodziami oraz tymi, które podpływały całkiem blisko (i śladem Vivianne pozdrowiały te, na których dostrzegały wyjątkowo smakowitych mężczyzn), bezchmurnym niebem, a także śmigającymi przy płozach delfinami. Kąpały się w zacisznych zatoczkach, a Vivianne wskoczyła do wody nawet na otwartym oceanie. Opalały się i po prostu zażywały relaksu.

– Jak w raju – skwitowała Inga, kiedy po drugiej kąpieli wyszły z wody i wyciągnęły się na leżakach. – Muszę to namalować.

– Jeśli chciałabyś namalować mnie, to tylko w takiej pozie. – Vivianne poprawiła poły zwiewnej sukni, wysunęła nogi, położyła ręce na kolanach i zrobiła poważną minę.

Barbara pomyślała, że ich gospodyni wygląda zjawiskowo. Na jej naznaczonej zmarszczkami i nietkniętej teraz makijażem twarzy malowało się doświadczenie. Na policzkach Vivianne Baśka dostrzegła plamki i przebarwienia, a usta bez pomadki wyglądały blado. A mimo to Vivianne była piękna, ikonicznie piękna.

– Przepraszam, Vivianne, ale myślałam o krajobrazie. Nie maluję portretów – powiedziała Inga.

Vivianne uniosła brwi w wyrazie zdziwienia i chyba urazy, co nie uszło uwadze Ingi.

– Nie chodzi o ciebie... Nie, nie... Bo wiesz... – zaczęła się tłumaczyć. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce zawstydzenia. – Ja po prostu nie potrafię malować ludzi. To znaczy... Takich zwykłych to tak, ale nie takich jak ty. Nie dałabym rady oddać twojego piękna.

Vivianne nieznacznie się rozchmurzyła.

– Nie musisz się tłumaczyć, *ma chérie*. Żartowałam – skłamała, a potem beztruskim tonem, doprawionym jednak nutą cierpkości, dodała: – Już nie te lata i nie to ciało, żebym mogła być inspiracją dla artystów.

Baśka wysoko uniosła brwi. Szczerze nie lubiła, gdy piękne, mądre, wartościowe kobiety same się osłabiały, odejmowały sobie tego, co niezaprzeczalnie stanowiło o ich wyjątkowości: wdzięk, grację, mądrość. Wiek i owszem, odbierał skórze jędrność, ale nigdy godności! Wkurzało ją, kiedy kobiety na komplement reagowały słowami: „E tam, to nic wielkiego, stary ciuch, daj spokój!”. Jej, nawet kiedy wkładała nienową już sukienkę, nie przyszłoby do głowy umniejszać swojemu wizerunkowi, gdy ktoś kierował w jej stronę komplement. A kiedy dodawał, że jest piękna, nigdy nie tłumaczyła, że to tylko dobry makijaż czy wyborny fryzjer. Po prostu potakiwała, przyjmując te słowa z zadowoleniem i karmiąc nimi duszę.

Spojrzała na Vivianne. Ta piękna kobieta nie powinna wypominać sobie wieku. Niejedna czterdziestka chciałaby mieć takie nogi i talię jak ona, a włosy to już w ogóle. Niejedna po prostu chciałaby wyglądać jak Vivianne – kobieta piękna właśnie dzięki swojej dojrzałości, której nigdy, przenigdy nie powinna się wstydzić. Nawet gdyby tu i tam doszło jej kilka centymetrów i siwe włosy.

Barbara pierwszy raz, odkąd poznała Vivianne, chciała nią porządnie potrząsnąć, wyrazić jawny sprzeciw wobec tego, co Vivianne mówiła o sobie i co przeczyło temu, o czym wspomniała na początku rejsu: że kobiety zasługują na najlepsze. Najnormalniej w świecie miała ochotę ją opieprzyć, ale nie zdążyła, bo Vivianne nagle zmieniła temat. Mijały właśnie zatoczkę z plażą naturystów.

– Od dekady mnie tu nie było, a kiedyś tak lubiłam to miejsce – wyznała Vivianne.

– Już nie jest tam tak fajnie? – zapytała Ania, choć z daleka plaża wyglądała jak wyjątkowo atrakcyjne kąpielisko.

Wysokie palmy, pomiędzy którymi rozwieszono śnieżnobiałe hamaki, szerokie leżanki do opalania i odpoczynku, kilka bajecznych barów, od których mieniło się w oczach. Do tego intymne stanowiska do masażu, prysznic w półcieniu i plażowe restauracje.

– Jest wyjątkowa, ale już nie dla mnie. Nie chcę nikogo straszyć obwisłościami starczego ciała.

Baśka z brękiem odstawiła kieliszek.

– Zupełnie nie rozumiem, jak możesz tak myśleć! Ani jak możesz tak o sobie mówić! Czy powiedziałabyś to samo swojej najlepszej przyjaciółce? Nie! Więc dlaczego mówisz to sobie?

– Bo taka jest prawda...

– Bzdura! – Baśka prychnęła. – Powiem ci jedno i posłużę się do tego słowami mojego ukochanego Bajmu i mojej najukochańszej Beaty. – Spojrzała prosto w posmutniałe źrenice Vivianne i zanuciła piosenkę, a potem przetłumaczyła ją na angielski: – „Nie obiecuję ci, że lepszy będzie świat.

Ważny jest oczu twoich blask. Nie obiecuję ci, że czas ukoi ból. Ważne, że jesteś tu”.

Oczy Vivianne zaszkliły się, a kiedy wszystkie trzy: Baśka, Anka i Inga zaczęły raz jeszcze wyśpiewywać *Szklankę wody* niczym hymn kobiecej wolności, pozwoliła łzom płynąć po policzkach, mimo że nie rozumiała tekstu ani trochę. Jednak sama obecność dziewczyn, ich energia i entuzjazm wystarczyły.

Kiedy dziewczyny umilkły, podeszła do nich i objęła je. Roniła oczyszczające łzy, a one przytulały ją, gładziły po ramionach i ocierały z jej policzków słone strużki, osuszając je ciepłym uśmiechem.

Gdy Vivianne trochę się uspokoiła, przetarła twarz, przeczesła palcami krótkie włosy i wzniosła toast:

– Za was, dziewczyny! Wniosłyście w moje życie tak wiele, że nawet nie potrafię tego opisać. Niektórzy mówią, że wszystko można kupić, a ja wiem, że są rzeczy, których nie załatwią nawet największe pieniądze. Na przykład prawdziwa przyjaźń, w której masz poczucie przynależności, oddania i wsparcia w każdej sytuacji. My, ja i wy, znamy się jeszcze za krótko, bym mogła nazwać to przyjaźnią, ale... – Umilkła ze wzruszenia, po czym zamrugnęła gwałtownie i ciągnęła: – Ale wasza przyjaźń działa na mnie tak, jakbym była jedną z was. I to jest odurzające i wspierające jak cholera i diabli w jednym! Kocham was, dziewczyny! Kooooochaaaam!

– My ciebie też! – wyrwała się Inga pierwsza. – Bo... Jesteś niesamowita, mądra i... i...

– Zjawiskowo piękna – dokończyła Baśka.

Vivianne machnęła ręką, zerkając spod długich rzęs.

– Dajcie spokój, nie zawstydzajcie mnie.

– Kiedy to szczerą prawdą. Najszczerą.

W oczach kobiety nagle rozbłysły ogniki.

– Wiecie co? Kiedy jest mi naprawdę dobrze, robię coś szczególnego.

Stała na skraju pokładu, rozpostarła ręce i wydała z siebie ekstatyczny okrzyk:

– Kooooocham cię, żyyyycie!

Barbara nie namyślała się zbyt długo. Zrzuciła kapelusz z wielkim rondem, który założyła chwilę wcześniej, i poszła w ślady Vivianne. Tak jak ona, stała teraz na skraju pokładu i łapała wiatr we włosy, przy czym jej włosy (długie, gęste i świetliste) znajdowały się już wszędzie i zasłaniały Baśce cały widok. A ona czuła się wolna, jakby w ten prosty sposób pozbyła się wszelkich ograniczeń i ciężarów.

– Genialne! To jest genialne! – krzyczała z radością, jak dziewczynka.

– Prawda? Zawsze lubiłam to robić! – wołała Vivianne. – Philippe się ze mnie śmieje, ale mam to gdzieś. To jest niepodważalnie uwalniające. Krzycz, co chcesz!

– Co chcę?

– Tak! Bo musisz wiedzieć, kochana, że ja kieruję się w życiu jedną zasadą: Jeśli masz na coś ochotę i możesz, to musisz. Więc jeśli masz ochotę krzyczeć, a możesz, to krzycz. Krzycz na zdrowie!

Barbara stała i myślała nad odpowiednimi słowami, ale wszystkie wydawały jej się zbyt banalne, by opisać to, co działo się w jej głowie.

– No dalej, bądź jak Rose – podpowiedziała Vivianne.

– Jak Rose?

– Tak. Jak Rose z *Titanica*!

Baśka natychmiast zwizualizowała sobie niezapomnianą scenę z Leonar-dem DiCaprio i Kate Winslet w rolach głównych.

– Rose! Tak! Jak Rose! – Jeszcze szerzej rozwarła ręce, a po jej ciele przebiegł błogi dreszcz ekscytacji. – Tylko brakuje mi jakiegoś Jacka!

Z jedną ręką w górze, drugą nieudolnie próbowała okiełznać rozwiane włosy. I kiedy jej się to w końcu udało, omal nie straciła równowagi, bo oto tuż przed nimi, z luksusowego katamaranu, mieniącego się metalem i złotem, machał do nich nie kto inny jak on. Ten on, do którego przed laty wzdychała, i ten on, o którym bywało, że całkiem odważnie fantazjowała. I ten on, którego przed momentem przywołała oczami wyobraźni w scenie z dziobu *Titanica*.

– Jack! – wydarła się wniebogłosy. – Jaaack!

Mężczyzna nie zareagował.

– Jezusie Nazareński, przecież to... Leonardo DiCaprio – pisnęła Anka, stając u boku Baśki.

Inga od razu znalazła się obok nich i teraz we trzy, jak zwariowane mały-laty, jak *groopies* i szalone fanki, które aby zobaczyć swojego idola, wystają od świtu do świtu pod jego hotelem, machały w kierunku katamaranu, tnąc morską ciszę okrzykiem:

– Leeeeooo!

Mężczyzna w eleganckich bielusińkich bermudach, bez koszulki (ten widok zdecydowanie przyspieszył bicie serca każdej, naprawdę każdej z trzech przyjaciółek, bo tors Leo miał wyjątkowo kuszący, wydepilowany i cholernie zadbany), w okularach awiatorkach, przeczesał włosy jak w efekcie *slow motion* (albo tak im się wydawało), a potem spojrzął na nie znad okularów, wstał i... serdecznie, acz oszczędnym gestem im odmachął. Następnie powiedział coś do swojego skippera, na co tamten (też przystojny, i to jak!) wykonał manewr i katamaran ruszył nagle w ich stronę.

Anka oniemiała, Inga zaczęła gładzić włosy, a Baśka nerwowo poprawiać kostium.

– Na jaką cholerę ja zdjęłam kapelusz? – wycedziła przez zęby. – Przecież to nieodzowny element mojego plażowego wizerunku.

– Baśka, przecież ty świetnie wyglądasz! – wyszeptała Anka.

– Wiem, ale zawsze mogłabym lepiej!

– Jeśli to cię pocieszy – wtrąciła Vivianne – Leo ma dużą wadę wzroku. Nie widzi zbyt wyraźnie.

– Serio?

– Aha – potwierdziła z przekonaniem, choć szczerze mówiąc, nie miała bladego pojęcia, czy Leo miał jakkolwiek wadę wzroku, czy też nie.

Katamaran był już na wyciągnięcie ręki od katamaranu dziewczyn. Anka, Inga i Baśka z zapartym tchem, a Vivianne z miną świadcząca o tym, że nie jest to dla niej absolutnie nic niezwykłego, obserwowały, jak Leo podcho-

dzi do barku i wyjmując z niej litrową butelkę różowego moëta, po czym podaje ją Vivianne, szepcząc przy tym chyba coś żartobliwego, bo kobieta zaszczebiotała. Potem nagle spojrzął na Baškę, a ona wstrzymała oddech.

„Leonardo DiCaprio na mnie patrzy! Le-o-nar-do Jezusmariadicaprio!” – ekscytowała się zupełnie jak nie ona, bo przecież jej nie emocjonowały męskie spojrzenia. Faceci ciągle na nią patrzyli, a ona nie unikała ich wzroku nigdy. Ba! Karmiła się tym, że się gapili. Teraz jednak, gdy ten Leo na nią spoglądał, cała jej wyuczona pewność siebie się ulotniła, a ona dygotała na całym ciele. „Zachowaj spokój, bejbe! Tylko zachowaj spokój...!”

– Jaki on jest boski! – wyszeptała po polsku Inga.

– Obiektywnie boski – zawtórowała jej Anka. – Obiektywnie i zajebiście do kwadratu.

Baška milczała, wgapiając się jak zahipnotyzowana w aktora, który według niej był absolutnie najsmaczniejszą wisienką na hollywoodzkim torcie, niezdolna do wydania jakiegokolwiek dźwięku. Udało jej się dopiero wtedy, kiedy spod pokładu wyłoniła się olśniewająca niczym poranna bryza, zjawiskowa niczym gorejące na horyzoncie słońce dwudziestokilkuletnia blond piękność w kremowej zwiewnej sukni. Podeszła do Leo od tyłu, objęła go za szyję i cmoknęła w policzek.

– O kurwa! – wyrwało się Bašce.

Anka z Ingą spojrzały na nią wymownie. Blondie również.

– Jesteście z Polski? – odezwała się po angielsku.

Inga uśmiechnęła się pod nosem. Polski wulgaryzm przełamał barierę językową. Nie żaden tam bursztynowy świerzop, nie ogary, które poszły w las, a podwórkowe, ale jakże swojskie i wymowne „kurwa”.

– Zgadza się – potwierdziła Anka.

– Moja babcia była Polką. Urodziła się w Bydgoszczy. – Nieudolnie wymówiła nazwę miasta.

– Serio? – wymsknęło się Indze.

– Jak byłam mała i miałam jeszcze mysie włosy... – Blond piękność ściszyła głos i zasłoniła dłonią usta, zupełnie jakby palnęła głupstwo. – Nie

mówcie o tym Leo...

Uśmiechnęła się serdecznie i zrobiła gest, który jasno mówił, że jej obecne włosy na pewno nie są darem natury, tylko piękną doczepką. „Boże drogi, czyli jednak jest na tym świecie sprawiedliwość!”, pomyślała Barbara, dotykając swoich osobistych, najprawdziwszych, gęstych i na pewno niemysich włosów, błogosławiąc przy tym moment, w którym jednak zdecydowała się zdjąć kapelusz.

– W każdym razie spędzałam u mojej babci wakacje – ciągnęła partnerka Leo. – I chyba trochę znam wasz język. Jak sie maś? – dukała po polsku. – Chceś ciegoś? Poprosie cioś do pić.

– Świetnie ci idzie – powiedziała z uznaniem Inga, a dziewczyny potaknęły.

– Najlepiej oczywiście pamiętam to – ciągnęła radośnie blondi już po angielsku – czego według babci nie powinnam wcale znać. – Zaczęła wymieniać przekleństwa, zaczynając od tych subtelných, kończąc na najbardziej soczystych.

Dziewczyny się roześmiały i Vivianne też, choć zasadniczo nie miała powodu, gdyż nie rozumiała ich ani trochę. Leo w tym czasie rozmawiał ze skipperem, który po chwili wskazał na zbliżający się ku nim helikopter.

Aktor podszedł do blondi i szepnął jej coś na ucho.

– Paparazzi – rzucił na głos nieco zblazowanym tonem. – Od pierwszego dnia nie dają mi spokoju.

– Przykro mi, Leo – powiedziała Vivianne. – Gdybyś potrzebował prywatności, zapraszam do naszej rezydencji. Zawsze jesteś miłym gościem.

– Doceniam i... z pewnością skorzystam. Może nie tym razem, ale kiedy będę z Kate, z wielką chęcią.

Pożegnali się nad wyraz serdecznie. Leo skomplementował Vivianne i poprosił o przekazanie pozdrowień Philippe’owi. W stronę dziewczyn posłał swój filmowy nonszalancki uśmiech rodem z *Wilka z Wall Street*, odbierając całej trójce mowę.

Kiedy zniknął z pola widzenia, dziewczyny niemal jednocześnie wydały z siebie pisk.

– Vivianne, dlaczego nam nie mówiłaś, że go znasz? – zapytała Baśka, kiedy nieco ochłonęły.

– Z tego samego powodu, z którego nie mówiłam, że znam Kate Winslet, Roda Stewarta czy Michaela Bublę.

– Michaela Bublę...? Roda Stewarta...? – Anka nie kryła szoku.

– Kate Winslet? – wymyknięło się Indze. – Czyli kiedy on mówił o Kate, miał na myśli... Kate Winslet?

– Owszem. Oni się przyjaźnią od lat. Tak szczerze. Nie na pokaz ani nie dla interesów. Ja tam myślę, że świetna z nich para, ale oni się upierają przy tej przyjaźni. Kiedyś im przejdzie, ja wam mówię. I będą razem.

Dziewczyny jeszcze przez chwilę ekscytowały się nieoczekiwaną atrakcją rejsu, czyli spotkaniem z hollywoodzkim gwiazdorem, zgodnie uznając, że Leo jest jak wino, z upływem lat jeszcze ciekawszy i jeszcze bardziej odurzający.

– Gdybyście zobaczyły Mortena... – Vivianne westchnęła. – Ten też jest jak wino. I to z najlepszych lombardzkich winnic.

– Morten...? – Inga przełknęła ślinę. – Morten Harket?

– Aha.

– Aha czy A-ha?

– Jedno i drugie.

– Chyba mi słabo – jęknęła Inga. – Jeśli mi powiesz, że on też tu gdzieś jest, to niechybnie zemdleję. I ocuci mnie jedynie Morten. Ewentualnie Bono. I Jakub.

Rozdział 12

Przychodzi czasem taki poranek, kiedy budzisz się z głębokim przeświadczeniem graniczącym z pewnością, że tego dnia wydarzy się coś, co zmieni twoje życie na zawsze. Czasem zdarzają się takie dni, w których nic się nie udaje, zupełnie jakby układ planet, los, demiurg czy inny zewnętrzny sprawca wszystkich nieszczęść ludzkich obrał sobie za cel unicestwienie marzeń konkretnej jednostki. A czasem wszystko idzie jak z płatka, układa się elegancko niczym zakładki na świeżo uprasowanej sukience. Jak gdyby wszechświat chciał łagodnie pogłodzić człowieka po głowie i powiedzieć: „Na luziku. Dasz sobie radę”.

Inga Winter nie wierzyła ani w astrologię, ani w inne tego typu rzeczy, a jeśli chodzi o sprawy duchowe, jakiś czas temu przestała je głębiej analizować, uznawszy, że człowiek i tak nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. I z tego założenia czerpała względny spokój ducha. Tego ranka jednak nie wiedziała, jakim kolorem zagra życie. Dlatego z lubością i pełnym przekonaniem postanowiła oddać się wszystkim atrakcyjnym relaksacyjnym, z których jeszcze nie korzystała, a które oferował hotel Golden Waves na Martynice.

Rzuciła rozespanym okiem na godzinę w telefonie. Spała bite osiem godzin. Po powrocie z rejsu zasnęła w kilka sekund – nie zdążyła nawet odzwonić do Jakuba, który odzywał się do niej w okolicach czternastej. Cóż, musiał jej to wybaczyć. Postanowiła, że dzisiaj się z nim skontaktuje, poza

tym miała ochotę trochę pomalować – zapowiadał się więc dzień doskonały, chillujący, na który najzwyczajniej w świecie zasłużyła.

Po szybkim prysznicu wyszła na taras i znad basenu spojrzała na spokojny, turkusowoniebieski ocean. Wiele by dała, by uzyskać taki kolor na papierze do akwareli. Może z połączenia jasnej, żywej zieleni i błękitu pruskiego? Jej redaktorska strona kazała jej natychmiast to sprawdzić. Inga wzięła swój zestaw akwarelek, aktywowała oba kolory wodą i po chwili, ostrożnie, skraplając zielenią, doprowadziła do efektu, na jakim jej zależało. Zmoczyła papier i pociągnęła pierwszą warstwę farby. Wyglądało znakomicie; nie mogła jednak zwlekać zbyt długo ani kontemplować dzieła, bo słońce działało błyskawicznie i wysuszało farbę. Inga rozcieńczyła żółć i po chwili pod bezkresem oceanu pojawiła się łacha piasku. Pomiedzy brzegiem a wodą pozostała cienka, nierówna linia bieli papieru. Inga lubiła te przestrzenie nietknięte farbą; były szansą na niedopowiedzenia, pozwalały patrzącemu na samodzielne wypełnienie obrazu treścią – tak przynajmniej traktowała je Inga. Kochała malowanie akwarelami za brak czasu na opieszałość, na refleksje w trakcie – na to przychodził moment później, gdy obraz już wysechł, a kolory szły w samodzielnie obranym kierunku.

Światło na zewnątrz było już za ostre, by zrobić dobrej jakości zdjęcie, więc Inga zabrała obrazek do salonu i tam go sfotografowała, a następnie wrzuciła na swoją stronę w social mediach. W górnym prawym rogu ekranu migąło powiadomienie. Kliknęła i jej oczom ukazało się selfie, jedno z wielu, jakie poprzedniego dnia zrobiły z dziewczynami na katamaranie. Ze zdjęcia uśmiechały się radośnie Anka, Inga i Baśka, ta ostatnia w swoim gigantycznym ufo-kapeluszu. Każda z nich została oznaczona z imienia i nazwiska, a pod zdjęciem widniał podpis dodany przez Ankę: „Najpiękniejsze kobiety zasługują na najpiękniejsze plaże!”, i lokalizacja: Martynika.

Inga potarła dłonią policzek. Wychodzenie poza strefę komfortu było trudne, ale może nadszedł czas, by zrobić kolejny krok? Mogła albo umieścić zdjęcie również na swoim profilu malarskim, albo nadal pozostawać w cieniu, chowając się za swoimi obrazami. Wzięła głęboki oddech.

„Nie z takimi rzeczami już przyszło mi się mierzyć” – pomyślała. „Przećcież... jakoś to ogarnę!” Poza tym fotka i tak już wleciała do sieci, a co raz pojawia się w sieci, nigdy się z niej nie wydostanie, jak podawała ludowa mądrość internetu.

Pierwszy na jej profilu zaserduszkował zdjęcie Jakub, kiedy rozluźniona leżała na wielkim łóżku do masażu, a dziewczyna imieniem Amaretta maltretowała sprawnymi palcami jej łydki. „Najpiękniejsze!” – napisał Kuba pod fotografią. Inga westchnęła i odłożyła telefon. Niby pisał, że najpiękniejsze, niby wszystko fajnie, ale jednak zero konkretów, wyznań, deklaracji. Zero. Dupa blada.

Wzięła ponownie telefon i wystukała na bejbesowym czacie: „Po śniadaniu plaża? Proszę. Muszę opalić tyłek”.

Nie czekała długo na odpowiedź. Baśka odpisała: „Sugeruję nudeski. Znaczy plażę, plażę nudystów”. Po chwili pojawiła się wiadomość od Anki: „Żadnych nudystów, pliz! Ale klasycznie w gatkach i pod palemką, owszem, co to, to tak!!!”. „Jestem dogłębnie za!” – odpisała Inga i zsunęła się z łóżka do masażu.

Po półgodzinie, solidnie napojone wodą z cytrusami i nakarmione toną owoców zmierzały równym krokiem ku plaży, za którą przez noc zdążyły się już stęsknić. Wyjątkowo milcząca Barbara w jasnym bikini i swoim niezawodnym kapeluszu rzucała szeroki cień na okolicę; Inga i Anka, odziane w kolorowe pareo i chustki na głowach, rozmawiały o wyprawie katamaranem i o planach na kolejny dzień.

– Ja to bym chętnie powtórzyła taki rejsik – westchnęła Anka. – Może jutro? Co o tym myślicie? I zgarnęłybyśmy Mariankę, bo zdaje się, że zapowiada jej się luźniejszy dzień.

– Tak! Byłoby ekstra! – podeksycytowała się Inga.

– Fakt, bo Marianka ma teraz totalne urwanie głowy. Za chwilę sylwester, dziś niektórzy goście wyjeżdżają... A zaraz po nich ma się zjawić druga tura, z czego część ludzi specjalnie na warsztaty do wielebnego. Chyba niektórzy z nich już nawet dojechali, bo w holu widziałam stosy bagażu. Żal mi trochę tej mojej siorki. Zarobiona jest.

– Ale to lubi i wydaje się szczęśliwa.

Ania pokiwała głową.

– Też tak myślę. Jest szczęśliwa – powiedziała z przekonaniem, po czym dodała: – Ale i tak z nią pogadam, żeby zrobiła sobie wolne chociaż na trzy godzinki.

Przez chwilę szły w milczeniu, Barbara dystygowanie, Anka nieco okłapała, a Inga pogrążona we własnych myślach. Nagle Inga zatrzymała się gwałtownie.

– O rany, chwila! – Zaczęła szukać czegoś w torbie plażowej. – Na śmierć zapomniałam! – Spojrzała nieprzytomnie na przyjaciółki. – Muszę wrócić na moment do hotelu. Ale wy już idźcie, okej? Dołączę do was, spotkamy się przy barze.

I pognała z powrotem w kierunku swojego apartamentu.



Inga wygrzebała z szuflady szafki nocnej swoje krople do oczu, bez których ostatnimi czasy nie dawała rady funkcjonować, i po raz trzysta dwunasty w tym miesiącu obiecała sobie, że po powrocie do Polski zapisze się na wizytę kontrolną do okulisty. Soczewki kontaktowe przy jej trybie pracy były wybawieniem, ale suche spojówki nie dawały życia. Zaopatrzyła się więc w apteczkę w krople, te jednak pomagały tylko doraźnie, a nie długofalowo.

Wpuściła do oczu po kropli i zamrugała. Po kilku sekundach świat odzyskał ostrość. Inga zamknęła w dłoni buteleczkę i wyszła z willi.

W holu budynku głównego rzeczywiście piętrzył się stos walizek. Inga minęła je i już miała wyjść z powrotem na ciepłe martynikańskie słońce, gdy nagle poczuła znajome – tak cholernie, piekielnie, obrzydliwie dobrze znajome – nuty perfum. Tych perfum. Perfum, których nie miała prawa już nigdy, przenigdy czuć. Perfum jej byłego męża, Adama, od którego

uciekła z Nowego Jorku. Zamarła, a na jej klatkę piersiową gwałtownie spadł ciężar podobny gabarytem do fortepianu.

„Niech to będzie tylko złudzenie” – pomyślała. „Błagam”.

Obróciła się na pięcie i wróciła do domku. Starannie zamknąwszy za sobą drzwi, wpełzła do łóżka, nakryła głowę kołdrą i czekała, aż demon, który teraz już zupełnie przestał się krępować, lecz poszedł na całość i chichotał jej raz do jednego, raz do drugiego ucha, skończy się z nią droczyć i wyleje jej prosto na głowę całe wiadro wstrętnych niespodzianek.



Po mniej więcej godzinie, kiedy już zrobiła wszystkie ćwiczenia oddechowe, jakie zaleciła jej terapeutka w razie napadów paniki, nadal była w nie najlepszym nastroju, ale postanowiła wyleźć z łóżka i poszukać dziewczyn. „Jest całe mnóstwo podobnych zapachów, Inga” – huczały jej w głowie słowa terapeutki. „A twoja wyobraźnia płata ci figle. Pomogę ci nauczyć się unikać wikłania w stare schematy myślowe. Nie doszukiwać się wszędzie zagrożeń. Ich już nie ma”.

Poszła do łazienki opłukać twarz chłodną wodą, po czym poprawiła włosy i ponownie zawiązała na nich chustkę, która w trakcie sześćdziesięciominutowej pościelowej sesji całkiem się zsunęła. Popatrzyła sobie w oczy.

– To się musi zmienić, Inga. Ty się musisz zmienić – powiedziała do siebie. – Jesteś w pięknym miejscu, z ludźmi, którzy są ci życzliwi. Zrobiłaś już tyle kroków naprzód. Może dziś pora na kolejny?



Dziewczyny zdążyły jej wysłać kilka informacji o zmianie lokalu, gdyż w barze „chwilowo skończyły się te dobre soczki”. Teraz czekały na nią niedaleko namiotu wielebnego, przy miejscu na ognisko, gdzie stacjonowało kilka foodtrucków z lokalną kuchnią. Leżały na wygodnych leżakach pod parasolkami, ogryzając owocowe szaszłyki.

– No, bejbe! Jesteś nareszcie! Już myślałyśmy, że porwał cię jakiś uroczy karaibski tubylec, żeby wziąć na przejażdżkę po okolicy! – zawołała Barbara, ścierając sok z palców.

– Baśce prawie się to zdarzyło – parsknęła Anka – ale jak tylko zobaczyła, czym miałyby być po tych pięknych okolicach obwożona, to prawie się na biedaka obraziła. Gdybym jej nie powstrzymała, dołożyłaby mi dodatkową sprawę do umorzenia. O naruszenie nietykalności cielesnej torebką od Gucciego.

Baśka przewróciła oczami.

– Bo w zupełności wystarczy mi perspektywa powrotu na lotnisko tym Lutkowym jeepem. Inne jeepy szanuję niemal w równym stopniu co ten Lutka, ale obiecałam sobie, że nie wsiądę tu już do żadnego, który miałby w ofercie jedynie opcję niewygody.

Inga się uśmiechnęła.

– Zamówię sobie jakiś sok i zaraz do was wrócę.

Po kilku chwilach, już z zimniutkim sokiem z ananasa i mango, rozłożyła się na sąsiednim leżaku z widokiem na ocean oraz płachtę namiotu, w którym niechybnie urzędował wielebny, bo przed wejściem kłębiło się kilka osób odzianych w wygodne stroje.

– Jezu, jak tu pięknie – westchnęła. – Właściwie tak mogłyby wyglądać już kolejne dni, prawda? Nic, tylko popijanie soczków, patrzenie na ocean, może jakieś drobne atrakcje, a wieczorem tańce na parkiecie przy plaży. No nie obraziłabym się za takie zakończenie roku. Co to, to nie!

Anka spojrzała na nią zza okularów przeciwsłonecznych.

– Nic z tego, bejbe. Zanim przyszłaś, Barbara już zdążyła nas uziemić.

Inga nabrała głęboko powietrza i głośno je wypuściła. Obawiała się, że wie, co kryło się za słowami przyjaciółki.

– Uuuzieemiiić? – zapytała, przeciągając samogłoski. – Baśka, coś ty znów wymyśliła?

Barbara dojadła dystyngowanie resztę owocowego przysmaku, po czym wytarła ręce w nawilżany ręczniczek.

– Ależ zupełnie nic. Samo przyszło. A w zasadzie to przyszedł. Wielebny znaczy. Za dwadzieścia minut rozpoczynamy warsztaty z samopoznania. Wszystkie. Już nas oficjalnie zapisałam. Po tych chorych akcjach z Bolesławami potrzebuję kompletnego oczyszczenia, nie tylko zewnętrznego. Wiecie, ile mnie to kosztowało? – Otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Sugerowałam nawet Marianne, żeby spaliła tę pościel, na której szanowny pan prokurator raczył się rozkraczyć... – Zmarszczyła brwi w wyrazie dezaprobaty. – Ale nie podjęła rękawicy. Niemniej – kontynuowała, wyciągając z torebki podręczne lustro i przeglądając się w nim – wczoraj po powrocie z rejsu ucięłam sobie krótką pogawędkę z Arystotelesem i nie powiem, zachęcił mnie. Tak więc, moje drogie, czeka nas całkowita ablucja wewnętrzna. Tylko my, kilkoro nieszczęśników, wielebny Apostolakis i otwierające się czakry.



Arystoteles Apostolakis stał pośrodku kręgu, w którym siedziało kilkanaście osób, kilka z nich zupełnie dziewczynom nieznanymi. Musieli to być nowi goście hotelu Lutka i Marianki. Anka przyglądała się uważnie każdemu kursantowi, starając się po mikrogestach i mimice twarzy odkryć i przeanalizować intencje, które go tu przywiodły. Po paru mniej lub bardziej zabawnych wnioskach, jakimi cholernie chciała się podzielić z Ingą (między innymi na temat faceta, którego ewidentnie ściągnęła tu żona, a który miał wyraźne problemy gastryczne, lecz za wszelką cenę starał się je zamaskować), popadła w przyjemny letarg, bo Apostolakis może i był

specyficznie irytujący, lecz nie można mu było odmówić kojącego tembru głosu.

Inga starała się utrzymać względny spokój myśli i nawet całkiem jej się to udawało. Niewielką frustrację wywoływał w niej tylko fakt, że wielebny według niej gadał głupoty tak straszne, iż jedyne, co jej się mogło otworzyć, to okno w samolocie, gdyby akurat jakimś leciała, i to wyłącznie po to, by mogła przez nie wyskoczyć. Złapała się na tym, że zaczyna myśleć o powrocie do hotelu, zakotwiczeniu w spa lub nad basenem i malowaniu, relaksie, pogaduchach z dziewczynami w jacuzzi. Albo mogłyby pójść na spacer! Martynika oferowała tyle cudownych atrakcji! Jak więc do tego doszło, że kisiły się w namiocie z kilkunastoma wyraźnie zafascynowanymi wielebnym osobami, słuchając jego wynurzeń?

– Najbliższym schronieniem dla człowieka jest jego własne ciało – mówił Arystoteles, a Inga, o dziwo, w tym konkretnym przypadku musiała przyznać mu rację. – Otwieranie się na jego potrzeby stanowi więc element samozaopiekowania się. W naszym ciele istnieje siedem ośrodków energetycznych, tak zwanych czakr...

Inga machinalnie zacisnęła szczęki, a Anka położyła jej uspokajająco rękę na kolanie i skinęła w stronę Baški. Barbara Kochańska słuchała niezwykle uważnie, bez cienia ironii na twarzy. Inga posłała Ance zdziwione spojrzenie, a Anka przewróciła oczami.

– Energia wiruje w naszym ciele – kontynuował tymczasem wielebny – i ma wpływ na całe nasze życie. Ciało jest więc swoistym instrumentem...

Inga pochyliła się w stronę Anki.

– Jeśli moje ciało to instrument, to dziś jestem całkiem wyluzowaną wiolonczelą – powiedziała szeptem, na co Anka parsknęła śmiechem.

Wielebny rzucił im uważne spojrzenie.

– Czakra serca reprezentuje współodczuwanie i miłość. Z czym niektórzy ewidentnie mają problem. Zwłaszcza z tym pierwszym – dodał cierpko.

Inga zrozumiała, że to prywatna wycieczka w jej stronę. Jednak ku jej własnemu zdziwieniu, za bardzo jej to nie obeszło.

– Niekiedy trudno nam zrozumieć emocje innych, bo swoje własne spychamy gdzieś na margines, bardziej bądź mniej świadomie.

I właśnie wtedy, w tym momencie, Inga postanowiła, że wytrzyma. Przetrwa. Wysłucha. I co najważniejsze – przetrawi. Dawna Inga zapewne stwierdziłaby, że żaden przebieganiec nie będzie jej wytykał, że nie jest empatyczna, że nie mówi otwarcie o emocjach i w ogóle to nie ma prawa jej oceniać. Jednak nowa Inga, która się w niej budziła, nagle podjęła decyzję, że posłucha dalej. Że stanie się bardziej otwarta. I zamiast zerwać się na równe nogi i stanowczym krokiem wyjść z namiotu, a nawet trzasnąć zasłoną, siedziała na swoim miejscu. Uważna. I bardzo spokojna.



Wracały do hotelu, paplając o wielebnych i cytatach, które wylosowały na koniec pierwszych warsztatów.

– Mój był w punkt – stwierdziła Anka. – „Niech ten dzień będzie pierwszym na drodze do lepszego życia”.

– Nie widziałas mojego – wtrąciła Inga. – „Każda droga kiedyś się kończy. A potem zaczyna się nowa”.

– Ach! – westchnęła z zachwytem Baśka. – Mówiłam wam, że wielebny zna się na rzeczy.

– Chyba się do niego przekonuję. – Inga cmoknęła. – Choć niebios mi świadkiem, że wcale tego nie planowałam.

Roześmiały się, gdy Inga przystanęła gwałtownie.

– Potrzebuję masażu tyłka! – zawyrokowała, zupełnie bez związku z niczym. – Porządnego masażu tyłka.

– Mnie dwa razy powtarzać nie trzeba! – odparła entuzjastycznie Baśka. – Jestem absolutnie za. Wymasowany tyłek to podstawa dobrostanu, wellbeingu czy czego tam wolicie. U każdej kobiety. Powiedz tylko, kiedy sobie życzysz tej dobroczynnej usługi.

– Teraz – oznajmiła Inga stanowczo. – Nigdy nikt mi jeszcze nie wyma-
sował tyłka, bo zawsze się wstydziłam. A ja już nie chcę być tą zamkniętą
w sobie Ingusią. Nie chcę taka być, do cholery! Chcę się otworzyć na nowe.
Tak mi dopomóż wielebny i wszystkie czakry świata!

Anka parsknęła śmiechem.

– Ale... Co to dokładnie oznacza?

Inga spojrzała na przyjaciółki z błyskiem w oku.

– Na dobry początek to, że idziemy teraz do spa. Ducha odnowił nam
wielebny. Jednak na ciało potrzebuję zdecydowanych rąk Armanda! Albo
Amaretty. Wszystko mi jedno, o!



Po cudownie długich trzech relaksujących godzinach w spa, które dziew-
czyny poświęciły na masaż karaibski, następnie kobido, a na koniec dopra-
wiły to biczami wodnymi, wróciły do hotelu i wskoczyły do jacuzzi.

– Czy to było to, czego mi trzeba? – westchnęła Inga. – Bardzo moż-
liwe... A nawet pewne. Jutro robimy powtórkę! Bezdyskusyjnie. Może być
nawet po tej szalonej sesji z wielebny. Muszę przyznać, że całkiem nie-
głupio dzisiaj gadał...

– Prawda? – podekscytowała się Baśka. – Też mi się podobało... Zwłasz-
cza ten fragment o uzdrawianiu ducha poprzez uzdrawianie ciała. Nawet nie
wiedziałam, że od lat to praktykuję!

Anka się przeciągnęła.

– O tak! To zdecydowanie jedna z tych metod, które wyjątkowo do mnie
przemawiają. Brakuje mi tylko... Nie, w sumie to niczego mi nie brakuje. –
Leniwie rozejrzała się wokół. – Jest idealnie!

– A mnie owszem, brakuje jednej rzeczy – zaczęła Inga. – Bo ja to bym
się teraz chętnie napiła jakiegoś dobrego drinka – wyjaśniła. – Czuję, że jest
co świętować. Jakbym właśnie zaczęła życie...

Baśka uniosła brwi.

– Ale że prawdziwego drinka? Takiego z procentami?

– Tak, z procentami. I niech będzie ich dużo! Potrzebuję celebrować ten moment na całego. Bo mam wrażenie, że kolejny raz coś się w moim życiu zmieniło. Że jest o wiele lepiej.

Baśka patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Bogini mi świadkiem, że takich rąk masujących nie doświadczyłam ani w Paris, ani w Dubaju, i wiem, że masaże działają cuda, ale, bejbe... Skąd ta nagła zmiana, bo chyba nie po spa? Mów Basjuni natentychmiast, co się dzieje w twojej pięknej, utalentowanej głowce. Może ja nie wyglądam, ale ja czuję. Ja naprawdę czuję, że ty coś ukrywasz. Bo my to przed tobą jak otwarte książki, kochana – skłamała.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że to ona, i to od zawsze, skrywała tajemnice.

Inga wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie dało się ukryć, że od początku tego wyjazdu było mi ciężko. Bliskość Nowego Jorku, wkurzający wielebny, wspomnienia... No i trochę tęsknię za Kubą. – Zaczerwieniła się. – A potem ten obraz się sprzedał i...

– Czekaj, czekaj, kochana, bo mi percepcja siada. – Anka zmarszczyła brwi. – Zmartwiła cię sprzedaż obrazu? Dlaczego? Przecież to wspaniała wiadomość.

– No niby tak. – Inga spojrzała na przyjaciółkę. – Ale kupił go ktoś stąd. Znaczący ze Stanów, z Nowego Jorku konkretnie. I ja zaczęłam sobie wkręcać, że z jakiej paki ktoś z tego Nowego Jorku miałby śledzić jakąś początkującą akwarelistkę z Polski, która ledwie co w tej branży od ziemi odrosła.

– I zaczęłaś myśleć, że to na pewno ktoś z twojej... przeszłości, tak? – Anka uaktywniła swoje prokuratorskie skille. – O to chodzi?

Inga kiwnęła głową.

– Dokładnie tak myślałam. Mało tego, ja to sobie za wszelką cenę próbowałam udowodnić. Ale po zaliczeniu kolejnego dołka zracjonalizowałam to sobie i upewniłam podczas warsztatów z Apostolakisem. – Pokręciła

głową. – Uwierzycie? Z Apostolakisem, którym w czasie przeszłym gardziłam. Na tych warsztatach zrozumiałam, że to, co powtarzała mi moja terapeutka: że całe to moje dopatrywanie się złych omenów dnia codziennego jest wynikiem głęboko skrywanych lęków i nie ma żadnych rozumowych podstaw. – Westchnęła. – Ja po prostu po wyjściu z jaskini ledwo nadążam. Przez ostatnie pół roku strasznie dużo się działo. I przyznajcie, że całkiem nieźle dawałam sobie radę...

Dziewczyny kiwnęły głowami.

– Aż nastąpił zjazd – ciągnęła. – I to akurat tutaj, w tych pięknych okolicznościach przyrody. Staralam się was tym nie obarczać, nie pokazywać tego, co mnie w środku gryzło. Jesteśmy przecież na wakacjach. No i sprawa Ani z szefem była priorytetem, ale ja w środku kisałam.

– Inguś... – wyszeptała serdecznie Ania.

– Ale... – Inga uśmiechnęła się najpierw oszczędnie, a po chwili całkiem szeroko. – Teraz idzie nowe! Czuję to! – Wykonała chaotyczny gest rękami. – To oficjalnie absolutny koniec mojego starego życia! Koniec i już!

Spojrzała na przyjaciółki roziskrzonym wzrokiem.

– Jeszcze tylko jakiś moment inicjacji by się przydał. Wiecie, jak w tych wszystkich siostrzanych bractwach. I mogę jechać z tym życiem na pełnej petardzie, o!

Baśka wysunęła się z jacuzzi.

– No to ja, kochana, już wiem, jak temu zaradzić! Tylko daj mi chwilę, zamówię nam wiadro margaryty i eleganckie kieliszki z dostawą do jacuzzi. A nie wiecznie te Ti’Punche w słoikach...

Rozdział 13

O bogini, daj mi dostatecznie dużo kawy, bym mogła zmienić rzeczy, na które mam wpływ, i dostatecznie dużo wina, bym zaakceptowała te, których zmienić nie mogę.

Po kilkunastu minutach w żyłach Ingi, Anki i Baśki płynęła już szerokim strumieniem margarita – przepyszna, nieco kwaśna, idealnie zmrożona, popijana z trójkątnych kieliszków.

– I takie inicjacje to ja rozumiem – stwierdziła z zadowoleniem Inga, sącząc kolejną porcję napoju. – Nawet bez wstydliwych zadań do wykonania.

– Do zadań jeszcze dojdziemy. – Baśka odstawiła kieliszek. – Ale najpierw musisz ostatecznie sfinalizować etap nowojorski. Możemy na przykład coś spalić. Zakopać. Albo nawet lepiej: pogrzebać.

– Tylko co? – zastanowiła się Anka. – Zgodnie z prawem grzebanie zwłok poza cmentarzem jest możliwe wyłącznie w katakumbach. I tu pojawiają się dwa poważne problemy: zdaje się, że na Martynice nie ma żadnych katakumb. No i nie mamy pod ręką żadnych zwłok.

– Akurat ten drugi problem dałoby się łatwo rozwiązać – stwierdziła Inga. – Ale skoro względnie zaakceptowałam Arystotelesa Apostolakisa, to może jednak mu odpuszczę.

Anka parsknęła.

– Umie zirytować, ale trzeba przyznać, że w kilku sprawach ma skubany rację...

Milczały, sącząc drinki. Nagle Inga z brzękiem odstawiła kieliszek.

– Ma! I to cholerną!

Baśka uniosła pytająco brwi.

– Pamiętacie, jak mówił o otwieraniu się ze swoimi emocjami? – tłumaczyła Inga. – Że trzeba z siebie wyrzucać te nieprzyjemne i trudne, aby udroźnić przepływy energii i tak dalej. No to może... – zawahała się. – Może właśnie nadszedł czas, by wypluć z siebie tamte emocje. Te nowojorskie. Na zawsze. I je elegancko pogrzebać. Bogini mi świadkiem, że osobiście rzucę na nie pierwszą garść ziemi.

Anka wykonała zachęcający ruch ręką.

– Dawaj, kochana. Forma nie ma znaczenia.

Inga milczała dłuższą chwilę.

– Chyba jednak ma – stwierdziła w końcu. – Jest na to jeden jedyny sposób. Łatwy i trudny jednocześnie.

– Czyli jaki?

– Po prostu o wszystkim wam opowiem. Absolutnie o wszystkim.

Zapadła cisza. Barbara i Anka wymieniły spojrzenia.

– Czujemy, że ciągle coś przed nami chowasz – powiedziała Anka łagodnie. – Ale nie chciałyśmy naciskać. Ten argument o niezgodności charakterów, o której nam kiedyś mówiłaś w kontekście rozwodu, nie bardzo do nas trafił. Poza tym ja dobrze wiem, Ingusia, jak to jest. Ja też wolę dusić w sobie emocje. Taki mam wdrukowany schemat. „Nie zadreńczaj innych swoimi problemami, radź sobie sama, nie przesadzaj”. Ale po akcji z Damianem zrozumiałam, że tak się nie da. Zresztą sama mi to uświadomiłaś. Czasem trzeba sobie wypruć flaki, wyrzygać, co boli... Najpierw jest mocno nieprzyjemnie, za to potem o wiele łatwiej. Więc dawaj. Mów, co cię gniewa.

Baśka pokiwała głową.

– Otóż to, bejbe. A ja zamówię nam dzban kawy. I jakieś zarcie. Na zdrowy żołądek i utulony umysł.



– To się zaczęło jak w starym, dobrym romansie. – Inga ujęła w dłonie kubek z parującą kawą i przez chwilę wdychała jej zapach. – Ostatnia niedziela czerwca, z nieba lał rzęsisty deszcz, a ja jak zwykle nie miałam parasola. Całkiem mokra wpadłam do bramy kamienicy niedaleko placu Wolności i... stanęłam jak oniemiała. Na ścianach i sufitach, wszędzie... Były przepiękne secesyjne malowidła. Ale takie, że mi aż zaparło dech. Słoneczniki, irysy, róże... I do tego te sztukaterie. Stałam i gapiłam się na nie, kompletnie zapomniawszy o tym, że jestem przemoczona do suchej nitki, że jest mi zimno... I wtedy ktoś na mnie wpadł, tak gwałtownie, że prawie mnie przewrócił. Prawie, bo w ostatniej chwili mnie podtrzymał i wtedy spojrzałam mu w twarz. To był Adam. Adam pachnący cytrusami i piżmem. Adam patrzący na mnie jak Rick na Ilse w *Casablance*. Adam, boski i zniewalający. Wydawało mi się to zabójczo romantyczne, aż niemożliwe, nierealne. Pamiętam, jak pomyślałam wtedy, że w końcu coś mi się przytrafiło. Coś dobrego. Wiem, to głupie tak myśleć zaledwie po spojrzeniu, po dotknięciu, ale naprawdę tak właśnie miałam. Te jego oczy... Ciemne, błyszczące, z maleńkimi iskrami złota. Natychmiast zamarzyłam, żeby kiedyś uzyskać taki efekt na płótnie. – Inga na chwilę zamilkła, a dziewczyny patrzyły na nią wyczekująco. – W końcu się odezwał. – Inga pogładziła kciukiem uszko kubka. – Po angielsku. Przeprosił, bardzo szarmancko. I, no wiecie... Ten deszcz, te malowidła na ścianach i suficie, jego oczy, szorstkość swetra, który miał na sobie... Wszystko to sprawiło, że przepadłam. Natychmiast.

Anka i Baśka mruknęły ze zrozumieniem.

– Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że przyleciał do Polski w interesach. Zaproponował mi spotkanie. A ja byłam wtedy świeżo po zdjęciu żałoby po mamie. – Inga westchnęła. – Zgodziłam się. Po tym, jak zabrał mnie na kilka randek do szalenie ekskluzywnych restauracji, po których szliśmy nad Wartę i tam siedzieliśmy prawie do rana z butelką wina, pomy-

ślałam, że to jest chyba to. Że to mnie jakoś może uratować. Że dzięki tej relacji wyrwę się z życia smutnej, niespełnionej studentki, której przedwcześnie zmarła mama. Więc kiedy Adam zaproponował mi, żebym pojechała z nim do Stanów... – Umilkła. – Zgodziłam się bez wahania – dokończyła po chwili. – Bo mimo że wcześniej nie imponowali mi mężczyźni z pieniędzmi, on był inny. Miał gest, a jednocześnie nie bał się pobrudzić drogich spodni na mokrej od rosy trawie. Był władczy i wrażliwy jednocześnie. Stanowczy i spełniający zachcianki, zanim wypowiedziałam je na głos.

Inga odłożyła kubek na stolik i podkuliła nogi. Spojrzała na swój palec serdeczny, na którym ani nie lśniła obrączka, ani nie błyszczał pierścionek zaręczynowy. Ani w ogóle nic.

– Więc się spakowałam i poleciałam – powiedziała. – Zaraz po przylocie do Nowego Jorku zamieszkaliśmy razem, w apartamencie Adama na Staten Island. To było jak baśń: ja byłam sierotą, którą książe wyrwał z biedy i której ofiarował nowe życie. Adam miał wielkie grono majątnych znajomych, z którymi spędzaliśmy weekendy na jachtach i w klubach. I zarabiał tyle, że wcale nie musiałam pracować. Przez moment nawet tak żyłam. Tyle że z czasem poczułam, że bycie utrzymanką nie jest dla mnie. Mama nauczyła mnie niezależności.

– I wróciłaś do malowania?

Inga przytaknęła.

– Tak. Wtedy właśnie powstało kilka moich akwarelek z cyklu nowojorskiego. Adam obiecywał, że zorganizuje dla mnie wernisaż w galerii swojego przyjaciela, tylko muszę namalować trochę więcej. A potem nagle ta galeria niby upadła, a ja znów porzuciłam pędzle... Wtedy Adam zaproponował, żebym pracowała z nim. Był właścicielem sieci biur zajmujących się wynajmem nieruchomości dla wielkich firm. Robił na tym potężne pieniądze. Miałam zostać jego asystentką, bo dotychczasową postanowił zwolnić. Już to powinno mi być dać do myślenia. Zresztą, było całe mnóstwo innych *red flags*. Ale nawet jeśli z tyłu głowy pojawiły się jakieś wątpliwości,

Adam skutecznie je zagłuszał. Oświadczył mi się po niecałym roku znajomości. A ja byłam zakochana po uszy, więc powiedziałam „tak”.

Przypomniała sobie ślub i bardzo huczne przyjęcie weselne, które urządzili (a raczej zrobiła to za nich wynajęta przez Adama powszechnie pożądana firma weddingplanerska) na dachu jednego z wieżowców na Manhattanie. Było bogato, ekskluzywnie i na poziomie. Zaprosili wielu gości, jednak nikogo od niej. Babcia nie mogła przylecieć ze względu na bardzo zły stan zdrowia, a reszta dalszej rodziny jakoś nie bardzo się kwapiła do podróży za ocean. Ostatecznie Inga machnęła na to ręką. Miała przecież Adama. On teraz był jej rodziną.

– No i się pobraliśmy. Pierwsze lata naszego małżeństwa były wspaniałe. Co roku egzotyczne wakacje, jachty, apartamenty... Dobrze nam się żyło, tak w zasadzie to bez większych zobowiązań. A potem mój mąż stał się bardziej nerwowy i opryskliwy. Wściekał się o bzdury, zdarzało mu się czymś rzucić. Kiedy próbowałam z nim o tym rozmawiać, denerwował się jeszcze bardziej i wychodził, trzaskając drzwiami. A gdy wracał, przeproszał i dawał mi kwiaty, prezenty. Tłumaczył, że wykańcza go praca. Generalnie nie działało się nic, czego byście nie znały z życia, kina albo literatury. Można by z tego nakręcić niezły kliszowy dramat obyczajowy.

– Zdradzał cię?

– Nie. – Inga pokręciła głową. – Ale w pewnym momencie zorientowałam się, że mnie okłamuje w sprawach firmy. Nie groziła nam żadna upadłość, wręcz przeciwnie, z roku na rok firma zarabiała coraz większe pieniądze. Tylko że pochodziły z coraz dziwniejszych źródeł. Tam ewidentnie coś śmierdziało. Podejrzewałam, że prał kasę, ale gdy zapytałam go o to wprost, zaprzeczył. I oczywiście wyszedł z domu. A gdy wrócił, był pijany w sztok. Ten raz przebolełam, nawet go tłumaczyłam. Ale potem... Wracał pijany coraz częściej, kilka razy w tygodniu. W weekendy najbardziej. Targałam go z taksówek i uberów, wstydząc się przed obsługą naszego apartamentowca. Wielki pan prezes i jego zadbana żona taszcząca śmierdzące alkoholem zwłoki... – Inga urwała gwałtownie, jakby to ostatnie słowo wypowiedziała zbyt pochopnie. – Aż upewniłam się, że Adam nigdy nie prowa-

dził interesów z kryształowymi ludźmi. A ci niekryształowi – uśmiechnęła się cierpko – upomnieli się o swoje. Znalazłam u Adama mnóstwo podejrzanych papierów, dziwne faktury. Zaczął zamykać swoje szafki na klucz i znikał na dzień, dwa, nawet na tydzień. Pewnego razu zauważyłam, że jeździ za mną czarne auto. Charakterystyczne, o matowym lakierze. Ci ludzie... Nazwijmy ich windykatarami... Oni chcieli być widoczni, chcieli, żeby wiedziała o ich obecności. I żeby się bała. Poza tym pewnie sądzili, że w ten sposób wpłyną na Adama. Udało im się tylko to, że naprawdę zaczęłam się bać. Nie tylko ich, ale też własnego męża.

Zacisnęła powieki, przypominając sobie te wszystkie chamskie, złośliwe odzywki i brutalne poszarpywania, na jakie pozwalał sobie pijany Adam w ich pięknym apartamencie, wśród marmurów, ekskluzywnych bibelotów i kryształowych karafek z drogim alkoholem. Adam w koszuli z mankietami i drogimi spinkami. Adam, idealny narzeczony. I bardzo nieidealny mąż.

– Długo nie potrafiłam się zdobyć na to, by uciec. Więc któregoś razu po prostu wyszłam, tak jak stałam, bo bałam się, że inaczej się rozmyślę. Wzięłam to, co mi najbliższe, resztę zostawiając... Wiem, że Adam mnie szukał. Ale ja już byłam pewna, że zrobię wszystko, by mnie nie znalazł. Zatrudniłam pełnomocnika, wniosłam pozew o rozwód. Nie chciałam od męża nic, absolutnie nic. Byłam zastraszona. – Umilkła. – Ale nie głupia – dodała po chwili. – Zabezpieczyłam się. Znaczący, miałam swoje pieniądze, a jego brudnej forsy nie chciałam. Cierpiałam, wyłam po nocach, kuliłam się na łóżku, ale choć on błagał, prosił przez pełnomocnika, nie chciałam wrócić. Po pewnym czasie, kiedy trochę doszłam do siebie i przestałam się bać własnego cienia, pomyślałam, że pora wracać do Polski. W Nowym Jorku nie byłam już w stanie funkcjonować. I gdy się pakowałam, odkryłam, że w szkatułce nie ma wisiorka po mamie. Został w naszym mieszkaniu, a ja wcześniej tego nie zauważyłam.

Anka zakryła ręką usta.

– Musiałam znów tam pójść.

Inga zacisnęła palce na kubku tak mocno, że aż pobieleły jej knykcie.

– Nadal miałam kartę do apartamentu. Wybrałam porę, kiedy wiedziałam, że Adam jest w biurze. Odczekałam moment, gdy przy tylnych drzwiach nikogo nie było, a portier krążył, bo miał obchód. Założyłam kapтур, na nos wcisnęłam okulary, ubrałam się jak nie ja... I unikałam oka kamer. – Zaczerpnęła głęboko powietrza.

Poczuła na palcach chłód tamtej klamki. Zobaczyła jasne marmurowe płyty, którymi była wyłożona podłoga w ich pięknym luksusowym mieszkaniu. I leżące na niej ciało byłego męża, na które natknęła się w garderobie. A potem swoje dłonie wydobywające z szuflady wisioerek. I stopy, które kilka sekund później poniosły ją daleko, daleko od tamtego okropnego widoku.

Rozdział 14

Co możemy zobaczyć w odbiciu – lustra, kałuży, palantiru? Swoją prawdziwą twarz, a może ułudę, to znaczy coś, co bardzo życzyłybyśmy sobie ujrzeć? Może krótki moment radości, który zaraz minie? Może wielki ból, który też ma swoją datę ważności? A może przyszłe życie?

Mówi się, że jesteśmy sumą naszych doświadczeń; mówi się też, że oczy są zwierciadłem duszy. Co więc widzisz, gdy patrzysz na siebie w lustrze? Co jest twoim palantirem, twoim kamieniem widzenia? Czy może nim być drugi człowiek? Jeśli tak, to który?

Poszukaj w tłumie życzliwej twarzy, w której będziesz mogła się przeglądać – a na pewno ją znajdziesz.

Dziewczyny długo milczały, aż w końcu Inga przerwała ciszę.

– Uciekłam. Uciekłam stamtąd bez słowa. Bez telefonu na policję, bez reakcji, bez sprawdzenia, czy Adam żyje. Zrobiłam tylko to, co zaplanowałam, co miałam wgrane w głowie od początku, gdy obmyślałam całą tę sytuację. Jak robot. Zdusiłam w sobie ludzkie odruchy. Nie przewidziałam takiego finału historii. I choć wściekałam się na Adama, a nawet mu złorzyzyłam, nie chciałam dla niego śmierci.

– A on rzeczywiście nie żył?

Inga wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nigdy tego nie sprawdziłam. Nigdy nikogo o to nie spytałam. Chciałam się odciąć od wszystkiego, co się wiązało z moim byłym

mężem. Chciałam zniknąć, wbić się w tłum, przeciąć pępowinę. – Westchnęła. – Ale nie było to łatwe, nadal nie jest...

Sięgnęła po kubek, po czym, nie upijając ani łyka, odstawiła go z powrotem.

– Teraz wiecie, dlaczego nie chciałam myśleć o locie do Stanów. Przez Adama. I rozumiecie, dlaczego nie skakałam pod sufit, kiedy sprzedawałam obraz komuś z Nowego Jorku. Przez Adama. Wierzcie mi bądź nie, ale nawet tu, na tej pięknej egzotycznej wyspie nie byłam od niego wolna. Poczulałam jego perfumy... – W oczach Ingi pojawiły się łzy. – Te perfumy, którymi nie powinien już pachnieć nikt, bo nie da się ich kupić...

Nie potrafiła już mówić, nie była w stanie. Wtuliła się w Anię, Basię ścisnęła za dłoń. Bardzo potrzebowała ich bliskości. Bliskości kobiet, które niejako nauczyły ją żyć na nowo. Które pomogły jej krok po kroku, bez wszczynania krwawej rewolucji, wyjść z przeszłości i zamknąć za nią drzwi. Które rozśmieszały ją, wzruszały i wspierały zawsze i o każdej porze. I robiły to zupełnie bezinteresownie, po prostu dla niej.

– Kocham was – szepnęła przez łzy.



Po opowieści Ingi dziewczyny poszły na spacer brzegiem oceanu. Anka próbowała rozładować atmosferę, plotąc coś o boskości tutejszych plaż i emeryturze nad wodą. Inga, choć nie powiedziała tego na głos, w duchu dziękowała za te paplaniny o niczym, bo to było jej teraz najbardziej potrzebne. A Barbara, zupełnie jak nie ona, milczała. Aż nagle zatrzymała się gwałtownie.

– Co jest? – spytała Ania.

Barbara nerwowo poprawiła okulary i zwilżyła językiem usta.

– Ja też mam wam coś do powiedzenia, ale najpierw... Najpierw muszę coś zrobić. – Odwróciła się na pięcie, a przez ramię rzuciła: – Złapię was za

chwilę.

Barbara znalazła się w swoim apartamencie, przez dłuższy czas wpatrywała się w leżący przed nią telefon. Bała się go dotknąć, co najmniej jakby nie był kawałkiem plastiku, a rozżarzoną węglą. Bała się, że jeśli weźmie go do ręki, na jej skórze pojawi się oparzenie, a po nim bardzo brzydka blizna. Barbara Kochańska nosiła jednak w sobie wiele blizn, których nie dało się osłonić ubraniem ani usunąć zbawiennym strumieniem lasera. Były niewidoczne, dlatego przez wiele lat skutecznie udawało jej się o nich nie pamiętać. Powstałe z zupełnie innego powodu niż te Ingi, a jednak podobne.

Tego roku Barbara wróciła do Rząsin, do Zosi. I wraz z jej powrotem wróciła pamięć i wróciły wspomnienia. A potem Barbara, po rozmowie z Zosią, zdecydowała się napisać wiadomość. Do niego. Do mężczyzny, który lata temu zostawił ją z jedną, szczególnie głęboką raną.

Czekała na odpowiedź, ale się nie doczekała. Do chwili, gdy w Wigilię usłyszała w słuchawce jego głos. I zaraz po tym się rozłączyła.

Teraz, nie wiedząc już, co czuje, drżącymi palcami wzięła do ręki telefon i wybrała numer do Rząsin. Było jej wszystko jedno, która godzina, czy jest późno, czy nie, czy domownicy może już śpią. Dotąd świetnie zorganizowana Barbara Kochańska miała to gdzieś. Szła za ciosem.

Po kilku sygnałach w słuchawce zabrzmiał głos Zosi.

– Drobinko? Tak się cieszę, że...

– Zosiu kochana – przerwała jej Barbara. – Pogadamy ciut później, dobrze? Teraz... – Urwała, bo nie wiedziała, jak to powinna powiedzieć. – Teraz muszę porozmawiać z... Z nim.

Zosia zakaszłała, nie wiadomo, czy z powodu zakrztuszenia się dymem z papierosa, czy chciała tym jedynie zamaskować wzruszenie.

– Oczywiście, kochanie. Już po niego idę.

Barbara czekała. Sama nie wiedziała ile, ale odniosła wrażenie, że to trwa o wiele dłużej, niż powinno. Nie minuty, a lata. I miała rację.

– Halo? – usłyszała w końcu męski chropowaty głos.

– Halo – powtórzyła, bo nagle zabrakło jej odwagi i tupetu.

Nie przygotowała sobie, choć zwykle to robiła, żadnej agendy spotkania. Nie było tu też Jadźki, jej asystentki, która podsunęłaby stosowny projekt, plan ramowy, szablon. Do jasnej cholery, Barbara Kochańska nie była na tę rozmowę przygotowana ani trochę. Nagle wszystkie słowa, wszystkie zdania wielokrotnie złożone zmieniły się w jej głowie w dziecięce głoski, pojedyncze sylaby, które nijak nie chciały się poskładać w sensowną całość.

I wtedy odezwał się on.

– Basieńku, czy to... Czy to naprawdę ty?

Wzięła głęboki wdech.

– Tak. To ja... Tato.



Drobne stópki w czerwonych kaloszkach rozchlapują na wszystkie strony wodę, kiedy czteroletnia Basieńka Kochańska, krzyząc z radości, biegnie po wielkich kałużach w ślad za tatą. Tata ma długie nogi, najdłuższe na świecie, i sady takie susy, że córeczka ledwo za nim nadąży. Z nieba leje ciepły wiosenny deszcz, wielkie krople spadają na jej jasną buzię i zamazują obraz. Basieńka zatrzymuje się, zadziera głowę, otwiera usta i łapie wodę na wyciągnięty język. Wtedy podbiega do niej tata. Porywa ją w ramiona i teraz uciekają już razem, jednym tempem, w kierunku domu. Basieńka piszczy i obejmuje ojca za szyję. Tuż przed ostatnim zakrętem deszcz ustaje. Tata zatrzymuje się i pochyla nad wielką kałużą; Basieńka patrzy w dół i widzi swoje odbicie tuż obok uśmiechniętej twarzy taty.

To jest jej pierwsze wspomnienie z dzieciństwa.

Drugie wygląda inaczej.

Mama ma czerwone włosy. Ma też czerwone ręce i czerwoną sukienkę. Śpi. Mama często śpi, nawet kiedy na dworze jest jasno. Ale teraz nie leży jak zwykle w łóżku, tylko na podłodze w kuchni. Basieńka stoi nad nią i pa-

trzy na czerwoną kałużę, która otacza mamę. To strasznie dziwne, ale nie widzi w niej odbicia swojej buzi. Spogląda na swoje jasne bamboszki. Rodzice mówią, że po kałużach można chodzić tylko w kaloszach. Ale ta kałuża jest inna i nie pachnie tak ładnie jak deszcz. Basieńka przysuwa się bliżej i czubkiem jasnego kapcia dotyka brzegu. Płótno bamboszka natychmiast robi się różowe. Dziewczynka pochyła się nad mamą i szepcze: „Mamo, wstań. Jestem głodna”. Mama nie odpowiada. Basieńka powtarza te same słowa, tylko głośniej, bo czasem mamę trudno dobudzić. Ale zawsze się udaje.

Prawie zawsze.



Basia opowiadała najmroczniejszą historię swojego życia. Historię tego, jak znalazła nieruchome ciało matki i jak potem zawsze już była sama. Historię bidula, który dzięki wielkodusznej Zosi mogła nazywać domem.

– Od tamtej pory, od śmierci mojej mamy, go nie widziałam. Zwyczajnie mnie porzucił. Jak rzecz. Bo tak się czułam przez te wszystkie lata u Zosi. Mimo że była najczulszą przyszywaną cicią i opiekunką ever. Ojciec co roku, aż do momentu, kiedy wyszłam z domu dziecka i wyjechałam do Poznania, przysyłał mi kartki na urodziny. I zawsze pisał to samo: „Wszystkiego najlepszego, Basieńku. Wierzę, że niedługo znów będziemy razem”. Już lepiej, gdyby nie pisał wcale. Bo jeszcze wtedy mu wierzyłam. Wszystkie dzieciaki z domu dziecka wierzą w takie rzeczy.

Inga współczująco położyła dłoń na jej kolanie, a Baśka machinalnie się odsunęła, jak zawsze w podobnych sytuacjach, gdy ktoś chciał okazać jej wsparcie. Przez lata nauczyła się nie potrzebować ani nie przyjmować takich gestów. Chyba. Bo teraz dotyk przyjaciółki spowodował, że poczuła gulę w gardle i zapragnęła, by ktoś ją przytulił. Spojrzała przepraszająco na Ingę, a ta w odpowiedzi uśmiechnęła się ze zrozumieniem. I zwyczajnie objęła Baśkę.

– W każdym razie – powiedziała Baśka, kiedy już była w stanie mówić dalej – porozmawialiśmy. Krótko. Przyjechał do Rząsin, do Zosi, i zostaje do połowy stycznia. Chce mi wszystko wyjaśnić. Między innymi to, dlaczego nigdy go nie było. Dostał mojego maila, ale nie odpisał, bo uznał, że pisanie nigdy mu dobrze nie wychodziło. Zupełnie jakby z całą resztą radził sobie świetnie...

– I pojedziesz do niego? – zapytała Inga.

Baśka spojrzała na nią.

– Skoro powiedziałam „A” i sama do niego napisałam, to powiem również „B”. Pojadę. Chcę się dowiedzieć, dlaczego porzucił swoją czteroletnią córkę. Tylko nie pytajcie, czy mu wybaczę. Niczego nie obiecuję.

Dopiero kiedy skończyła, odważyła się spojrzeć na Anię – na swoją Anię, Ankę, Aneczkę. Przyjaciółkę i najbardziej oddaną towarzyszkę ostatnich lat. Anię, która myślała, że o przeszłości Baśki wie wszystko, ale jak się okazało, wiedziała tylko to, co Baśka zechciała jej powiedzieć, czyli prawie nic. A nawet jedno wielkie nic.

– Przepraszam, Aniu. – Złapała ją za dłoń. – Cholernie cię przepraszam, że dopiero teraz. Że nie wcześniej. Że wiesz... A mogłam, powinnam... – Mówiła chaotycznie, jak nie ona, nie jak dystygowana Barbara Kochańska, która zawsze wiedziała, co powiedzieć, ale jak niepewna i zagubiona Basieńka.

Anka patrzyła na nią w trudny do zinterpretowania sposób. Otwierała usta, jakby chciała coś z siebie wydusić, i zamykała je, zanim wydobyło się z nich jakiegokolwiek słowo. W końcu wzięła głęboki wdech, powoli wypuściła powietrze, a potem pokiwała głową.

– Masz prawo być zła – ciągnęła Barbara. – Rozumiem, ale... Błagam, wybacz, że nie umiałam wcześniej. Nie byłam w stanie. Dopiero tu coś we mnie pękło. Dopiero tak daleko od domu. Zupełnie jakbym do szczerości potrzebowała fizycznego dystansu, kilometrów i... – Spojrzała na Inge. – I twojej historii, twojej prawdy, Inga.

Przeniosła wzrok na Ankę.

– Przepraszam. Już... Już nie mam żadnych tajemnic przed tobą. Żadnych tak ważnych jak ta.

Zamilkła. Ania też milczała. Inga patrzyła na nie z boku.

– Żadnych? Czyli masz inne? – zapytała Anka po długiej chwili milczenia.

– Mam, ale to nic ważnego. Każdy jakieś ma.

– Ja nie mam.

– No dobra, ty nie masz... I dlatego tak mi głupio. Przepraszam. A te inne... One nic nie znaczą. To są wstydlive tajemnice, o których nie chcę pamiętać, a już na pewno nie chcę o nich mówić. – W jej posmutniałym spojrzeniu nagle rozbłysły łobuzerskie ogniki. – A już szczególnie nie chcę pamiętać ani mówić o Ryśku z jogi.

– Cooo?! – Anka zrobiła wielkie oczy. – O tym Ryśku? Tym bez górnej dwójki?!

Baśka się otrząsnęła.

– Nawet mi nie przypominaj.

Inga nie mogła się powstrzymać i parsknęła cichym śmiechem.

– Jezu, Baśka, ja chyba też nie chcę wiedzieć. Ani znać szczegółów.

– Ja tym bardziej! – Anka nie dowierzała. – Tylko błagam, przysięgnij, że to było po pijaku.

– No przecież nie na trzeźwo, bejbe!

Spojrzały sobie prosto w oczy, a potem ryknęły śmiechem. Soczystym, szczerym, pełnym lekkości śmiechem.

Inga patrzyła na nie i widziała to, co zawsze chciała wiedzieć w przyjaźni: wybaczenie. I to był najpiękniejszy widok tego dnia.



– A teraz zróbmy coś, by uczynić nasz dzisiejszy świat lepszym – zaproponowała Baśka. – Idźmy na plażę, na jakieś ekstrażarcie albo na zakupy do tego lokalnego butiku. – A gdy Anka z Ingą spojrzały na nią ze zdziwieniem, wiedząc, co ich przyjaciółka sądziła o tych „kolorowych szmatkach”, dodała już tonem klasycznej Baśki: – Zasłużyliśmy jak nie wiem co! I chodźmy potańczyć! Bez szpilek! Na bosaka, a co! Ulepszmy sobie to życie na maksa!

Chwilę później, kiedy Anka poszła zarezerwować masażę na kolejny dzień, a Inga na chwilę zniknęła w łazience, Barbara wsunęła rękę do kieszeni spodni i wyjęła z niej karteczkę z cytatem, którą dostała od wielbego. Widniały na niej słowa: „Kiedy ofiarowujesz komuś wybaczenie, największy prezent dajesz sobie”.

Rozdział 15

Przychodzi taki moment na koniec roku, kiedy chcemy – kiedy wręcz pragniemy, kiedy podejmujemy decyzję o tym, że czas najwyższy wyznać na głos to, co do tej pory kładło się gigantycznym, cholernym ciężarem na naszej piersi, na barkach, na duszy. Niektórym przychodzi to z łatwością: słowa układają się same, płyną jak rwący nurt Missisipi, zbierając po drodze gałęzie i kamienie, które symbolizują przeszkody, jakie przyszło nam pokonać. Ale dla większości z nas powiedzenie głośno tego, co nas boli, jest jak wspięcie się na Mount Everest we mgle, bez dodatkowego tlenu i wsparcia drużyny szerpów.

Warto jednak się na to zdobyć: odkręcić zardzewiały wentyl, udroźnić przepływy emocji. Nie wychodzić poza strefę komfortu, a po prostu ją poszerzyć.

Na dzień przed sylwestrem, po powrocie z całkiem udanych porannych warsztatów u wielebnego, Inga spojrzała na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się do siebie, w duchu dziękując losowi i wszechświatowi, że jest tu i teraz, z ludźmi, którzy są dla niej hojni i szczerzy.

Umówiły się, że tego wieczoru po kolacji pójdą na imprezę do hotelowego baru przy plaży. Inga uwielbiała tańczyć, ale najchętniej robiła to w zaciszu własnego mieszkania niedaleko poznańskiego rynku, gdy nikt nie patrzył. Wtedy wszystkie komórki jej ciała przenikała muzyka, a ona sama zatracala się w każdym jednym dźwięku, ruchu, muśnięciu powietrza. Lubiała, uwielbiała tańczyć.

Ale tak było kiedyś. Jej przemiana zaczęła się w momencie, gdy poznała dziewczyny. Potem zdecydowała się wybrać na lekcje malarstwa i zakochała się w swoim nauczycielu, Jakubie, i wówczas poczuła, że zaczyna o siebie walczyć. O siebie, o swoje marzenia. A odkąd poszła, nieco wbrew sobie, na warsztaty do wielebnego i po tym, jak wyznała dziewczynom całą prawdę, ogromnie jej ulżyło. Dawnej nieśmiałej Ingi z każdą chwilą ubywało i na jej miejscu rodziła się świadoma siebie, coraz pewniejsza siebie kobieta – nadal wrażliwa, nawet bardzo, ale coraz lepiej radząca sobie z tą wyjątkową cechą.

Wysłała krótką wiadomość do Kuby, który przed kwadransem napisał do niej, jak co dnia, że ma nadzieję, że Inga wypoczywa i się relaksuje, i że w ogóle cudownie się bawi z dziewczynami. I jeszcze dodał, że... tęskni. Tak. Napisał jej to wprost. „Tęsknię za Tobą” – brzmiał komunikat.

To dało jej dodatkowego kopa energii. Rzuciła ostatnie kontrolne spojrzenie na swoje odbicie w lustrze, czując przypływ pozytywnych wibracji i ogromnej wdzięczności. Te wszystkie dziwne zdarzenia, jej gwałtowne reakcje, a potem opowieści o przeszłości ważyły już naprawdę niewiele. Kobięce wsparcie dziewczyn było jak wiatr w jej skrzydła. Teraz mogła zacząć naprawdę żyć. I latać.



Anka ostatni raz rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Czuła, że po perturbacjach ze Starym jest jej potrzebny balans – umiłowane uczucie balansu, które usilnie, choć na razie średnio skutecznie próbowała wypracować od momentu rozstania z Damianem. Bo choć z zewnątrz udawało jej się nie dać po sobie poznać, że coś jest nie tak, to codziennie z tyłu głowy czuła niepokój – o siebie, swoje życie prywatne. Nie była nauczona życia w pojedynkę. Jeszcze nie wiedziała nawet, czy je lubi. A gdy do tego doszły problemy w robocie, stwierdziła, że lada moment może stracić najostatniej-

szy grunt pod nogami, a wtedy spieprzy się już wszystko. Nie mogła sobie na to pozwolić.

A tego poranka na warsztatach wielebny powiedział coś, co przebiło się przez mury strachu, jakie wzniosła wokół siebie Anka, i dotarło prosto do jej otumanionego nerwami umysłu: że pewien poziom stabilności wewnętrznej osiąga się właśnie dzięki mierzeniu się z przeciwnościami. Oraz że ogień wzmacnia. „Jeśli wszechświat cię doświadcza – dodał na koniec Arystoteles – to znaczy, że szykuje dla ciebie coś naprawdę dobrego i wielkiego”.



Baśka nie musiała wcale spoglądać w lustro, by wiedzieć, że wygląda znakomicie. Ona zawsze wyglądała znakomicie. Ale zawsze też mogła wyglądać lepiej, na przykład perfekcyjnie. Dążyła do tego każdego dnia.

Popatrzyła na delikatnie zarysowane i idealnie wystylizowane brwi, na nieco zadarty, lecz bardzo zgrabny nos; potem na kości policzkowe, których nie powstydzilaby się Kleopatra, i na pełne usta jak te u Marilyn Monroe. A potem spojrzała sobie w oczy.

Były tego samego koloru co oczy jej ojca. Musiała w nie patrzeć codziennie przez tyle lat. W czasach nastoletniości, gdy zaczynała się chować pod warstwą pudru oraz cieni i mocno tuszować rzęsy, zapominała o ich istnieniu – albo wyobrażała sobie, że te oczy należą do kogoś innego. Tak powstała twarda Barbara Kochańska – nieustępliwa, chłodna w osądach, stanowcza, która nikomu nie pokazywała się bez makijażu. Ale wszystko, co było w niej miękkie, co było w niej błękitne jak jej oczy, ukryła pod grubą skorupą i nie ujawniała tego nikomu. Aż do teraz. Wyjazd na Martynikę i przede wszystkim historia Ingi sprawiły, że ta skorupa pękła i otworzyła w niej dawne rany. Teraz przyszedł czas, by właściwie się zająć ich pielęgnacją. I zdrowieniem.

Spojrzała raz jeszcze w lustro, po czym machinalnie sięgnęła po płatki kosmetyczne. Delikatnie zmyła makijaż, wklepała krem i wyszła na spotkanie z dziewczynami – jak zawsze pewna siebie, ale już nieco inna. Odmieniona.



Barbara siedziała w fotelu w holu, gdy w drzwiach pojawiła się Inga. Przyjaciółka miała na sobie karminową rozkloszowaną sukienkę przed kolano. Baśka zmrużyła oczy w zachwycie.

– A co to za dwudziestoletnia *principessa*? Bejbe, wyglądasz bosko! Pod jakim habitem chowałaś dotąd te nogi, co? I na boginię, dlaczego w ogóle to robiłaś? Od teraz masz ode mnie absolutny zakaz noszenia długich kiecek. I jestem pewna, że nasza pani prokurator go podtrzyma!

Inga się roześmiała, czując radosne bicie serca.

– Ty też wyglądasz obłędnie. Ale to już wiesz.

Barbara mimowolnie zerknęła w wielkie lustro. Miała na sobie bajecznie złote sandaalki na niewielkich obcasach, w których z gracją sunęła nawet po trudnym podłożu, oraz długą i zwiewną błękitno-biało-różową sukienkę z muślinu, którą kupiła w jednym z tutejszych lokalnych sklepików. Odbiegała ona kompletnie od standardów, jakim do tej pory hołdowała estetyczna część duszy Baśki. Barbara uznała jednak, że pora na zmiany na kilku frontach naraz, w myśl zasady, że kto się nie rozwija, ten stoi w miejscu. A u Barbary Kochońskiej stanie w miejscu znajdowało się na szczycie listy rzeczy zakazanych.

– Nie zaprzeczam, kochana, nie zaprzeczam... Choć czułabym się jeszcze lepiej, gdybyśmy powoli zmierzały w kierunku naszego przeznaczenia: plaży, baru i upojnego wieczoru!

– No przecież lada moment tam pójdziemy! – Anka, w lnianych szortach i jasnym topie, zmaterializowała się obok nich i wzięła przyjaciółki pod

ręce, po czym pociągnęła w kierunku restauracji. – Po kolacji dajemy sobie czterdzieści pięć minut na ogarnięcie. A potem formujemy się w podgrupę i lecimy na imprezkę.

– Tylko nie miejcie mi za złe, jeśli jak Kopciuszek urwę się przed północą, okej? – zastrzegła Inga. – Teraz mam jeszcze kosmiczną energię, ale obawiam się, że po dwudziestej drugiej nastąpi głęboki regres.

– *Keep calm and* bądź, kim zechcesz, choćby Kopciuszkiem – uspokoiła ją filozoficznie Anka. – Ale osobiście proponowałabym pretty woman albo Carrie Bradshaw. A już najlepsza byłaby ta zajebista akwarelistka Inga Winter. Znasz może? – Zachichotała. – Mamy się wyluzować i dobrze bawić. Żadna na siłę drugiej nie zwiąże, prawda, Baśka?

Barbara uniosła ręce w poddańczym geście.

– Absolutnie, tym bardziej że osobiście wolę brać w okowy płęć przeciwną. Przystojną płęć przeciwną. – Rzuciła okiem na martynikańskiego konsjerża.

Mężczyzna błysnął zębami w oszłamiającym uśmiechu.

– Jezu, Baśka... Jak ty to robisz, że tak na nich działasz, mimo że ani trochę nie kumają po polsku? – Inga z podziwem pokręciła głową.

– Mowa ciała, bejbe. I lata doświadczeń we wzbogacaniu jej słownika...



Po niecałym kwadransie siedziały już w restauracji i przymykając oczy, chłonęły aromaty pieczonych ryb, owoców morza i warzyw, które unosiły się znad gigantycznego półmiska pośrodku ich stolika.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby sam Gordon Ramsay maczał w tym swoje piekielnie sprawne palce. – Barbara pokręciła głową z niedowierzaniem. – Czy wy czujecie, jak to pachnie?

Przez chwilę jadły w milczeniu, wydając przy tym w pełni zrozumiałe pomruki aprobaty.

– Ale co do mowy ciała – podjęła Barbara – każda z nas to potrafi, ale nie każda o tym wie... Czasem wystarczy subtelne spojrzenie spod rzęs, absolutnie niewyzywające – ciągnęła tonem mentorki – i co inteligentniejszy facet podejmie raz rzuconą mu rękawicę... Nie powiem, takich właśnie lubię najbardziej. Którym nie trzeba nic pokazywać paluszkami... No ale wielu różnych mężczyzn już w życiu spotkałam, mniej lub bardziej gibkich umysłowo, i powiem wam, że nawet te najbardziej toporne przypadki wiedzą, co i jak.

– Jakoś sobie ciebie nie wyobrażam w towarzystwie nieociosanych egzemplarzy – stwierdziła Inga, chrupiąc glazurowaną słodką marchewkę. – I nie mam na myśli tych mniej zdolnych ani tych, którym ktoś tam poskapił intelektu... Ani Ryśka z jogi. – Parsknęła śmiechem. – Ale no wiesz... Gburów... Przy takich to mi się cierpliwość kończy, zanim na dobre się rozhula.

– Mnie niby też, ale spójrzmy na taką nikczemną personę jak na przykład Bolesław Jabba Rybak. – Barbara potrząsnęła głową z obrzydzeniem. – Niby iloraz inteligencji na wysokim poziomie, bo przecież jakoś się w tej prokuraturze przekulał od stanowiska do stanowiska. Ale cała reszta? Woła o pomstę, głośno i z solidnym echem. Niemniej pewne sytuacje wymagają poświęceń. Więc reasumując: kiedy trzeba, umiem porządnie przyaktorzyć. Wy też umiecie. Choć ty, Ingusia, absolutnie nie musisz. Jakub, zdaje się, lubi naturalność, prawda?

Inga na wspomnienie Kuby tradycyjnie się zarumieniła i w milczeniu przeżuwała warzywo, zastanawiając się nad odpowiedzią. Z ratunkiem przysłała jej Anka.

– I bardzo dobrze! Nie ma nic gorszego niż sztuczne zajawki w obecności osoby, na której nam zależy... Ale ja, powiem szczerze... – Zawiesiła głos na dłuższy moment, aż dziewczyny spojrzały na nią ponagląco. – Ostatnimi czasy mam coraz większą ochotę, by trochę... przyaktorzyć – wyznała. – I nie, nie chcę żadnych związków ani nawet niczego na kształt relacji. Ale tak, wiecie... Żeby poczuć... No, ten dreszczyk adrenaliny. Żeby po-flirtować, zupełnie bez zobowiązań. Rozumiecie?

Inga odłożyła sztucce i spojrzała na przyjaciółkę.

– Rozumiem doskonale. Przez nanosekundę byłam w tym miejscu. A potem Olivier... – Machnęła ręką. – Ale wiesz co? – Z werwą spojrzała na Ankę. – Powinnaś to zrobić. Prawda, Baśka?

– Absolutnie! I to jeszcze dzisiaj! – Barbara nałożyła sobie solidną porcję ryby na widelec. – Podczas wieczornej imprezy. Oto nasza misja, moje drogie: Let's get the party started and poderwij jakiegoś karaibskiego crepe-sika. Jak mówi Vivianne: Jeśli masz na coś ochotę i możesz, to...

– Musisz – dokończyły jednym głosem.



Formowanie się w podgrupę zajęło im dużo więcej czasu, niż przypuszczały, ale w końcu Barbara i Inga spotkały się przy recepcji. Brakowało tylko Anki.

– No i gdzie nasza zawsze o czasie pani prokurator? – Inga zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu. – Czyżby poleciała bez nas?

– A żebyś wiedziała! – odparła podekscytowana Baśka. – I na dodatek nie sama!

– Jak to?

– Napisała sekundę temu na naszym czacie. – Barbara pokazała Indze ekran telefonu.

„Jezu, dziewczyny, to chyba jakieś czary, czakry albo nie wiem co, bo spotkałam faceta 10/10. Czekam na was w barze, sączę soczek i konwersuję. Hasło bezpieczeństwa: bakłazan”.

– To co, idziemy sprawdzić ten ideał? – Baśka schowała telefon.

– Zdecydowanie powinniśmy!



Przy plażowym barze, w którym serwowano, jak to określiła Barbara, „najbardziej szatańskie na świecie drinki, które poniewierają tobą gorzej niż twój psychopatyczny były”, rozciągał się rozległy parkiet, wykonany z desek, w których nie miała szans utknąć żadna, nawet najcieńsza szpilka od Louboutina. Baśka spojrzała na ten cud techniki z pełną aprobatą.

– Powiem ci szczerze, że nie wiem, jak by to wszystko funkcjonowało, gdyby nie Marianka – stwierdziła. – Przecież taki Lutek, mimo że do-myślny chłopak i z dobrym sercem, w życiu by nie wpadł na pomysł, żeby taki parkiet pod dancing skroić. No sama przyznaj.

– Nawet w naszych Facetach by się nie powstydzili takiej podłogi – orze-kła Inga, która z trudem balansowała nawet na bardzo niskich obcasach i umiała docenić właściwy charakter udogodnień. – I ja takie rozwiązania szanuję. Nie jak to coś na lotniskowym parkingu w Berlinie...

Barbara prychnęła z pogardą na wspomnienie gigantycznego miejsca parkingowego tylko dla kobiet.

– Otóż właśnie. Ale nie psujmy sobie dziś nastroju i nie myślmj już o męskich fakapach. No dobrze, to gdzie się ta nasza pani prokurator po-dziewa?

Rozejrzały się w poszukiwaniu Anki. Na parkiecie w rytm egzotycznych dźwięków kołysało się już kilku wczesnych tancerzy. Inni sączyli drinki i soki przy stolikach wokół parkietu, część zaległa przy barze. Właśnie tam dziewczyny dostrzegły również Ankę – w towarzystwie niemożliwie przy-stojnego (w wybitnie włoskim typie urody) i – sądząc po reakcjach Anki – całkiem zajmującego mężczyzny.

Barbara mruknęła z uznaniem.

– Takie warsztaty aktorskie to ja rozumiem!

Anka, zauważywszy dziewczyny, powiedziała coś szybko do swojego to-warzysza, a gdy odpowiedział, roześmiała się perliście, rzuciła mu coś na odchodne i zgrabnie zsunawszy się z hokera, ruszyła ku dziewczynom. Na jej twarzy gościł szeroki uśmiech.

– Ale że już? – Baśka obrzuciła mężczyznę uważnym spojrzeniem od stóp do głów i przeniosła wzrok na Ankę, gdy ta do nich podeszła. – Zapowiadało się chyba nieźle, co?

– A i owszem, co to, to tak – parsknęła uszczęśliwiona Anka. – Sebastiano jest doprawdy znakomitym rozmówcą, ale na początek tyle mi wystarczy. Nic zobowiązującego, moje kochane, miła rozmowa i już. Nic ponadto.

Inga zerknęła ukradkiem na rzeczzonego Sebastiana, który właśnie teraz lustrował je ze swojego stołka przy barze.

– On chyba ma inne zdanie na ten temat. Patrzy na ciebie i się uśmiecha!
Anka kiwnęła głową.

– Nie zaprzeczę, był mną wyraźnie zainteresowany. A na koniec zapytał, czy jeszcze się tego wieczoru zobaczymy.

– I co mu odpowiedziałas?

Anka wzruszyła ramionami.

– Poleciałam filmowym klasykiem – odparła niewinnie. – Że nie robię tak dalekosiężnych planów.



Ludzie na parkiecie rozkręcali się coraz bardziej, aż w końcu pojawili się również profesjonalni tancerze, których zadaniem tego wieczoru było wykonanie fantazyjnej choreografii i zachęcenie gości, by spróbowali sobie ją przyswoić. Po kilku minutach na parkiecie szalał już całkiem spory tłumek w rytm genialnej do grupowych wykonów *Dancing Queen* Abby.

Anka, Inga, Baśka i Marianka, która dołączyła do dziewczyn kwadrans wcześniej, przyglądały się temu ze swojej łoży, sącąc napoje, popijając wodę z dodatkiem egzotycznych owoców i chrupiąc przekąski.

– Wiecie, czego mi brakuje? – odezwała się w pewnym momencie Marianka.

– Prywatnej willi na Malediwach – odparła natychmiast Baśka, a gdy Anka uniosła brew w niemym pytaniu, dodała: – No przecież każdej z nas jej brakuje, prawda? Chyba że o czymś nie wiem!

Marianka roześmiała się i pociągnęła solidny łyk soku z ananasa i mango.

– Akurat na niedostatek egzotyki to ja nie mogę narzekać! Dobrze nam tutaj z Lutkiem... Martynika jest cudowna, same powiedzcie! – Dziewczyny synchronicznie skinęły głowami. – Personel mamy najlepszy na świecie, a goście też w większości trafiają się serdeczni i przyjaźni. Co prawda są wyjątki, ale one tylko potwierdzają tę regułę. Czuję się spełniona. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Co nie zmienia faktu, że cholernie mi brakuje polskiego karaoke... Jezu, ile ja bym dała, żeby się trochę podrzeć do jakichś dobrych polskich kawałków.

– Ale przecież akurat ty możesz tu chyba wszystko? – zdziwiła się Baśka. – Znaczy możesz zorganizować karaoke, prawda?

Marianka skinęła głową.

– Pewnie, że mogę. Ba, czasem nawet organizujemy. Ale polskie kawałki niestety nie cieszą się tu powodzeniem. Większość naszych gości to jednak Amerykanie, którzy wolą swoją rodzimą muzykę. – Zrobiła ręką gest, jakby zarzucała lasso. – No i amerykańskie szlagiery. A didżej też ma swoje zdanie i...

– Bo dotąd nie było tu nas! – stwierdziła nagle Inga. – A skoro są mikrofony, didżej ma sprzęt grający i wi-fi hula, aż miło, to jakoś sobie poradzimy! Teksty znajdziemy w necie, a poza tym sporo z nich znamy na pamięć... Prawda, Baśka? To doskonały czas.

– Na piosenki Beaty i Bajmu zawsze jest doskonały czas. – Barbara uniosła kieliszek margarity. – Jestem za. Niech wszyscy tu zaznają dobrej sztuki. Mogę nawet przetłumaczyć kilka kawałków na francuski, dlaczego nie! Dajcie mi chwilę, zaraz pogadam z tym didżejem, żeby...

– Ja to załatwię! – Inga z błyskiem w oku poderwała się z miejsca. – Pod warunkiem że w pierwszej piosence biorę solówkę!

Baśka odstawiła z brzękiem kieliszek i spojrzała na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami, z wyrazem podziwu i niedowierzania jednocześnie.

– Inga! Ty jesteś taka...! Taka... Taka... Jezu, no! Anka, weź mi pomóż, bo mi z wrażenia wokabularz zubożał!

Anka popatrzyła z dumą na Ingę.

– Zajebista? Sprawcza? Pewna siebie? Kompletna? I że rządzi? O to ci chodziło, Baśka?

Baśka gwałtownie pokiwała głową.

– O to, to! Wszystko to! I jak mi się to podoba!

Inga poczuła, jak pod jej powiekami gromadzą się łzy. Wiedziona impulsem, rzuciła się nagle na Ankę, Baśkę i Mariankę i mocno je uściskała, po czym obróciła się i jak na skrzydłach pofrunęła w kierunku didżeja. Jej przyjaciółki obserwowały, jak pertraktuje z facetem za konsolą, tłumaczy mu coś oględnie, on jej coś odpowiada, oboje się śmieją, a potem Inga energicznie macha na nie ręką.

Pierwsza ruszyła Anka, a zaraz za nią jej siostra i Barbara. Didżej w tym czasie już wydobywał spod konsoli mikrofony i podpinał je do ustrojstwa z tysiącem suwaków, przycisków i kolorowych diodek.

– Jak ty to zrobiłaś? – szepnęła Anka do Ingi. – W sensie czym go przekonałaś?

– Powiedzmy, że zdolnościami aktorskimi. Poszłam za twoim przykładem i poleciałam filmowym klasykiem – odparła Inga i zachichotała. – Powiedziałam mu: „Zagraj to, Sam. Przez wzgląd na dawne czasy”. I to był strzał w dziesiątkę, bo się okazało, że jest fanem starego kina i wie, skąd ten cytat.

Anka nie zdążyła wyrazić uznania ani dla intuicji Ingi, ani dla gustu filmowego didżeja, bo tuż za nimi zjawiała się Marianka.

– No to co śpiewamy? – zapytała podekscytowana.

– Zaraz się przekonacie. – Inga z szerokim uśmiechem wręczyła jej mikrofon.

Muzyka ucichła. Ludzie na parkiecie spojrzeli zdziwieni w kierunku dziewczyn. Marianka uspokajająco kiwnęła ręką do tancerzy.

– Ale gdyby teraz znów weszła tu sama Beata, chyba padłabym na za-
wał – szepnęła Anka do Ingi.

– Wtedy też prawie padłaś.

Inga z uśmiechem przypomniała sobie tamten moment, tuż przed werni-
sażem, kiedy właśnie podczas karaoke do ich ukochanego klubu Facetom
Wstęp Wzbroniony weszła zjawiskowa Beata Kozidrak. Śpiewały akurat
Rzekę marzeń i Anka już miała zaczynać drugą zwrotkę, gdy w drzwiach
pojawiła się ona – królowa polskiej piosenki. A Barbara, jak gdyby nigdy
nic, zeszła z niewielkiego podestu i przywitała się z nią serdecznie, a potem
przedstawiła dziewczynom.

– No a dziwisz mi się? – Anka zachichotała.

– Ani trochę – odparła Inga.

Didżej przez chwilę szukał jeszcze czegoś na tablecie, po czym spojrział
na dziewczyny i posłał im szeroki uśmiech, a potem uniósł kciuk. Z głośni-
ków popłynął podkład muzyczny *Tej samej chwili* Bajmu, a Inga niemal od
razu zaczęła śpiewać: „Mów, niech twoje słowa zbudzą krew. Niech
wszystko będzie już okej. Jest tyle miejsc, do których powrócimy”.

– Idealna na początek! – zawołała Marianka do Anki i Barbary. – Biorę
drugą zwrotkę!

Po chwili dziewczyny już wspólnie śpiewały refren:

– „Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila! Nie odnajdzie więcej nas ta
sama chwila! Niech każdy dzień dodaje nam sił! Może znajdziemy siebie
znów!”

Ludzie na parkiecie, początkowo dość niepewnie, przy drugiej zwrotce
już zupełnie chętnie zaczęli klaskać w rytm utworu. Gdy zaś wyśpiewywały
drugą i trzecią piosenkę w tak egzotycznym dla gości języku jak polski, od-
nosiły wrażenie, że co niektórzy zamiast słów wypuszczali z siebie donośne
„nanana”, a znaleźli się nawet i tacy, którzy próbowali im wtórować.

Kiedy skończyły śpiewać (didżej zgodził się na trzy piosenki po polsku z rzędu i na kolejne trzy po godzinie), a ich spontaniczny występ został nagrodzony burzą oklasków, do konsolki niespodziewanie podszedł Sebastiano, z którym wcześniej flirtowała Anka.

– Can I? – spytał, wyciągając rękę po jej mikrofon. – *I would like to sing Umberto Tozzi song* – wyjaśnił.

Didżej, zerknąwszy pytająco na Mariankę i uzyskawszy jej przyzwolenie, skinął głową.

Mężczyzna przejął mikrofon od Anki, która posłała mu powłóczyście spojrzenie i z lekkim uśmieszkiem ruszyła w kierunku łoży.

– Jeszcze tu wrócimy! – rzuciła po francusku Barbara do didżeja, zagarniając Inge i Mariankę, a ten ponownie dał kciuk do góry.

W łoży czekała już na nich zaróżowiona Anka.

– Czy wy to widziałyście? Jeszcze tego brakowało, żeby mi facet jakieś włoskie romantyki śpiewał! – powiedziała niby obruszona, choć w rzeczywistości ogromnie jej schlebilo, że Sebastiano, z którym odbyła ciekawą pogawędkę na temat północnych Włoch oraz najlepszych knajpek w Bolonii, zamierza wykonać jakiś szlagier Tozziego, zapewne wyłącznie po to, by jej zaimponować.

Baśka spojrzała na nią przenikliwie.

– Ty nam tu, bejbe, oczu nie mydl, że cię to nie kręci! Wzrok mamy dobry, to widzimy!

– Ale że niby co? – zachnęła się Anka, robiąc się jeszcze bardziej purpurowa. – Tamta rozmowa to był tylko niewinny flircik, taka próba. Próba wejścia na nową drogę szczęśliwej singielki! Owszem, całkiem udana, ale bez przesady.

– No wiadomo, że bez. – Marianka się zaśmiała. – Tylko że jak się okaże, że facet ma głos jak Andrea Bocelli albo chociażby, daleko nie szukając, wujek Hieronim spod Nowego Sącza, który wszystkie rodzinne uroczystości tym cudownym barytonem zawsze obskakiwał i jeszcze samodzielnie wykonane śpiewniczki ludziom rozdawał, to przepadniesz, siostrzyczko.

Przepadniesz w odmętach rozkojarzenia, niesiona nad ziemią przez stado motyli. Bo ja dobrze wiem, ja dobrze pamiętam, że nic na ciebie tak nie działa jak śpiewający facet.

Puściła oko do pozostałych dziewczyn.

– Bo musicie wiedzieć, moje drogie – kontynuowała, sącząc napój – że pod koniec liceum Aneczka zabujała się na amen w pewnym długowłosym wokaliście ze szkolnego bandu. I to tak się zabujała, że któregoś dnia wręcz zażądała od rodziców, by posłali ją na lekcje gry na gitarze. Ile ty tam, siostrzyczko, wytrzymałaś? Trzy tygodnie? Cztery?

– Pięć i pół – burknęła Anka, choć w jej oczach rozbłysły iskierki rozbawienia. – I to nie był wokalista, tylko basista. Basiści, moja droga starsza siostruniu – zaakcentowała przedostatnie słowo – mają zupełnie inne umiejętności i... – Nie dokończyła, bo nagle do ich uszu dobiegły pierwsze takty wolnej i sensualnej piosenki *Ti amo*.

Spojrzały w kierunku mężczyzny. Sebastiano stał, nonszalancko trzymając jedną rękę w kieszeni, a w drugiej dzierżąc mikrofon, i przeszywał intensywnym spojrzeniem Ankę, która momentalnie zniknęła za wielką szklanką z sokiem Ingi.

Marianka rzuciła pod nosem: „Zaraz się zacznie przedstawienie” – i rzeczywiście się zaczęło, lecz zupełnie nie takie, jakiego się spodziewały. Bo zamiast miękkich jak poduszka wypełniona gęsim puchem, głębokich jak jezioro Bajkał i czystych jak górski strumień dźwięków z głośnika wysączyła się – a raczej lepiej rzec, że z trudem się wydarła – okropna kakofonia, smutna i zgrzytliwa próba interpretacji jednego z największych przebojów króla włoskiej piosenki. Sebastiano, cholernie przystojny i ujmujący mieszkaniec północnych Włoch, fałszował – i to fałszował tak, że Anka nie wiedziała, gdzie ma oczy podziać, a uszy sekundę temu spektakularnie jej zwiędły.

– Jezusie Nazareński! – jęknęła.

– Przepraszam bardzo, ale czego ja właśnie doświadczam? Bo nie bardzo wiem, jak to nazwać... – Inga konspiracyjnie pochylili się nad ławą. – Oświećcie mnie, błagam. Albo po prostu stąd wyjdźmy. Prędziutko.

– To dobry pomysł z tym wyjściem – natychmiast podjęła Anka. – Bo zaraz się spalę ze wstydu.

Wymknęły się z baru, odprowadzane wzrokiem przez samozwańczego Casanovę, który właśnie katował bez litości drugą zwrotkę. Anka na odchodnym posłała mu na osłodę zalotne spojrzenie. Chłopak może i nie miał talentu do śpiewania, ale przecież nie samym śpiewaniem człowiek żyje.

– Afterek robimy dziś u mnie – oświadczyła Baśka, gdy już wyostały się na plażę i zdjęwszy buty, ruszyły brzegiem oceanu powolutku w kierunku hotelu.

– A biforek przed sylwestrem w spa albo jacuzzi – dodała Inga, spoglądając na horyzont, gdzie okrągłutkie czerwonożłote słońce chowało się za mrocznym granatem wody. – Wiecie co? – westchnęła z zachwytem. – Gdyby mi ktoś rok temu powiedział, gdzie i w jaki sposób będę spędzać kolejnego sylwestra, w życiu bym mu nie uwierzyła.

Rozdział 16

Lamus językowy – miejsce, do którego odchodzą przebrzmiałe, szkodliwe i skorodowane jak progi od poloneza słowa, takie jak na przykład: „histeryczka”, „niegrzeczna” czy „stara panna”, by mogły je zastąpić słowa sprawcze, silne, podmiotowe i wskazujące na to, że osoba, wobec której je stosujemy, ma możliwość wyboru. W powyższych przypadkach będą to „asertywna”, „stanowcza” i „singielka”.

Trzydziesty pierwszy grudnia dwa tysiące dwudziestego drugiego roku powitał dziewczyny nieco wymiętymi. Każda z nich obudziła się w swojej sypialni samotnie – co redaktorka Inga Winter przyjęła za naturalną oczywistość, a prokuratorka Anna Krauze bez większych emocji. Z kolei pierwszym uczuciem Barbary Kochańskiej, dyrektorki operacyjnej na region Europy Środkowo-Wschodniej w międzynarodowej firmie farmaceutycznej, było lekkie ukłucie żalu, gdy spojrzała na puste miejsce obok siebie. Trwało ono jednak naprawdę bardzo krótko. Po chwili bowiem wyciągnęła szeroko ramiona i z rozkoszą ziewnęła. Spanie w pojedynkę na ogromnym łóżku podczas upojnego urlopu na Karaibach miało swoje wspaniałe, gigantyczne plusy – zwłaszcza jeśli poprzedni wieczór spędziło się z najbliższymi przyjaciółkami na ploteczkach, picciu drinków i śpiewaniu na cały głos przebojów Bajmu i Beaty, co we cztery, razem z Marianką, czyniły z rozkoszą niemal do czwartej nad ranem. O tak, to było warte o wiele więcej niż najlepsza noc w ramionach Armanda, który niewątpliwie miał bardzo sprawne dłonie, ale nie dałby jej tego, co Anka, Inga i Marianka – miliona powodów

do oczyszczającego, zdrowego śmiechu. I poczucia, że nie jest sama, lecz funkcjonuje w stadzie. Zajebicie zgranym stadzie.

Przeciągnęła się jeszcze kilka razy i spojrzawszy na zegarek, skonstato-
wała, że wybiła dopiero siódma.

„Trzy godziny snu, witaj, nowy dniu”, zanuciła w myślach. Boże, jak ta Beata doskonale znała życie! Barbara powiodła wzrokiem po sypialni i uznała, że pora na prysznic – orzeźwiający, zimniutki, po którym – najchętniej nago – wyskoczyłaby na leżak na tarasie i wysuszyła swoją boską powłokę w promieniach martynikańskiego słońca. Jak postanowiła, tak zrobiła.



Inga tuż po przebudzeniu, gdy na zegarku ujrzała tłuściutką godzinę ósmą zero zero, natychmiast sięgnęła po szklankę z wodą, którą całkiem przytomnie postawiła przed pójściem spać na nocnej szafce. Po wypiciu duszkiem zawartości usiadła na łóżku i spojrzała za okno. Światło o tej porze było niesamowite – ciepłe, miękko kładące się na przedmiotach. Wyciągnęła przed siebie rękę, tak by znalazła się w blasku promieni, i przez dłuższy moment kontemplowała złote drobinki na swojej skórze. A potem wysunęła się z łóżka, wzięła telefon i owinąwszy się jedwabną podomką, wyszła na taras, by przejrzeć social media i zerknąć na profil Jakuba, który tego dnia ze swoimi dorosłymi uczniami z osiedlowego domu kultury robił jakiś sylwestrowy malarski performance.

„Zakochałbyś się w tym miejscu”, pomyślała, patrząc na jego zdjęcie. „Jest tu tyle miejsc wartych namalowania. Tyle barw, których u nas nie ma... A których ja nie umiem uzyskać akwarelami. Po powrocie będziemy musieli nieco dłużej przysiąść nad tym tematem”, zaśmiała się pod nosem. „A tymczasem idę w życie”.

Spojrzała na błękit oceanu, który powoli przemieniał się w turkus i iskrzył od słońca jak haftowany cekinami aksamit. O tak, szła w życie jak

nigdy wcześniej. A jej towarzyszkami były najlepsze dziewczyny na świecie.



Samotny poranek Anki rozpoczął się kilka minut po ósmej, kiedy gdzieś w oddali rozdundniła się głośna muzyka, brzmiąca jak natchniona maszyna do szycia. „Bach?” – zastanowiła się Anka. Zdecydowanie był to Bach. Ale kto dziś jeszcze słucha Bacha? I to na Karaibach?

Szybko porzuciła tę myśl, bo poduszka wciąż jeszcze kusila ją miękkością. Anka odwróciła ją na drugą stronę, przytuliła policzek do chłodnej bieli i ponownie zasnęła, dając sobie pełne prawo do upojnych czterdziestu pięciu minut energetycznej martynikańskiej drzemki.



Wyspiarskie uniwersum od początku zaskakiwało dziewczyny piękną pogodą, ale w ostatni dzień roku przeszło samo siebie. Było bajecznie ciepło, ale nie tak, by człowiek marzył jedynie o klimatyzacji i chłodnym prysznicu, lecz idealnie na to, żeby założyć szorty, górę od kostiumu kąpielowego oraz lekką narzutkę i spontanicznie wyskoczyć na plażę, biorąc ze sobą tylko koc, wodę i przekąski. A w przypadku Baški oczywiście również kapelusz.

– Osobiście polecam! – Anka wskazała na kawałki smażonych plantanów, które Marianka wcisnęła im, gdy wychodziły. Oblizwała palce lepkie od miodu, którym polane były owoce. – A ten miód? Niech mnie ktoś powstrzyma, bo zaraz zrobię nawrotkę po dokładkę.

Inga mruknęła i włożyła do ust kawał twarogu, z którym serwowano plantany.

– Jeśli zamierzasz wrócić po to samo, idę z tobą. Wspólnie więcej uda nam się wynieść. Baśka, a ty czemu nie jesz?

Barbara, która sączyła wodę, spojrzała na przyjaciółki znad okularów.

– A wiecie, że jakoś mnie dziś nie kręcą egzotyki? Dzisiaj to ja bym sobie zjadła takiego dorodnego swojskiego schabowego! I tłuczone ziemniaki z masłem.

– Schabowego? Takiego smażonego na smalczyku? – upewniła się Anka.

To nie było podobne do Barbary, która z równą zawziętością unikała nudnych mężczyzn, co trójglicerydów, ponieważ w jej przekonaniu nadmierny kontakt z jednymi i drugimi mógł się skończyć rozległym udarem.

– Uhm – mruknęła Baśka. – Te wszystkie przepyszne owoce i drinki są genialne, ale porządnie mi podniosły poziom glukozy i nabrałam ochoty na mięso. Nie pogardziłabym też zresztą amerykańskim stekiem... No... – Zamyśliła się. – Z talerza bym go nie wyrzuciła...

– Mówisz i masz – niespodziewanie klapnęła obok nich Marianka. – Mogę poprosić szefa kuchni, żeby specjalnie dla ciebie na dzisiejszy wieczór przyrządził stek. A może w ogóle wprowadzimy go na cito do karty? – zastanowiła się. – Na imprezę sylwestrową ma zjechać jeszcze kilku amerykańskich gości, a nasz dostawca to ogarnięty człowiek, więc na pewno zdąży... Tak, steki to naprawdę świetny pomysł. Dzięki, Baśka!

Anka spojrzała czule na swoją starszą siostrę, która jak żaden inny człowiek na świecie potrafiła zadbać o dobrostan fizyczny i psychiczny innych, absolutnie nie czyniąc przy tym żadnej szkody sobie. Wręcz przeciwnie. Marianka – kobieta, żona i matka – czuła się znakomicie w swoim świecie i niczym linoskoczek zdrowo balansowała pomiędzy byciem dla innych a byciem dla siebie. I nie potrzebowała w tym układzie niczego zmieniać. Anka z kolei przez lata funkcjonowania z Damianem popadła w dziwną stagnację, w której tak zarosła bluszczem przyzwyczajenia, że przestała zauważać wyrwy w murze i dopiero zdrada byłego narzeczonego, która wyszła na jaw zupełnie przypadkiem, otworzyła jej oczy, a w zasadzie strzeliła między nie. Jej siostrze, Marianne, podobna sytuacja nie groziła – jej wymarzonymi wakacjami nadal były wakacje z Lutkiem i dziećmi w kam-

perze, którym co roku objeżdżali kolejne stany Ameryki. Kochali się wariacko i jedno za drugim skoczyłoby w ogień. Anka, patrząc teraz na Mariankę, pomyślała, że kiedyś też to będzie miała – zdrową, szczęśliwą relację. Nie zaraz, nie za miesiąc ani nawet za pół roku – może nawet nie za rok... Ale ona też znajdzie kogoś, z kim będzie chciała się kisić na niewielkim metrażu na kółkach, z tycim kibelkiem, którego zawartość trzeba codziennie własnoręcznie wylewać. Teraz jednak był jej czas na oddech. I skupienie się na sobie. O tak! Wreszcie postawi na rozwój (zawsze chciała się nauczyć hiszpańskiego!), zadba o zdrowie (w końcu wybierze się do fizjoterapeuty), może znów sobie niezobowiązująco z kimś poflirtuje...

– A ty, Aneczka, masz jakieś marzenie?

– Co? – Wyrwana z rozmyślań Anka spojrzała średnio przytomnie na siostrę.

Marianka ścisnęła ją za ramię, mrużąc oczy.

– Pytałam, czy masz jakieś specjalne życzenie w kwestii jedzenia na wieczór. Baśka dostanie swojego amerykańca, Inga wegetariańską opcję, a ty?

– A ja... – Anka popatrzyła na siostrę, a potem na przyjaciółki i się uśmiechnęła. – A ja na ten moment jestem spełniona i mam wszystko, czego mi trzeba.



Po przedpołudniowym pikniku na plaży dziewczyny się rozgrupowały i każda z nich zaszyła się u siebie, by oddać się tak zwanym zajęciom własnym. Inga poszła na drzemkę, Anka z Marianką przysiadły na kanapie, by jeszcze sobie pogadać, a Baśka rzuciła się do maili, które ostatnimi czasy srogo, lecz z premedytacją zaniedbała. Patrząc na falę kolejnych wiadomości, poczuła, jak zaczynają jej opadać powieki – aż sama nie wiedząc kiedy, zasnęła.

Obudziła się dwie i pół godziny później – wyjątkowo wypoczęta jak na tak długą drzemkę w środku dnia. Szybko nałożyła sobie aloesowe płatki pod oczy i wróciła do komputera. Czekają na nią dziewięćdziesiąt siedem maili – całkiem niewiele jak na cztery dni przerwy. Część z nich była w tej chwili dla Baśki kompletnie nieistotna (pochodziła z działu HR i dotyczyła integracyjnej imprezy karnawałowej, którą organizowano w połowie stycznia, oraz nowych wakatów); kilka wysłano z samej centrali i na nie Barbara odpowiedziała wyłącznie ze zwykłej uprzejmości, z ulgą przyjmując, że nie ma w nich nic, czym musiałaby się przejmować w sylwestrowy wieczór: żadnej draki, żadnego armagedonu ani aferzysty pokroju Brajana Kodrąbka. Potem przyszedł czas na maile od asystentki i prawej ręki Baśki, czyli Jadwigi. Jadźka z właściwą sobie skrupulatnością i zwięzłością (obie te cechy Barbara szczególnie u niej szanowała) przesyłała, zgodnie z zaleceniem Baśki, raporty. I jeden szczególny mail, na którego widok Baśka poczuła ekscytację – „Portal – stan działań”. Szybko wystukała wiadomość na bejbesowym czacie: „Dziewczyny, za kwadrans zbiórka u mnie. Alert! Portalowy alert!”.

Po dziesięciu minutach zjawiała się Inga, odrobinę rozczochrana po wyjątkowo udanej drzemce.

– Zamówię nam mrożoną kawę – powiedziała, biorąc do ręki telefon. – Masz ochotę na coś jeszcze?

– Może na chicharron? Anka pewnie też chętnie przekąsi. – Baśka się zamysliła. – Nie wiem, o co u mnie chodzi z tą ochotą na mięso, ale mój organizm najwyraźniej potrzebuje jakiegoś konkretnego.

Inga otrząsnęła się wewnętrznie na samą myśl o smażonych na chrupko w głębokim tłuszczu skórkach wieprzowych, ale dzielnie złożyła zamówienie, dodając do niego jeszcze gigantyczny dzban wody z karambolą.

Ostatnia z trzech przyjaciółek zjawiała się równocześnie z mężczyzną z obsługi, który dostarczył im jedzenie i napoje. Baśka pociągnęła nosem – mięso pachniało obłędnie, a do tego szef kuchni dołożył im na deser karmelowe w smaku sapidille.

Anka opadła na sofę. Na jej twarzy błąkał się dziwny, rozanielony uśmiech, a na policzkach wykwitły rumieńce, jakby dopiero co zeszła z plaży.

Baśka ujęła w dwa palce kawałek smażonego mięsa i wsunęła go sobie do ust. Zamruczała.

– Moje drogie, zebrałyśmy się tu dzisiaj, aby debatować nad naszym wspólnym dzieckiem, jakim jest właśnie rodzący się niemal na naszych oczach portal dla kobiet... – zaczęła grobowym tonem niczym Anna Krauze vel Proca rozpoczynając mowę końcową. – Jednakże! – Wystrzeliła w górę palec wskazujący. – Są sprawy ważne i ważniejsze!

Inga uniosła brwi.

– Otóż bowiem – ciągnęła Barbara nieustępliwie – zanim zaczniemy, ja muszę, podkreślam: muszę się dowiedzieć, skąd u naszej drogiej pani prokurator, u tej, która miała ostatni czas spędzić ze swoją najdroższą siostrzyczką... Skąd u niej te nieczne rumieńce! – Wycelowwała oskarżycielsko palec w Ankę. – Bo doskonale wiem, że nie jest to skutek babskich plotecek! No, słucham!

Anka zachichotała jak nastolatka, rozłożyła szeroko ramiona i przymknęła oczy.

– Ja jestem niewinna, wysoki sędzie. Nie zrobiłam nic złego.

– Ooo, tego to akurat jestem pewna! – Barbara wbiła w nią wnikliwe spojrzenie i wzięła kolejny kawałek mięsa. – Bo dobrze wiem z własnego wybitnie bogatego doświadczenia, że takie rumieńce pojawiają się wyłącznie po bardzo dobrych rzeczach. Więc słucham! Na kim to przeprowadzałaś przez ostatnie godziny te dobroczynne czynności śledcze?

Anka położyła jedną dłoń na sercu, a drugą uniosła jak do przysięgi.

– Zaświadczam z pełną powagą, że to nie był mój pomysł, absolutnie! To wszystko jego wina!

– Aha! – zakrzyknęła Barbara. – A więc jest jakiś on. Co ty na to, mój drogi Watsonie? – zwróciła się do Ingi.

– Podążając drogą dedukcji, Sherlocku, ów on ma na imię Sebastiano. – Inga się zaśmiała.

Anka przeciągnęła się z błogością i westchnęła.

– Otóż tak, ma. – Znów zachichotała. – No więc wyobraźcie sobie, że wracam właśnie z lekcji tanga. Tango, rozumiecie?

Podniosła się z sofy i z udawaną nonszalancją zaczęła nalewać sobie wody do szklanki, po czym powolnym gestem sięgnęła po kawałek owocu i niespiesznie zaczęła go żuć.

– Anka! – wrzasnęły niemal jednocześnie Inga i Barbara.

Anka się zaśmiała.

– No dobra! Już wam wszystko mówię. Więc imaginujcie sobie, że siedzimy z Marianką w moim apartamencie i gadamy, aż tu nagle rozlega się pukanie do drzwi! Marianka poszła otworzyć, a w progu stał...

– On! – zawołała Inga.

– Prawie. – Anka potrząsnęła głową. – Nie on we własnej osobie, ale jakiś facet z obsługi. Z koszem owoców i szampanem. I bilecikiem. Od niego. Znaczący od Sebastiana.

– Jezu, no tak. – Inga się zaśmiała. – Pewnie po naszym wczorajszym ostentacyjnym wyjściu spalił się ze wstydu i bał się kolejnego upokorzenia na oczach pięknej Anny z Polski!

– Prawie! Bo na bileciku stało mniej więcej tak: „Tańczę znacznie lepiej, niż śpiewam. Daj się porwać argentyńskim rytmom”. Chłopak ewidentnie chciał się zrehabilitować.

Baśka zmierzyła Ankę od stóp do głów.

– I sądząc po stanie, w jakim znajdujesz się obecnie, bardzo mu się to udało.

Anka westchnęła przeciągle.

– I to jak! Teraz absolutnie nie mogę się doczekać wieczoru!



Kiedy już ze szczegółami omówiły absolutnie bezdyskusyjne umiejętności taneczne Sebastiana („To było jak *Dirty dancing* i *Zapach kobiety* w jednym, tylko w realu i ze mną w roli głównej!” – ekscytowała się Anka) oraz poziom dżentelmeństwa, jakim się wykazał, odprowadzając Ankę z powrotem do hotelu („I to bez żadnych podtekstów”), Baśka postanowiła przejść do tematu, z powodu którego pierwotnie zwołała do siebie dziewczyny.

– Słuchajcie, to wygląda naprawdę dobrze! – stwierdziła, uruchamiając ponownie komputer. – I wychodzi z tego ni mniej, ni więcej, że w marcu będziemy mogły startować pełną parą!

Mail od Jadźki obfitował w szczegóły techniczne z solidnymi objaśnieniami. Anka i Inga były pod wrażeniem – Jadwiga okazała się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

– W każdym razie najważniejsze jest to, co na końcu – stwierdziła Barbara, przerywając na chwilę czytanie. – Mamy zajebiście sprawnie ogarnięte zaplecze. Ogarnięte na poziomie wręcz organicznym, kwantowym, do imentu! A teraz spójrzcie na pierwsze propozycje layoutu.

Odwróciła ekran w ich stronę i oczom Anki oraz Ingi ukazał się nowoczesny i niezwykle kobiecy, biało-różowy projekt strony internetowej.

– Oczywiście w menu znajdzie się wszystko, co zechcemy. Tu mamy pokoje konwersacyjne, tu możliwość założenia bloga, który będą czytać inne dziewczyny... Tu galerię, ekhem, sław, znaczy szczególnie groźnych naciągaczy, oszuścików i chujków. Oczywiście bez zdjęć i tych wiecie, no, danych wrażliwych. Same opisy przypadków. A tu, że tak powiem, strefa chilloutu. Może być nawet zakładka z przekierowaniem na podstronę z karaoke!

Inga wstrzymała oddech z zachwytu.

– Jest obiektywnie boski! – zawołała. – I to logo! W punkt!

Różowiutki, wpisany w koło ledowy slogan „Mój Ex, Twój Next” naprawdę robił wrażenie. Anka z uznaniem pokiwała głową.

– A zatem już niedługo odpalamy wrotki! Oh yeah! Wiedziałam, że kiedy kobiety się do czegoś biorą, to wyjdzie z tego cudo!

Rozdział 17

Czy wiedziałaś, że słowo „tango” – nazwa pełnego pasji, emocji, sensualności i pożądania tańca – w języku łacińskim oznacza ni mniej, ni więcej, tylko „dotykam”? Dokładnie to i dokładnie w tej formie: pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego. Czy może istnieć większa intymność?

Jeśli dawno nie tańczyłaś, pozwól dziś sobie na taniec. Jeśli tańczyłaś wczoraj lub kilka dni temu, pozwól dziś sobie na taniec. A jeśli nie lubisz tańczyć, bądź dla siebie czuła w inny sposób. Zaśpiewaj na głos ukochaną piosenkę, połóż się wcześniej spać (a nie tylko sobie obiecuj, że to zrobisz), zadzwoń do przyjaciółki i pogadajcie chociaż kwadrans. Spójrz w lustro i powiedz: „Hej, jesteś piękna!”.

Pozwól dziś sobie na tango z własną duszą.

Inga zeszła z parkietu, ledwo łapiąc oddech, odprowadzana wzrokiem przez swego tanecznego partnera, który przedstawił się jej jako Arnold. Wokół wirowały kobiety w sukniach tak kolorowych, że zakręciło jej się w głowie – jak w dzieciństwie, kiedy oglądała wielobarwne obrazki przez tubę kalejdoskopu i wyobrażała sobie zupełnie nieznanne światy kryjące się w tajemniczych szkiełkach. Goście tego wieczoru zupełnie jakby się zmówili – dziewczyny miały na sobie zwiewne ciuszki chyba we wszystkich odcieniach różu, błękitu i złota, jakie istniały na ziemi. Mężczyźni w białych lnianych koszulach i luźnych, choć niepozbawionych elegancji lnianych spodniach dotrzymywali im tempa na parkiecie. Inga obróciła się jeszcze i objęła wzrokiem to egzotyczne widowisko, którego uczestnicy tańczyli do

dźwięków piosenki Marry You Bruno Marsa. Baśka przesunęła się nieco w loży i sięgnęła po wielki dzban margarity, by dolać przyjaciółce drinka do pustego kieliszka. Inga westchnęła i opadła na miękkie siedzenie.

– Prawie zapomniałam, jakie to cudowne tańczyć wśród ludzi. – Złapała za kieliszek i niemal duszkiem wychyliła połowę.

– Szanuję, ale nie naśladowę. – Baśka z rozbawieniem spojrzała na jej rozwiane włosy. – A czy nasza Aneczka też gdzieś tam krąży?

Inga zerknęła w tłum i po chwili wyłowiła wzrokiem błękitną kloszowaną sukienkę przyjaciółki. Ania kręciła się wokół własnej osi, roześmiana, a spódnica wokół niej falowała jak tafla oceanu dotykana podmuchami wiatru. Sebastiano, z którym tańczyła, patrzył na nią z nieudawaną pasją i zachwytem.

– Jest, jest. Z miłośnikiem tanga na orbicie. I naprawdę nieźle im idzie. – Inga wskazała Baśce kierunek, w którym powinna spojrzeć.

Baśka mruknęła z uznaniem.

– Niech się bawi, ile może. Zwłaszcza że z Sebastiana jest całkiem niezły crepesik... Cały ten rok strasznie naszą Aneczkę przeczołgał, przeżuł i wypłuł w formie galaretki, a potem jeszcze próbował potraktować z buta. Ale niedoczekanie jego! Nie z nami. Nie z takim zapleczem.

Inga przyglądała się jeszcze przez dłuższy moment przyjaciółce, która błyszczała w tańcu. Umiejętności taneczne jej partnera (faktycznie na parkiecie poruszał się wybornie) robiły wrażenie, ale najbardziej hipnotyzujący był ten blask, jakim emanowała Ania. Pewność siebie, z jaką się obracała, trzymana za rękę przez Sebastiana; niczym nieskrępowany uśmiech; swoboda ruchów i śmiałość – Inga z czułością pomyślała, że jej przyjaciółka chyba nareszcie jest szczęśliwa. I wolna.

Przeniosła spojrzenie na Baśkę.

– A ty?

– Co ja? – Barbara rzuciła okiem w kierunku plaży, bo nagle pojawiło się tam sporo ludzi z obsługi.

– Nie tańczysz?

Baśka machnęła ręką.

– Moja droga, jeszcze się taki nie narodził, który by Barbarę Kochańską porwał na parkiet. Ja nie tańczę permanentnie i od urodzenia. Ale docień ten fakt, bejbe, że za waszą namową i na znak solidarności z wami nie włożyłam dziś pończoch!

Inga uśmiechnęła się szeroko.

– I bardzo dobrze! Pończochy to wolność. Ale brak pończoch też!

Ludzie na parkiecie przystanęli, bo muzyka akurat umilkła, i do loży dziewczyn dofrunęła Anka – rozgrzana, uśmiechnięta i z iskrami w oczach.

– O Jezu Nazareński, co za taniec!

– Nooo! Genialnie wam szło – rzuciła Inga.

– Co? Nam? Daj spokój... – Anka zawstydziała się odrobinę. – Mnie chodziło o Vivianne i Philippe’a. Jak oni tańczyli! Z Sebastianem uznaliśmy ich za obiektywnie boskich i odurzających.

– My widziałyśmy tylko was. I to wy byliście dla nas boscy.

– Serio? – Anka pomachała w stronę Vivianne, a ta posłała im szeroki uśmiech i odmachnęła. – Sebastiano tańczy jak zawodowiec, i to klasy mistrzowskiej!

Barbara zerknęła na mężczyznę, który właśnie zmierzał w kierunku plaży, i powiodła za nim spojrzeniem.

– Słuchajcie, moje drogie, czy tam dzieje się coś, o czym nie wiemy? Jakieś martynikańskie tańce wokół ognia? Przedwczesny pokaz fajerwerków? – Popatrzyła na maleńki złoty zegarek opasujący jej nadgarstek. – Bardzo przedwczesny, bo nie ma nawet dwudziestej drugiej!

Anka klepnęła się w udo.

– Cholera, nie mówiłam wam? – zawołała, a widząc zdziwione miny dziewczyn, dodała: – Marianka stwierdziła, że bardziej od dań wydawanych z kuchni gościom spodoba się grill na plaży... Bliżej natury i tak dalej... I to ponoć dzięki tobie – zwróciła się do Barbary.

– Grill, powiadasz? – Baśka uniosła brwi. – Dość pierwotnie, ale niech będzie. Lepsze to niż smażenie kielbasy przy ognisku. Najważniejsze, że

będę tam sobie mogła upolować jakieś amerykańskie mięso, bo cholernie zgłodniałam!

Ruszyły ku rzeźniście oświetlonej neonami plaży, gdzie zaczął się już gromadzić tłumek. Na niewysokim podeście znajdowały się dwa długie grille, przy których uwijali się kucharze. Na widok szaszłyków warzywnych i owocowych Indze zakręciło się w głowie.

– Musimy poważnie przedyskutować nasz jutrzejszy wieczorny powrót. Nie wiem, czy jestem na to gastronomicznie gotowa!

– Ja jestem za tym, żebyście zostały jeszcze co najmniej na tydzień – powiedział Lutek, który krążył tu i tam, doglądając wszystkiego. – Już dawno nie widziałem Marianki tak szczęśliwej. – Objął ramieniem szwagierkę.

– Bardzo byśmy chciały – Anka uśmiechnęła się szeroko – tylko że wtedy ja mam zerowe szanse na w miarę normalny powrót do mojego ukochanego kieratu. Ale może wam uda się w tym roku wpaść na wiosnę do Opola? Spotkalibyśmy się w większym gronie, co...? – Popatrzyła z nadzieją na Ingę i Basię. – I wy też musicie. To będzie idealna okazja do świętowania urodzin moich i portalu...

– Portalu? – zainteresował się Lutek. – Zakładacie jakiś portal?

– Może i zakładacie, ale facetom nic do tego! – Marianka podeszła do nich i rozdała dziewczynom talerzyki. – Widelce są przy grillach, a noże niepotrzebne. Przyrządziliśmy mięso tak, by nie trzeba było się z nim bok-sować. Kawałki są idealne na pojedyncze kęsy. No, lećcie, dziewczyny! Ktoś inny by się pochwalił, ale ja po prostu powiem, że żarcie wyszło nam obłędne!

Po chwili Anka, Inga i Baśka z talerzami wyładowanymi jedzeniem oraz butelką lokalnego wina przysiadły w niedalekiej odległości od podestu i konsumując, zapatrzyły się na ocean. Inga rozkoszowała się kawałkami szarpanego chlebowca z furą warzyw, maczając je w wegańskim sosie barbeque, Anka pochłaniała grillowane krewetki z karambolą i sałatą, a Baśka z rozmarzeniem i w tempie godnym sprintera zajadała się grillowaną wołowiną i pieczonymi ziemniaczkami.

– Jeśli Ostateczny miałby mnie powołać do siebie, choć absolutnie nigdy się na to nie umawialiśmy, to wiercie mi, że moim ostatnim posiłkiem byłyby właśnie pieczone ziemniaczki jedzone na karaibskiej plaży! No i może jeszcze ta wołowinka – stwierdziła po chwili Barbara i pociągnęła niewielki łyk wina prosto z butelki, którą podała jej Anka. – Wy zadbajcie jedynie o to, żebym po tym całym rytuale przejścia na drugi brzeg nie miała na sobie nic w kolorze opalonego beżu! Bo inaczej powrócę, a wtedy już nie będę łagodna jak zawsze...

– A ja – powiedziała Inga – ja to bym chciała, żebyśmy wróciły tu za jakiś czas. I żebyśmy znów mogły wspólnie przeżyć takie chwile. No, może bez wątku Bolesława Jabby. I żebyśmy jadły te wszystkie owoce... I tańczyły, i piły drinki... I siedziały wieczorem na plaży, i wybrały się na rejs katamaranem...

– I na warsztaty też byśmy poszły? – Anka się zaśmiała.

– W sumie – Inga przerwała jedzenie i spojrzała na przyjaciółki – te warsztaty okazały się nawet całkiem spoko...

– Miło mi to słyszeć! – huknął z lewej flanki znajomy głos. – Znaczy, że uratowałem, ocaliłem, objawiłem rzeczy ważne.

Wszystkie trzy zupełnie bez zdziwienia spojrzały na wielebnego Arystotelesa Apostolakisa, który miał tę dziwną i tajemną właściwość, że pojawiał się niespodziewanie w najróżniejszych miejscach, co Baśka obserwowała z zadziwieniem, Anka przyjmowała z całkiem stoickim spokojem, a Inga tłumaczyła zwykłym wścibstwem.

– Z tym ratunkiem i ocaleniem to ja bym nie szła za daleko – mruknęła. – Ale z tymi rzeczami ważnymi... No... Może trochę racja.

Baśka skończyła jeść i właśnie sięgała po serwetkę, gdy w oddali pojawiła się czyjaś postać. Barbara wyteżyła wzrok, próbując lepiej dojrzeć zarys jasnej sylwetki.

– Czy wy go widzicie? – Wskazała na niewielki bielejący punkcik. – O tam!

– Aha, ktoś tu idzie – podjął średnio błyskotliwie Arystoteles, sadowiąc się obok Anki i wprawnie przejmując od dziewczyn butelkę z winem, by pociągnąć łyk.

Baśka zmrużyła oczy.

– Uuu, i to całkiem sensowny ktoś, rzekłabym...

Arystoteles westchnął.

– Jeśli mógłbym coś doradzić, uzmysłwić, unaocznic – powiedział – to sugerowałbym taką jakby... zmianę. Niedużą, ale zmianę.

– A konkretnie? – Anka łagodnie odebrała mu butelkę, z której coraz śmieiej sobie pociągał.

– Żeby kontakt ze wszechświatem od innej strony zacząć postrzegać. Bardziej fizycznej.

Baśka spojrzała na niego rozbawiona.

– O stronie fizycznej to mi akurat wielebny mówić wiele nie musi. To zdecydowanie moja ulubiona strona wszechświata!

Arystoteles pokręcił głową.

– Ja tu nie mam na myśli sensualności ludzkiej, a kontakt ciała z żywiołami. Relację z wodą, powietrzem – zerknął w kierunku grilla – ogniem! Albo ziemią. Zanurzyć się w niej. Dać tej relacji szansę!

Baśka zerwała się na równe nogi.

– Ależ proszę bardzo. Już ja wielebnemu pokażę, jaki mam doskonały kontakt z ziemią! Piaskiem chociażby! I owszem, zamierzam dać temu szansę! – odparła. – Drugą, co prawda, ale szansę. – Ostatnie zdanie wypowiedziała już znacznie ciszej.

Pospiesznie zrzuciła sandaalki i zakasując sukienkę, ruszyła w kierunku przybysza, który na jej widok wyraźnie zdębiał, a potem zaczął iść jeszcze szybciej. Spotkali się w połowie drogi. Wymienili kilka słów, których żadne z trójki siedzącej na piasku nie zrozumiało.

– Czy to... Czy to jest... – Anka przyjrzała im się uważnie.

– Uhm! – mruknęła Inga. – To on.

Po chwili Basia wróciła do dziewczyn oraz Arystotelesa, który chyba po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie, tracąc przy okazji cały swój podręczny słownik synonimów.

– Dziewczyny, pamiętacie Jonathana Russo, prawda? – Baśka spojrzała triumfująco na wielebnego. – Na lotnisku w Berlinie uratował moje ukochane szpilki, a tym samym uchronił od wizualnej urlopowej katastrofy.

Schyliła się i podniosła porzucone sandały.

– No, to wy tu sobie jeszcze siedzicie – zerknęła wymownie na przyjaciółki – a Jonathan i ja odrobinę się osuszemy... – dodała, puszczając szelmowsko oko do Ingi, która uśmiechnęła się szczerze. – Niech zadziałają jeszcze powietrze i ogień!

Trzy dni później, Polska

– Powinienem się za to obrazić, Aneczko, na śmierć. Ale to nie w moim stylu, więc umówmy się, że w ramach rekompensaty od teraz kawkę będziemy pijali u ciebie, w twoim nowym pokoju z widokiem na drzewa, a nie w tej mojej kanciapie obok schowka na utensylia do czyszczenia powierzchni płaskich.

Anka zaśmiała się serdecznie. Zenek Łągiewka, jej serdeczny kumpel z prokuratury, czuł się już znacznie lepiej po ostatnich akcjach, jakie wywięło mu rosnące w tempie wykładniczym ciśnienie krwi, jednak profilaktycznie siedział jeszcze w domu na L4, podczas gdy ona, opalona, wypoczęta i zadowolona, po powrocie z Martyniki dotarła prościuteńko do prokuratury, by znów ugrzęznąć w stertach teczek i nieomkniętych spraw.

Nie wróciła jednak do swojego dawnego gabinetu, tuż obok pokoju Zenka, co jej kumpel z udawaną pretensją wypomniął, a do nowego pokoju, w którym były całe dwa dwuskrzydłowe okna (a nie jedno, jak w poprzednim) oraz widok na park (na razie golusieńki i zimowy, ale jednak park). Przenosiny miały związek z zarządzeniem Starego, który po powrocie z hipertajnego szkolenia zrobił podobno niezły rozpięrdziel i tak przetasował miejscówki, że ta najlepsza trafiła się Ance.

– Chętnie się z tobą zamienię, Zenuś – powiedziała, na co w słuchawce dało się słyszeć mruknięcie.

– Nie po to ci o tym mówię, żeby się zamieniać – odparł prokurator. – Ale obiecaj, że poczekaś na starego Łągiewkę, żebyśmy mogli wspólnie ochrzcić ten nowy ekspres do kawy, co go Stary ponoć samodzielnie w kartonie tachał do twojego gabinetu.

– Masz to jak w banku, Zenuś!

Pogadali jeszcze chwilę, po czym Anka rozłączyła się i oparła wygodnie w fotelu. Siedziała tak przez jakiś czas, obejmując wzrokiem nową przestrzeń. Miejsce się zmieniło, ale robota wciąż była ta sama: cholernie ciężka, niekiedy nudna, ale i tak jej wymarzona i przynosząca naprawdę sporo satysfakcji. Poza tym szło nowe. Anka zerknęła na telefon: tego wieczoru o dziewiętnastej czekały ją pierwsze zajęcia online z hiszpańskiego. Już nie mogła się doczekać!

I niemal w tej samej chwili jej aparat rozbrzmiał charakterystycznym dźwiękiem przychodzącej wideokonferencji. Dzwoniła Baśka.



Na wyświetlaczu pojawiły się dwie uśmiechnięte twarze dziewczyn – Anki i Ingi.

– Dzień dobry, dziewczęta! – zawołała Baśka, sadowiąc się w swoim wygodnym mercedesie. – I jak wam płynie to życie przy minus dwunastu stopniach? Bo mnie, nie powiem, znowu ciągnie na jakąś rajską wyspę. Przetrwam nawet najgorszy jet lag, byle poczuć ciepło na boskiej powłóce.

– Ja się przyzwyczajam do nowego królestwa. – Anka obróciła się na fotelu, żeby przyjaciółki mogły zobaczyć jej gabinet. – Nic nadzwyczajnego, jest może ciut większy niż poprzedni i z lepszym widokiem. Ale mam własny ekspres do kawy.

– No zobacz, Aneczka, jaką mamy siłę przekonywania... – Baśka parsknęła. – Nie spodziewałam się takiego gestu po Bolesławie. A tu proszę...

– Wystarczyło nim tylko leciutko pokierować. – Inga się uśmiechnęła. – Albo jak by powiedział wielebny Arystoteles Apostolakis: wskazać mu kierunek, wytyczyć szlak, być drogowskazem w jego nieuporządkowanym życiu...

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– A ty, Ingusia, dokąd zmierzasz? – Celne oko Baški wyłapało, że Inga, choć opatulona szczelnie szalem i z wciśniętą głęboko na czoło czapką, ma ewidentnie wytuszowane rzęsy.

– Na lekcję lecę... – Inga mówiła coś jeszcze, ale jej słowa skutecznie stłumił podmuch wiatru.

– Na lekcję, powiadasz. – Baśka zmrużyła oczy. – Znaczy na pierwsze spotkanie z Kubą po powrocie...

Inga się roześmiała, osłaniając wolną dłonią słuchawkę z mikrofonem.

– Otóż to. I mam szalony plan, ale opowiem o nim dopiero po realizacji.

Anka błysnęła zębami, a Barbara z aprobatą pokiwała głową.

– No dobrze, moje drogie. To ja zapinam pasy i startuję... Trzymajcie kciuki.

Pożegnały się i Baśka, po wysłaniu krótkiej wiadomości do Zosi, że wyrusza z Poznania, umocowała telefon w stacji, po czym wrzuciła w nawigację kierunek Rząsiny – tylko na wszelki wypadek, bo doskonale знаła tę trasę.

Kiedy już miała ruszać, nadszedł esemes od Zosi. „Czekamy na Ciebie, Drobinko. Wszyscy”.

Barbara nabrała głęboko powietrza i odpaliła silnik.



Inga po rozmowie z Bašką i Anką weszła na korytarz osiedlowego domu kultury. Znajome lastryko na podłodze i żółta farba olejna na ścianach powitały ją ciut wyższą temperaturą niż ta, która panowała na zewnątrz. Inga zdjęła czapkę i przejrzała się w szybie, czując, jak zmarznięte policzki zaczynają jej odtajać i zamiast mroźnego rumieńca pojawia się na nich rumieniec emocji.

Ruszyła w kierunku drzwi z numerem szesnaście, za którymi czekały na nią pędzle, farby, płótna i... Kuba. W trakcie lotu do Polski zastanawiała się,

jak będzie wyglądało ich spotkanie. W czasie kiedy dzieliło ich całe mnóstwo kilometrów, tyle się wydarzyło. O całym mnóstwie rzeczy jeszcze mu nie opowiedziała. Czy właśnie tak mieli spędzić dzisiejszą lekcję? Jak zawsze na malowaniu i rozmowach? Dawna Inga pewnie by się na to zgodziła. Nowa Inga chciała iść naprzód – mimo obaw. „Żyje się raz – pomyślała – o jeden raz za mało, by czekać, aż coś samo się wydarzy”. Aż ktoś inny zrobi za nią ten pierwszy krok.

Zza drzwi dobiegały dźwięki muzyki, ale nie dosłyszała słów piosenki. Odwinęła szalik i upchnęła go wraz z czapką do przepastnej torby, po czym nacisnęła kłamekę.

Kuba, słysząc dźwięk otwieranych drzwi, obrócił się i uśmiechnął szeroko na jej widok. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo ona, z drżącym sercem i zmarzniętymi rękami, podeszła szybko do niego i go pocałowała – tak jak nie całowała jeszcze żadnego mężczyzny: z poczuciem, że to jest jedyna rzecz, jaką chce robić w życiu. Całować go do końca świata – i tylko jego.

Epilog

W szachach, zwanych potocznie królewską grą, istnieje wiele zasad, lecz jedną z nich powinnaś wziąć sobie szczególnie do serca: że królowej nie da się ot tak, na dzień dobry, zbić pionkiem.

Możesz w życiu polec na wielu rzeczach. Na przykład na rozdziale z podręcznika Marie Kondo o zwijaniu skarpetek, gdy nagle dowiadujesz się, że poskręcane po dwie nie mają odpowiedniej swobody i w związku z tym wszystkie skarpetki w twojej szufladzie umarły z braku tlenu. Oraz przestrzeni.

Możesz też polec na kłótni z facetem, kiedy wyrzucasz mu, że dał się podejść w sklepie jakiejś dziuni i właśnie przez to wydał na truskawki i bób więcej, niż powinien, a on z anielską cierpliwością tłumaczy ci, że nie ma żadnej dziuni, jest tylko inflacja.

No bywa.

Każda z nas popełnia w życiu błędy – mniejsze lub większe. Czasem nawet wciąga nas całe bagno fakapów, z którego trudno potem się wydostać, zwłaszcza że żaden inny gatunek nie jest tak doskonały w niedostrzeganiu swoich mocnych stron oraz w punktowaniu własnych porażek jak właśnie kobiety.

Jesteśmy mistrzyniami autosabotażu i jednocześnie fachurami w udzielaniu absolutnie wspaniałych i cennych rad naszym partnerom. Wspieramy ich z całych sił, a same siebie traktujemy jak istoty drugorzędne. Drugoplanowe. Na końcu kolejki po szczęście.

Bądź dziś dla siebie swoim number one, bejbe.

Porzuć – choć na chwilę – myśl o tym, że „oni beze mnie sobie nie poradzą”... Albo: „Gdzieżby oni, w tej dżungli zwanej codziennością, w tej

puszczy pełnej pułapek, wnyków i sprytnie maskujących się niebezpieczeństw, przeżyli, gdyby nie my – tarzanki, rycerki, wojownicze księżniczki?”.

No cóż. Zapewne w otchłani niemocy, tunelu, na którego końcu może i jest jakieś światółko, ale mgliste i absolutnie nienapawające nadzieją. Jednak zanim znajdą się tam oni – my wydepczemy im szlaki i dobrniemy tam jako pierwsze.

Nie pokonają cię te nieszczęsne przetarte gacie. Nie pokonają nawet zasłyszane od kumpli z pracy żarciki, których ty będziesz wysłuchiwać potem przez kolejny tydzień, co wieczór, do kolacji, ani setki obowiązków wykonywanych na cudzych orbitach. Nie ma przecież nic złego w układaniu w szufladzie bielizny człowieka, z którym spędzasz życie, ani śmiania się z jego dowcipów. To również język miłości. Ale tym, co może (kolejny raz) nadszarpnąć twoje moce (w dowolnej formie), jest fakt, że zapominasz o własnych potrzebach. I że być może boisz się zrobić krok naprzód, by zacząć się prawdziwie o siebie troszczyć.

Ten strach jest zupełnie naturalną emocją i nigdy nie musisz się go wstydzić.

Możesz bać się całkiem odciąć od trudnej przeszłości i utartych schematów działania jak Inga – bo przecież, mimo że robią ci krzywdę, są takie znajome. Możesz też jak Anka bać się tego, co w twoim życiu jest zupełnie nowe – właśnie dlatego, że jest nowe i przez ciebie niezbadane. Lub jak Baśka bać się, że próba konfrontacji i domknięcia dawnych spraw rozsklepi twoje rany – i być może tak właśnie będzie, ale od tego zaczniesz proces ich zdrowienia.

Obierz sobie dziś siebie za cel i wyrusz w szaloną i wspaniałą podróż. A gdy na tej drodze do zaopiekowania się sobą popełnisz błąd – zawsze możesz wznieść za to toast! Czasami bowiem pijemy za zdrowie, czasami za szczęście, a innym razem za błędy.

Aż pewnego dnia wzniesiesz jak Baśka toast za luksus, którego być może lata wcześniej łaknęłaś niczym ryba wody. Albo za przyjaźń, bez której Anka nie wyszłaby na prostą. Lub za miłość, na którą coraz bardziej otwie-

rała się Inga – i na którą możliwe, że otwierasz się i ty. A potem jak Vivianne zakrzykniesz – z pełnym przekonaniem i świadomością: „Kocham cię, życie!”.

Nie trać z oczu celu swojej wędrówki – siebie. Tej zdrowszej, spokojniejszej, bardziej spełnionej.

Świat jest królestwem kobiet! A ty jego królową.
Amen.

PS A co, jeśli to jeszcze nie koniec tej historii?

MĄDRA, ZABAWNA I KOBIECA POWIEŚĆ, KTÓRĄ POKOCHAJĄ FANKI SEKSU W WIELKIM MIEŚCIE!

Anka, Inga i Baśka są przyjaciółkami na dobre i na złe. A ponieważ ostatnio w ich życiu wydarzyło się więcej tego złego, z entuzjazmem podejmują decyzję o spędzeniu Bożego Narodzenia na Karaibach, u siostry Ani. Każda z nich myśli już tylko o palmach, gorącym białym piasku, spaniu do południa i kolorowych świętach oraz szalonym sylwestrze na egzotycznej wyspie w luksusowym hotelu. Jednak od początku na tym idealnym obrazie tworzą się rysy – i wcale nie chodzi o zgubiony bagaż czy złamany obcas... Na drodze przyjaciółek stanie bowiem podstępny pierwiastek męski, a układ planet okaże się wyjątkowo niekorzystny.

Ankę, Inge i Baśkę czeka więc kolejna szalona przygoda.

Tym razem naprawdę przegiętas, Krauze!

BOLESŁAW „STARY” RYBAK

Te kobiety są niebezpieczniejsze niż Merkury w retrogradacji!

WIELEBNY ARYSTOTELES APOSTOLAKIS



1. TOM SERII



*Poczuj klimat serii!
Playlista dostępna
na Spotify.*

PATRONAT MEDIALNY



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6619-7

EAN 9788327166197

U.KS.OBY081.1.01.01

